

Wzór na szczęście • Co naprawdę wydarzyło się w Tatrach?

**PRZE
KROJ**

nr 04 / 3007 • 9 lutego 2003 •

cena 3,50 zł

(w tym 7% VAT)



8872-3300-NSSI

Indeks 371424 • Y-9013-C

90

ZOSTALI W NIEBIE

„Wszyscy byli aniołami”

FOT. NASA/AP



Nie przegap!
Już 20 lutego

nowa **VIVA! URODA** w nowym formacie

Aż 208 stron!

**Zaskoczmy Cię
nie tylko formatem...**

**Tajemnica
tkwi w URODZIE**



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o aferze Rywina i wszelkich wokół niej dywagacjach, coraz bardziej zawitych, ale nieposuwających sprawy naprzód. Ani o włączeniu przez premiera Millera Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bo proponujemy chwilę odpocząć.

...o tym, jak świat szykuje się do wojny z Irakiem, bo i bez tego wieje grozą z wielu naszych stron, i to nie z naszej winy.

...o tym, że można być dobrym katolikiem i jednocześnie lubić przygody Harry'ego Pottera, co potwierdził przedstawiciel Watykanu podczas konferencji, na której Kościół katolicki potępił ruchy religijne spod znaku New Age. Bo nam zawsze wydawało się to oczywiste i śmieszyli nas bardziej papiescy niż papież rodzice protestujący przeciw szkolnym wycieczkom do kina na ekranizacje

książek o małym czarodzieju.

...o niechęci Polaków do wykorzystywania elementów erotycznych w reklamie – co szóstego respondenta badania OBOP-u takie reklamy oburzają, a ponad połowa ich nie lubi. W tej kwestii jesteśmy mniej tolerancyjni od Czechów, ale bardziej otwarci niż Węgrzy. Bo wiemy, że z takich badań niewiele wynika – reklamodaw-

com nadal wszystko się będzie kojarzyć jak żołnierzowi służby zasadniczej przed przepustką.

...o meczu szachowym Garri Kasparow kontra komputer Deep Junior, w którym po czwartej, niedzielnej, partii był remis 2:2, bo z takim napięciem obserwowaliśmy zmagania człowieka z programem, że zabrakło nam sił do pisania. Ale jeszcze napiszemy.

MYŚL TYGODNIA

Mamy ogromną górę świnską.

Wicepremier
JAROSŁAW KALINOWSKI
o nadprodukcji
wieprzowiny w Polsce





MÓWI ŚWIADEK KATASTROFY: – DOM ZASTRZĄSŁ SIĘ, JAKBY NA PODWÓRKO WJĘCHAŁ POCIĄG. USŁYSZELIŚMY ŚWIST. NAD GŁOWAMI PRZELECIAŁ NAM KAWAŁEK COLUMBII

Części promu
Columbia mkną
przez niebo
nad miasteczkiem
Tyler w Teksasie.
Na zdjęciu widać
jedną z ostatnich
eksplozji,
jaka rozerwała
spadające szczątki
promu



WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

PROMU NIE MA

FOT. SCOTT LIEBERMAN/TYLER MORNING TELEGRAPH/AP



RICK HUSBAND (l. 46) dowódca ostatniej wyprawy Columbii, pułkownik US Air Force i oblatywacz (latał na 40 różnych samolotach). Miał żonę i dwoje dzieci.

DAVID BROWN (l. 46) chirurg wojskowy i kapitan US Navy. Miał na koncie 2700 wylatanych godzin. Do NASA wstąpił siedem lat temu. Był kawalerem.

LAUREL CLARK (l. 41) chirurg, oficer US Navy, specjalista w zakresie medycyny morskiej i ewakuacji łodzi podwodnych. Clark miała męża i ośmioletniego syna.

WILLIAM MCCOOL (l. 41) pilot promu, oficer US Navy i oblatywacz. Miał za sobą ponad 400 lądowań na lotniskowcach. Miał żonę i troje dzieci.

KALPANA CHAWLA (l. 41) astronautka i doktor inżynierii lotniczej. W kosmos poleciała po raz drugi. Miała męża i trójkę dzieci. Z pochodzenia była Hinduską.

MICHAEL ANDERSON (l. 43) informatyk pokładowy, pułkownik US Air Force i instruktor lotniczy. W kosmos poleciał po raz drugi. Żonaty.

ILAN RAMON (l. 48) doświadczony pilot i pułkownik lotnictwa izraelskiego. Weteran wojny Jom Kippur, brał też udział w bombardowaniu irackiego reaktora nuklearnego w roku 1981.

ONI SĄ ANIOŁAMI I NIMI POZOSTANĄ. JEDNOCZY NAS ŚWIADOMOŚĆ, ŻE NAPRAWDĘ CHCELIAM BYĆ – MÓWI WDOWA PO IZRAELSKIM ASTRONAUCIE



FOT. BILL INGALLS/NASA/AP



Ilan Ramon (z mikrofonem w ręku) rozmawia z pokładu Columbii z premierem Izraela Arielem Szaronem (21 stycznia). Obok stoją od lewej: Laurel Clark, Rick Husband i Kalpana Chawla



Pracownicy z centrali NASA w Waszyngtonie słuchają oświadczenia, w którym ich szef Sean O'Keefe informuje o katastrofie promu Columbia

Rona Ramon z czwórką dzieci czekała na końcu betonowego pasa lądowań. Po ponad dwóch tygodniach nerwów jej obawy miały się wreszcie skończyć. Na 20 minut przed lądowaniem wydawało się, że życiu jej męża nic już nie może zagrażać. Lot przebiegał bez niespodzianek, Ilan przez cały czas pisał maile, a teraz szczęśliwy i zdrowy wracał na Ziemię. Z perspektywy podróży, którą odbył, w gruncie rzeczy był już wśród nich, niemal na wyciągnięcie ręki.

O godzinie 9.00 wielki zegar na przylądku Canaveral wskazywał 16 minut do zakończenia misji. Podekscytowani ludzie z lornetkami wypatrywali już Columbii na horyzoncie. Znawcy wahadłowców nasłuchiwali dwóch głośniejszych uderzeń, które słyhać na krótko przed lądowaniem, gdy prom schodzi poniżej prędkości dźwięku. Nagle przez tłum zniecierpliwionych dziennikarzy przeszedł szmer ożywionej rozmowy, a chwilę później za plecami Rony ustawił się pluton telewizyjnych kamer. Zanim zdążyła się odwrócić, podeszło do niej dwóch ludzi w uniformach NASA. Poprosili, by razem z dziećmi weszła do budynku. Tam Rona Ramon dowiedziała się, że Ilan nie przyleci. Ani teraz, ani jutro. Po prostu nigdy.

Wraz z Ilanem Ramonem w sobotniej katastrofie promu Columbia zginęło sześć osób amerykańskich astronautów, w tym dwie kobiety.

20 MINUT OD DOMU

Ostatnia misja Columbii niczym się nie różniła od 28 wcześniejszych lotów. Poza drobnym incydentem podczas startu przebiegała według planu – bez żadnych usterek ani niespodzianek. Powody do niepokoju pojawiły się dopiero na 20 minut przed lądowaniem. Tuż przed 9 rano z monitorów w centrum kontroli lotów zaczęły znikać bieżące dane o stanie wahadłowca. Jako pierwsze o 8.53 zniknęły odczyty z czterech czujników

temperatury w lewym skrzydle Columbii. Trzy minuty później, gdy prom leciał nad Nevadą, zamilkły czujniki w lewym kole oraz te wskazujące temperaturę opon schowanych w lewym skrzydle. Pozostałe dane napływające z promu były jednak prawidłowe.

O 8.58 zamilkły kolejne trzy czujniki temperatury w lewym skrzydle, a minutę później Houston przestało otrzymywać wskazania z ośmiu czujników ciśnienia i temperatury w oponach. Wyglądało na to, że po lewej stronie wahadłowca dzieje się coś niepokojącego.

Tym razem kontrola lotu powiadomiła o usterekach załogę Columbii. Dowódca, Amerykanin Rick Husband, zdążył tylko potwierdzić odbiór komunikatu. Łączność radiowa urwała się w pół słowa, dokładnie o 9 rano. Chwilę później kilkadziesiąt osób siedzących pod wielkim czarnym ekranem w sali kontroli lotu zobaczyło, jak Columbia nagle ześlizguje się z wyznaczonej drogi na Florydę i gaśnie nad środkowym Teksasem.

Szefowie NASA natychmiast zawiadomili Białą Dom. Jeszcze przez kwadrans kontrolerzy łudzili się, że uda się przywrócić łączność albo załoga Columbii samodzielnie doleci do Florydy. Gdy zegar przed lądowaniem wskazał rząd zer, a w wiadomościach pojawiły się doniesienia o złomie spadającym z nieba, nie było już złudzeń, że Columbia nigdzie nie doleci.

– Promu nie ma – tak brzmiał pierwszy nieoficjalny komunikat, jaki przedostał się do mediów od wysokiego rangą urzędnika amerykańskiej administracji.

LOT PRZEZ PŁOMIENIE

Kilkanaście minut wcześniej stacje telewizyjne zaczęły pokazywać amatorskie nagrania filmowe, na których przez bezchmurne teksaskie niebo mknął świetlisty punkt z białym warkoczem. Chwilę później widać mały błysk, po którym świecąca kropka rozdzieliła się na dwie, potem trzy i w końcu pięć jasnych ogników pędzących po nieboskłonie. Kilkusekundowy spektakl wyglądał jak nieudana próba fajerwerków. Patrząc na to nagranie, aż trudno uwierzyć, że dokumentuje śmierć siedmiorga ludzi. Może dlatego telewizje na całym świecie nie pokazywały w sobotę niczego innego.

Columbia rozpoczęła schodzenie z orbity okołoziemskiej o godzinie 8.15. Na wypadek dekompresji astronauta założyli pomarańczowe skafandry ciśnieniowe (obowiązek ich noszenia podczas powrotu na Ziemię wprowadzono po katastrofie Challenge'a w roku 1986), zasunęli przyłbice hełmów i zapięli się w swoich fotelach. Potem na dwie i pół minuty włączyli silniki, które dopchały prom w zasięg przyciągania ziemskiego. Od tej chwili Columbia nie mogła już cofnąć się w kosmos. Jej los był przypieczętowany.

Utrata łączności z wahadłowcem nastąpiła w chwili, gdy Columbia wkraczała w krytyczną fazę powrotu na Ziemię. Zderzenie 120-tonowego wahadłowca rozpędzonego do sześciokrotnej

prędkości dźwięku z cząsteczkami powietrza wytwarza na zewnętrznej powierzchni promu temperaturę sięgającą dwóch tysięcy stopni Celsjusza. Najgorętsza faza lotu trwa około 13 minut. W tym czasie życie załogi zależy od 20 tysięcy żaroodpornych płytek, które pokrywają spód, dziób i krawędzie skrzydeł promu. Aby wahadłowiec się nie zapalił, pilot przed wejściem w atmosferę ustawia go niemal pionowo do powierzchni Ziemi. Dzięki temu największą temperaturę przyjmuje osłonięty brzuch promu. W podobny sposób ustawiła się przed zejściem również Columbia.

Według wstępnych ustaleń komisji śledczej na wysokości 63 kilometrów temperatura na spodzie promu sięgnęła 1650 stopni. Z niewyjaśnionych przyczyn płytki ochronne na lewym skrzydle zawiodły i płomienie przypuszczalnie wdarły się do luku mieszczącego lewe podwozie wahadłowca. Chwilę potem ludzie obserwujący prom w Teksasie usłyszeli potężny huk i zobaczyli, jak od jasnego punktu na niebie odrywa się duży kawałek. Było to przypuszczalnie lewe skrzydło Columbi.

DESZCZ ZŁOMU

Choć na Ziemi nikt o tym jeszcze nie wiedział, na ratunek nie było już nadziei. Po odejściu skrzydła prom utracił sterowność i bezwładnie wpadając w atmosferę, zapalił się od tarcia. Wkrótce potem wahadłowiec rozerwała przypuszczalnie eksplozje zbiorników z paliwem.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie zginęli astronauty. Na Ziemi doleciały już tylko ich zwłonne ciała.

Jedną z pierwszych oznak katastrofy był złom spadający z nieba. Dymiące kawałki żelaza, gumy, okablowania i płytek ceramicznych zasypały obszar 1200 kilometrów kwadratowych od Dallas aż po Luizjanę. NASA od początku ostrzegała, żeby nie dotykać szczątków Columbi, gdyż mogą być skażone toksycznym paliwem. Mimo to już w ciągu doby złom promu pojawił się na aukcji internetowej eBay.

Najwięcej części spadło na okolice miasteczka Nacogdoches w Teksasie. Ludzie znajdowali kawałki Columbi na polach, ulicach, trawnikach, a nawet we własnych domach. W przychodni dentystycznej recepcjonistka znalazła kawałek żelaza na swoim biurku. Na szczęście spadające elementy nikogo nie raniły. W niedzielę w miejscowości Hemphill w Teksasie strażacy znaleźli pierwsze ludzkie szczątki. Po krótkiej modlitwie skrupulatnie je zebrali i odwieźli do pobliskiej bazy wojskowej. Ktoś inny znalazł osmalone hełmy i naszywki z logo misji.

Katastrofa pogrążyła Stany w żałobie. Już w sobotę flagi na budynkach państwowych spuszczone do połowy masztu, a do wieczoru w kilku miejscach powstały spontaniczne

miejsca pamięci siedmiorga astronautów. Ludzie składali kwiaty i zapalali świece przed wejściem do Johnson Space Center w Houston, a także na przylądku Canaveral oraz tam w Teksasie, gdzie pospadały części promu. O 13 NASA oficjalnie ogłosiła, że prom i załoga ulegli katastrofie.

BÓG POKAZAŁ SWĄ MOC

Prezydent Bush natychmiast wrócił z Camp David do Waszyngtonu. O 14 zwrócił się za pośrednictwem telewizji z przemówieniem do narodu.

– Straciliśmy Columbię. Nikt nie przeżył – zakomunikował rodakom. W starannie wyreżyserowanej przemowie było wszystko poza prawdziwymi emocjami – hołd złożony astronautom bohaterom, zapewnienie, że Ameryka nie przestanie latać w kosmos, a nawet obszerny cytat z Księgi Izajasza. Bush odczytał swój tekst z marsowym obliczem. Kilkanaście godzin wcześniej odbył naradę wojenną z premierem Wielkiej Brytanii Tonym Blairem, podczas której ustalili szczegóły ataku na Irak.

Na wieść o katastrofie irackie władze zareagowały radością. – Bóg pokazał swą moc: atakując nasz kraj, a Bóg zechciał nas pomścić – powiedział przedstawiciel irackiego rządu.

Wewnętrzne śledztwo NASA mające na celu ustalenie przyczyny katastrofy rozpoczęło się w niespełna pół godziny po niej. Kontrolerom w Houston polecono zabezpieczyć wszelką dokumentację lotu. Pod czarnym ekranem ludzie zaczęli się krzątać, sprząając papiery ze swoich biur do opieczutowanych kartonów. W weekend ruszyły w sumie trzy niezależne śledztwa.

Władze amerykańskie wyraźnie stwierdziły, że atak terrorystyczny w ogóle nie wchodził w grę. W chwili katastrofy Columbia była poza zasięgiem rakiet ziemia-powietrze (leciała dwa razy wyżej niż pułap samolotów pasażerskich). Eksperci przypomnieli natomiast o pozornie nieszkodliwym incydencie, do którego doszło w trakcie startu Columbi 16 stycznia. Kilka metrów nad ziemią z żółtego zbiornika na paliwo oderwał się kawałek piankowej izolacji i lecąc w dół, uderzył w płytki ceramiczne na lewym skrzydle promu. Tuż po starcie specjaliści z NASA przeanalizowali nagrania incydentu klatka po klatce. Stwierdzili, że oderwany kawałek nie mógł spowodować istotnych uszkodzeń. Teraz nagrania są ponownie analizowane.

OBNIŻONA POPRZECZKA?

Columbia była najstarszym z amerykańskich wahadłowców. Jak ujawniono po wypadku, dwa lata temu NASA, chcąc odciążyć swój budżet, rozważała wycofanie jej z użycia. Zamiast tego zdecydowano się jednak na gruntowną modernizację promu.

Nawet jeśli się okaże, że katastrofa była nieśczęśliwym wypadkiem lub następstwem błędu załogi, dochodzenie na pewno popsuje reputację NASA. Odkąd dwa lata temu państwo zredukowało budżet NASA o 40 procent, agencja nieustannie boryka się z kłopotami finansowymi. Już wtedy niezależni eksperci ostrzegali, że cięcia i nieudolny sposób zarządzania mogą zagrozić życiu astronautów latających w kosmos.

Niektórzy specjaliści są zdania, że katastrofa Columbi jest strasliwym dowodem na to, że NASA oszczędzała na bezpieczeństwie.

Jednym z nich jest Don Nelson, emerytowany inżynier, który pracował w agencji 36 lat, między innymi przy projektowaniu i budowie obecnych wahadłowców. – Myślę, że w ciągu wielu lat istnienia programu kosmicznego NASA obniżyła poprzeczkę wymogów bezpieczeństwa – mówi dziś Nelson. – Gdy próbowałem podzielić się moimi wątpliwościami z nowym kierownictwem agencji, dostałem dwie reprimendy. W ten sposób odstraszono też innych.

Latem ubiegłego roku Nelson złożył na ręce prezydenta Busha pismną prośbę o zawieszenie lotów kosmicznych. Twierdził, że NASA notorycznie ignoruje ostrzeżenia dotyczące bezpieczeństwa astronautów i zaniedbuje mo-

dernizację systemów bezpieczeństwa, które w razie wypadku mogłyby uratować im życie. Ostrzegł też, że jeśli wahadłowce dalej będą latać w obecnych warunkach, prędzej czy później dojdzie do katastrofy na miarę Challenge-ra. Biały Dom odrzucił jego skargę.

WCIĄŻ IDZIEMY DO PRZODU

W sobotę Rona Ramon zjawiła się wraz z rodziną w synagodze nieopodal ośrodka kosmicznego w Houston, gdzie odbyło się nabożeństwo za spokój duszy jej męża. Ramonowie mieszkali w Teksasie od czterech lat. Ilan nie był praktykującym żydem, ale jego rodzina była mocno związana z miejscową społecznością żydowską. Na wieść o katastrofie z Izraela przyjechała dalsza część jego rodziny.

W ciągu kilku minionych tygodni lot Ramona w kosmos urosł w Izraelu do wydarzenia rangi państwowej. – Jako pierwszy izraelski astronauta czuję, że jestem przedstawicielem wszystkich żydów i wszystkich Izraelczyków – mówił Ilan Ramon przed odlotem. – Jestem synem człowieka ocalałego z Holocaustu i do wódem na to, że mimo tragedii, przez którą przeszliśmy, wciąż idziemy do przodu.

Pierwszy rodak w kosmosie stał się dla Izraelczyków symbolem wszystkiego, czego dzisiaj

nie mają: radości, szczęścia, powodzenia, postępu i nadziei. Przynosił dobre wieści.

– Śledziłam sprawę lotu Columbi od samego początku – mówi 33-letnia Orna Lavie z Tel Awiwu. – Tak dobrze było zobaczyć w telewizji uśmiechniętego prezentera. Wreszcie z Izraela wychodziło coś pozytywnego, jakieś szczęście. A teraz to. To straszne. To prawdziwa tragedia.

Na pokład Columbi pręczy koszernej jedzenia Ilan Ramon zabrał całą masę pamiątek: miniaturową Torę od prezydenta Izraela Mosze Kacawa, mezuzy wieszane zwyczajowo na drzwiach żydowskich domów, wypożyczony z Yad Vashem rysunek chłopca, który zginął w Oświęcimiu, listy od brata i syna do przeczytania dopiero na orbicie, a także zdjęcia rodzinne i cztery wiersze od żony. Podczas pobytu w kosmosie obchodził szabat i modlił się, ilekroć prom przelatywał nad Jerozolimą. Jak na ironię prom, którym pierwszy izraelski astronauta powracał na Ziemię, rozleciał się na kawałki dokładnie nad miejscowością Palestina w Teksasie.

Rona Ramon chce zostać w USA, dopóki NASA nie zbierze szczątków jej męża. 79-letni ojciec Ramona martwi się, że jego syn nie będzie miał grobu. – Chciałbym przynajmniej

wiedzieć, co się stało – powiedział Eliezer Wolfman w niedzielnym wywiadzie dla izraelskiego radia. W dniu lądowania izraelska telewizja zaprosiła go do studia, by na żywo dzielił się swoimi wrażeniami. Teraz jest rozbity i zagubiony. – Ilan nie będzie miał grobu... Nie mam już syna, a wciąż nie mogę tego pojąć – mówi Wolfman.

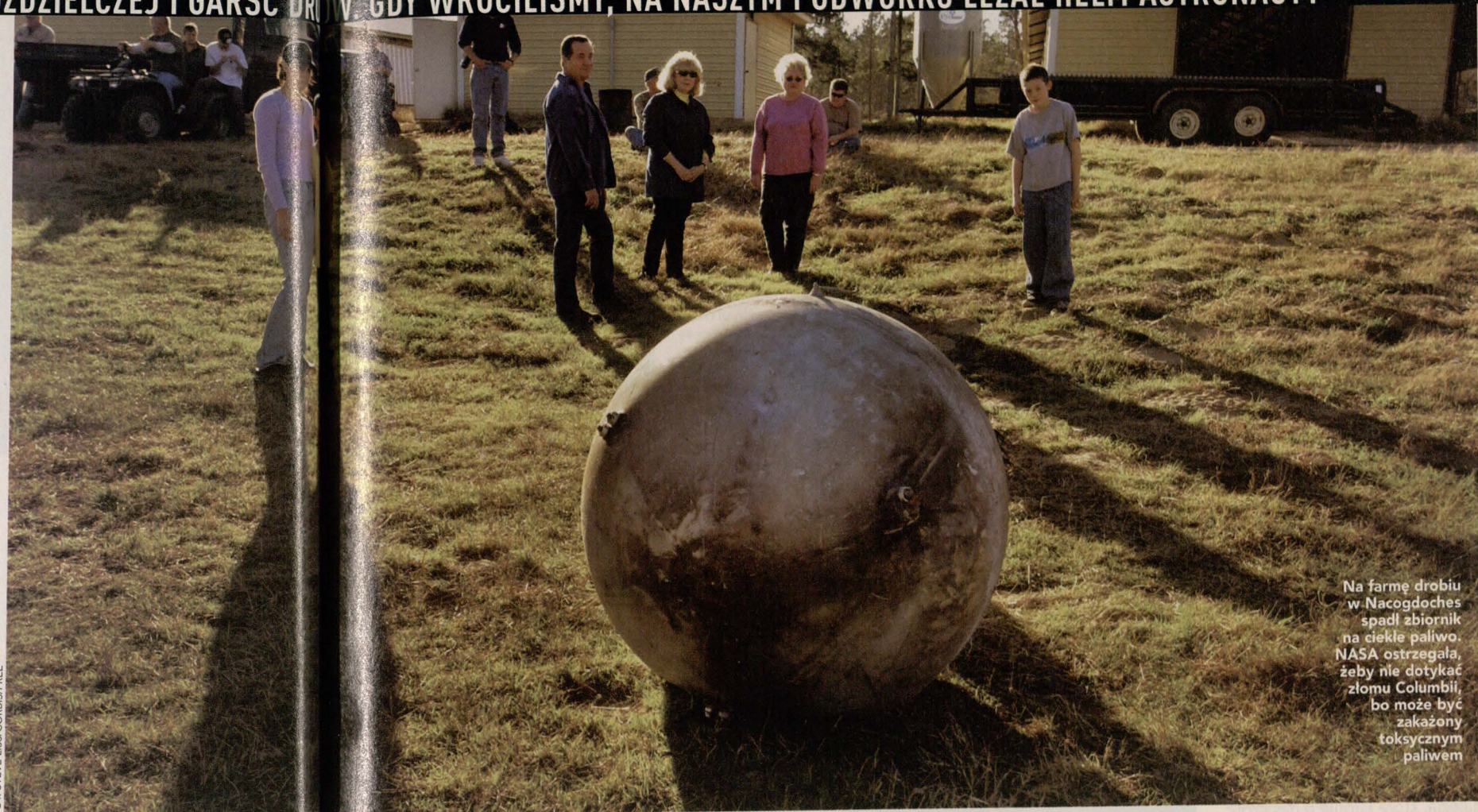
LUDZIE GINĄ TYLKO NA ZIEMI

Żona Ilana Ramona znalazła oparcie u przyjaciół. – Pocieszamy się tym, że Ilan opuścił nas w najlepszym okresie swojego życia, w swoim ulubionym miejscu i razem z ludźmi, których kochał – mówi Rona Ramon. Jej osieroconej pięcioletniej córce takie tłumaczenie niewiele pomaga. – Jak można zginąć w kosmosie? Przecież ludzie giną tylko na ziemi – pyta Noa Ramon. Po katastrofie Rona przypominała sobie, co Noa mówiła przy starcie Columbi. Powiedziała wtedy: „Straciłam tatusia”.

Ostatniego maila od męża Rona dostała w piątek, na dzień przed lądowaniem. Ilan napisał: „Choć tutaj wszystko jest takie piękne, nie mogę się już doczekać, żeby Cię zobaczyć. Ściskam Cię i całuję dzieci”.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

FOT. STEVE LISS/CORBIS/FREE



Na farmę drobiu w Nacogdoches spadł zbiornik na ciekłe paliwo. NASA ostrzegała, żeby nie dotykać złomu Columbi, bo może być zakażony toksycznym paliwem

WIADOMOŚCI KRAJOWE

NIEDOGADANIE

Znów negocjujemy z Unią, bo **rząd źle zrozumiał uzgodnienia dopłat do rolnictwa**. Myślał, że rolnik na hektar dostanie 55 proc. kwoty unijnych dopłat. Z kolei Europa uważała, że da 25 proc., a do 55 dopelni, jeśli rolnik będzie produkował żywność objętą dopłatami w Unii. Polski negocjator wrócił do Brukseli, opozycja chce wiedzieć, co naprawdę uzgodniono, a PSL grozi wyjściem z koalicji.

DEKLARACJA BEZ ZNACZENIA?

Rząd przyjął deklarację w sprawie ochrony życia, która byłaby klauzulą w traktacie stowarzyszeniowym z Unią Europejską. Dokument, który pozostawia Polsce (nie UE) stanowienie np. prawa do aborcji, to **odpowiedź na obawy Kościoła przed wejściem do Unii**. Rzecznik rządu Michał Tober twierdzi, że Unia i bez deklaracji nie ingerowałaby w moralność lub obronę życia. Nie wierzą mu protestujące przeciw klauzuli środowiska gejów i lesbijek.

SPIRALA OFFSETU

Malezja, która kupuje u nas czołgi za 300 milionów dolarów, **zażądała w zamian polskich inwestycji offsetowych**. Mamy zaofertować technologie uzbrojenia wartości 20 proc. kontraktu. Malezjczycy chętnie przyjmą nasze inwestycje w produkcję helikopterów, samolotów rolniczych lub sprzętu wojskowego. Negocjacje trwają.

KTOŚ JATRZY, ALE KTO?

Ktoś jakoby z administracji Busha jakoby powiedział, że jakoby polskie władze rozmawiają z Waszyngtonem o przeniesieniu z Niemiec do Polski amerykańskich baz wojskowych. **Plotka dementowana przez obie strony trafiła na pierwsze strony gazet**. Ale część ekspertów twierdzi, że to Ameryka rozpuszcza plotkę, chcąc jakoby dokuczyć Niemcom, którzy – to na pewno – sprzeciwiają się wojnie w Iraku.



Poświęcone szusowanie

Na Stożku w Wiśle księża i klerycy walczyli o tytuł mistrza Polski w narciarstwie alpejskim. Mistrzostwa zorganizowali czwarty raz franciszkanie z Panewnik. W kategorii księży do lat 35 wygrał obrońca tytułu o. Mariusz Tabor, franciszkanin z Krakowa. Na otwarcie mistrzostw dwaj księża pokazowo zjechali w sutannach (na zdjęciu). Reszta jeździła w strojach narciarskich.

FOT. P. SOWA/AG



Papierowa moda

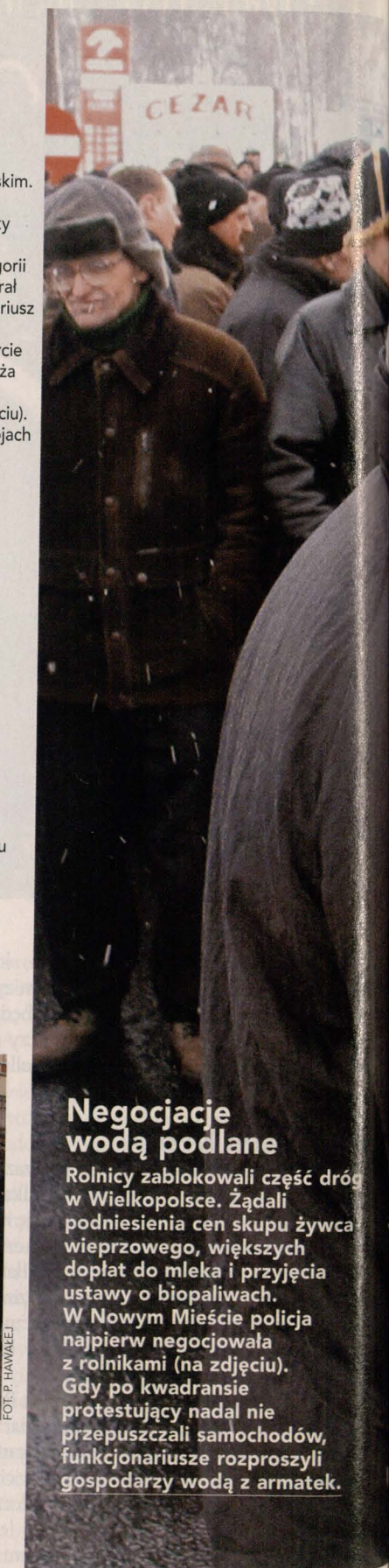
Studenci Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie zaliczali semestr, projektując strój z papieru – na zdjęciu jedna z prac egzaminacyjnych. W autobusie w godzinach szczytu ta sukienka egzaminu raczej nie zda.

FOT. J. BEDNARCZYK/PAP



Jedna trzecia na rynku

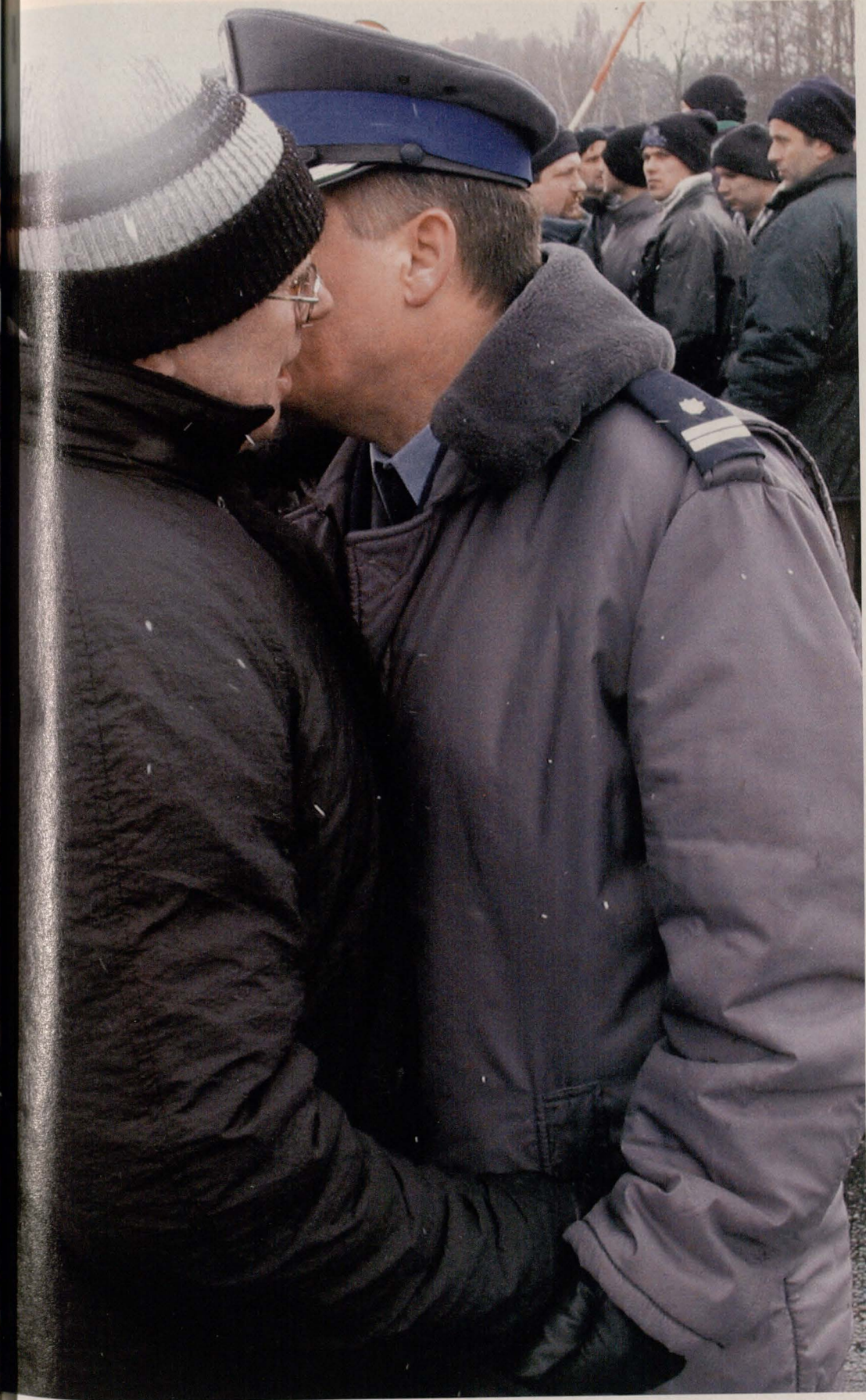
Ponad 200 osób protestowało we Wrocławiu przeciwko wojnie z Irakiem. Na rynek przyszli anarchiści, antyglobaliści i emeryci. Nawoływali przechodniów do „porzucenia bierności”. Rozeszli się w spokoju. Według sondaży 60 proc. Polaków zgodziłoby się na wysłanie żołnierzy na tyły wojny z Irakiem, przeciw jest 30 proc.



Negocjacje wodą podlane

Rolnicy zablokowali część dróg w Wielkopolsce. Żądali podniesienia cen skupu żywego wieprzowego, większych dopłat do mleka i przyjęcia ustawy o biopaliwach. W Nowym Mieście policja najpierw negocjowała z rolnikami (na zdjęciu). Gdy po kwadransie protestujący nadal nie przepuszczali samochodów, funkcjonariusze rozproszyli gospodarzy wodą z armatek.

FOT. P. HAWANEJ



INTERNAUCI DO GŁOSOWANIA!

Św. Maksymilian Maria Kolbe **jest na liście świętych kandydatów** do objęcia patronatu nad Internetem. Na stronie www.santiebeati.it/patrono.shtml można głosować na jednego z sześciu świętych. Poza Maksymilianem – „specjalistą od nowoczesnych technik medialnych” – są tam między innymi Jan Bosko, Klara z Asyżu i Archaniol Gabriel.

OBДАРOWANIE Z USUWANIEM

Celnicy z Białej Podlaskiej rozdają ponad osiem tysięcy par butów sportowych. Obuwie trafi do domów dziecka, szkół, domów pomocy społecznej i tym podobnych placówek. **Buty pochodzą z przechwyconej trzy lata temu kontrabandy** – znajdują się na nich fałszywe znaki markowych firm. Obdarowani są zobowiązani je zerwać.

ZADYSZKA NAD SZACHOWNICĄ

Co piąty Polak regularnie lub często uprawia sport – donosi CBOS, który badając naszą aktywność fizyczną, spytał też o umiejętności sportowe. Wynik: 94 proc. Polaków umie jeździć na rowerze, prawie połowa – na nartach, **40 proc. umie grać w szachy, a 15 proc. – w brydża**. Już widzimy te bicepsy rosnące podczas przedstawiania pionka.

ZALANY W ZALEWIE

Uciekająca przed policją ciężarówka z bułgarskimi numerami zatonała w oblodzonym Zalewie Wiślanym pod Włocławkiem. Gdy kierowca wyskoczył z kabiny, **samochód sam jechał trzy kilometry po zalewie**, aż załamał się pod nim lód. Strażacy wydobyli ładunek waty z przyczepy (bo mogła zagrozić turbinom w zaporze) i zatopili auto – łatwiej je będzie wydobyć wiosną niż zimą.

PECH PO PACHY

Jerzy Krzciuk z Kluczborka pobił rekord Polskiej Księgi Osobliwości – ten 64-letni mężczyzna spędził w lodowatej wodzie 18 minut i 50 sekund. W tym samym dniu pod 70-letnim wędkarzem spod Zawiercia zarwał się lód. **Pechowiec stał po piersi w lodowatej wodzie** przez dwie godziny, dopóki nie przyszła pomoc. Wyziębiony trafił do szpitala.

FOT. L. CYNALEWSKI/AG

NAJKRÓCEJ

☛ Susan Sarandon straciła szansę na nominację do nagrody Stowarzyszenia Aktorów Amerykańskich. Producent filmu „Adaptation” z jej udziałem, Sony Columbia Pictures, **PRZEZ POMYŁKĘ** zgłosił ją do nagrody za najlepszą główną rolę, a nie drugoplanową.

☛ Pięć grobów z XIII wieku odnaleziono podczas remontu **W PIWNICY** jednego ze szczecińskich liceów. Stoi ono na miejscu średniowiecznego kościoła Mariackiego i przykościelnego cmentarza. Kościół ten był jedną z najważniejszych świątyń Szczecina.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

EUROPEJSKA PYSKÓWKA

Premierzy Polski, Węgier, Danii, Hiszpanii, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Włoch i prezydent Czech **podpisali list popierający atak USA na Irak**. Niemcy, Francja i szefująca teraz Unii Grecja są zaskoczone, bo o liście nie wiedziały. Pismo podzieliło Europę. Kraje przeciwnie atakowi nazwano „Stara Europa”. Te odpowiadają: „Wasale USA, ministranci Busha!”.

REFORMY PRZED WOJNA

W dorocznym orędziu George W. Bush namawiał Amerykanów do poparcia wojny z Irakiem. Ale zaczął od omówienia reform systemu edukacji i rynku papierów wartościowych: sondaże wskazują, że to **interesuje Amerykanów bardziej niż wojna**. Przekonanie obywateli o zbieżności priorytetów prezydenta i narodu wzrosło w sondażach z 54 proc. przed orędziem do 81 proc. po nim.

ROPA ZNÓW PŁYNIE

W Wenezueli skończył się trwający 63 dni strajk generalny. Udałej mediacji między strajkującymi a prezydentem Hugo Chavezem podjęli się przedstawiciele grupy państw na czele z USA. **Strajk pogłębiał niepewność** na światowym rynku paliw związaną z planowanym atakiem na Irak: Wenezuela jest największym eksporterem ropy naftowej w Ameryce Łacińskiej.

ZWYCIĘSTWO TWARDEJ LINII

Partia rządzącego premiera Izraela Ariela Szarona znów zwyciężyła w wyborach. **Likud podwoił liczbę swoich mandatów** w 120-osobowym Knesecie – ma ich teraz 37. Szaron był tak pewny zwycięstwa, że powyborcze przemówienie napisał jeszcze przed otwarciem lokali do głosowania. Teraz szuka koalicjantów.

POLSCY SZANTAŻYŚCI

W Portugalii policja **aresztowała dwóch Polaków** podejrzanych o podłożenie w grudniu 2002 roku ładunków wybuchowych pod dwa sklepy Ikea w Holandii. Wcześniej przestępcy grozili wysadzeniem sklepów tej sieci, jeśli nie dostaną „wielu milionów euro” okupu.



Modlitwa o pokój

Niemcy protestują przeciwko wojnie z Irakiem. W Erfurcie – z zapalonymi zniczami i świecami – ustawili się w znak krzyża na stopniach katedry, po czym, rozchodząc się, pozostawili światła na schodach kościoła.

FOT. AP



Kruszenie piratów

Na Filipinach rząd walczy z piractwem płytowym. W poniedziałek pod Manilą odbyła się ceremonia „kruszenia dysków”: zniszczono płyty warte na czarnym rynku dwa miliony dolarów. Na zdjęciu robotnik kruszy płyty CD i DVD.

FOT. AP



Irakijczycy na Węgrzech

W bazie USA na Węgrzech będą szkoleni opozycjoniści z Iraku. W Taszar około tysiąca Irakijczyków nauczy się zarządzać krajem po obaleniu Saddama, podszkółą też swój angielski. Na zdjęciu amerykański żołnierz w asyście żołnierza węgierskiego dokładnie sprawdza wjeżdżający do bazy samochód.

FOT. AP

Pechowy rok

Chińczycy świętowali Nowy Rok – zodiakalny rok Kozy zaczął się 1 lutego i już wiadomo, że będzie pechowy. Urodzeni w roku Kozy nie mają bowiem szczęścia. W dodatku Nowy Rok w Chinach poprzedzany jest sięgającym kilkudziesięciu procent podwyżkami cen biletów kolejowych i autobusowych – mają one ograniczyć podróże Chińczyków, którzy wędrują do rodzin, aby zjeść tradycyjne noworoczne pierożki. Na zdjęciu: Świąteczny popiół wytrzymałości w Pekinie.



O'TOOLE NIE CHCE OSCARA

70-letni Peter O'Toole odmówił przyjęcia honorowego Oscara, bo „wciąż jest w grze” i ma nadzieję otrzymać „zwyczajną” statuetkę. Szef Akademii Filmowej Frank Pierson twierdzi, że **przyjęcie Oscara nie można odmówić**, więc i tak nagroda poczeka na O'Toole'a. Postoi więc do roku 2013, bo aktor proponuje przyznanie mu tej nagrody dopiero w wieku 80 lat.

WSPOMNIENIE O PUTINIE

W Rosji powstaje film, którego scenariusz oparto na **wspomnieniach żony rosyjskiego prezydenta** Ludmiły Putinej. Odtwórca głównej roli męskiej Andriej Panin twierdzi, że dopiero po dwóch tygodniach zdjęć zorientował się, kogo gra.

ŚMIERZĄCY LOT

W samolocie lecącym z Antyli do Amsterdamu zepsuty system toaletowy wdmuchiwał do kabiny pasażerskiej zawartość kontenera ze ściekami. 282 pasażerom nic się nie stało. Rzecznik linii zapewnia, że **maszynę da się doczyścić**, a samolot kiedyś jeszcze poleci.

JACKSON DO BUCKINGHAM

Michael Jackson nie znalazł dużego domu w USA, szuka więc w Europie. W Paryżu pasowałby mu pałac sultana Brunei, w Anglii pałac Buckingham, zamek Windsor lub coś podobnego. **Cena nie gra roli**. O krakowskim Wawelu nie wspominał.

POTWIERDZENIE Z KSIĘŻYCĄ

Klienci, którzy kupili parcele na Księżycu – między innymi **Ronald Reagan i Jimmy Carter** – są zaskoczeni, że nie dostali dokumentów potwierdzających ich prawo własności. Brak aktu notarialnego zgłosili jako oszustwo, więc holenderski sprzedawca Rene Veenema czeka w więzieniu na rozprawę.

PANOWIE VIAGRA I CIALIS

64-letni Brytyjczyk Russell Cialis stał się przedmiotem niewybrednych żartów, odkąd producent tabletek na impotencję nazwał je też „Cialis”. Firma broni się, że **nazwisko nie było opatentowane**. Pan Cialis zapowiada skierowanie sprawy do sądu. Pyta: „Jak czułby się pan Viagra, gdyby takowy istniał?”

NAJKRÓCEJ Kompozytor i pianista **KEITH JARRET** został laureatem tegorocznej Polar Music Prize. Nagrodę, zwaną muzycznym

Noblem, wręczy artyście król Szwecji 12 maja. 30 kwietnia Jarret będzie koncertował w Warszawie.

SONARY służące na okrętach wojennych do wykrywania min pomogą w oglądaniu organów wewnętrznych bardzo otyłych ludzi. Badanie USG często nie przynosi u nich zadowalających rezultatów. Jeśli tkanka tłuszczowa jest grubsza niż 12 centymetrów, obraz staje się niewyraźny.



Być może „Milionerzy” pojawią się kiedyś okazjnie w TVN. Sam Hubert Urbański od marca ma prowadzić jeden z programów tej stacji



FOT. A. CHEŁSTOWSKI/FOTUM (2)

POŻEGNANIE Z MILIONAMI

PRZEZ PRAWIE TRZY I PÓŁ ROKU EMISJI TELETURNIJU „MILIONERZY” NIKT NIE WYGRAŁ TYTUŁOWEGO MILIONA. I JUŻ NIE WYGRA, BO TVN ZREZYGNOWAŁA Z PRODUKCJI PROGRAMU

Do zobaczenia w następnych „Milionerach” – pożegnał widzów w niedzielę 26 stycznia prowadzący teleturniej Hubert Urbański. Chwilę wcześniej buczenie przerwało właśnie rozpoczętą kolejną grę. Odpowiadająca przedostatnia zawodniczka zrezygnowała z odpowiedzi za 250 tysięcy złotych, wygrywając gwarantowane 125 tysięcy.

Była to ostatnia wygrana w „Milionerach”.

– Na razie zawieszamy produkcję tego programu – informuje Edward Miszczak, dyrektor programowy stacji.

TVN emitowała „Milionerów” od początku września 1999 roku. Pomysł był importowany: teleturniej pojawił się w roku 1998 w Anglii, gdzie do wygrania też był milion, ale

funtów. W Polsce program natychmiast stał się popularny. Widzowie milionami wyczekiwali na zwycięskiego milionera. W końcu jednak okazało się, że w naszym kraju nazwa teleturnieju ukuta została na wyrost – ze studia nie wyszedł ani jeden milioner. Tylko trzy razy uczestnicy wygrali po pół miliona, choć w sumie na nagrody TVN wydała 25 milionów złotych.

– Kiedy skończą się „Milionerzy”? – zapytano kiedyś na czacie Huberta Urbańskiego.

– Kiedy już nikt nie będzie mógł tego wytrzymać – odpowiedział wtedy prowadzący. Wygląda na to, że Urbański miał rację. TVN tłumaczy decyzję o rezygnacji z „Milionerów” zmieniającymi się gustami publiczności. Podobno ludzie nie chcą już oglądać takich programów: – W Europie od dawna obserwujemy tendencję odrotu od teleturniejów – wyjaśnia Edward Miszczak. Czego więc oczekują widzowie? – Wprowadzamy do ramówki nowy, duży, codzienny serial fabularny, pracujemy też nad kilkoma nowościami w ramówce wiosennej. To może być zaskoczenie – zapowiada. „Milionerzy” znikają, ale nie znika Hubert Urbański – od marca ma prowadzić jeden z programów w TVN. ■

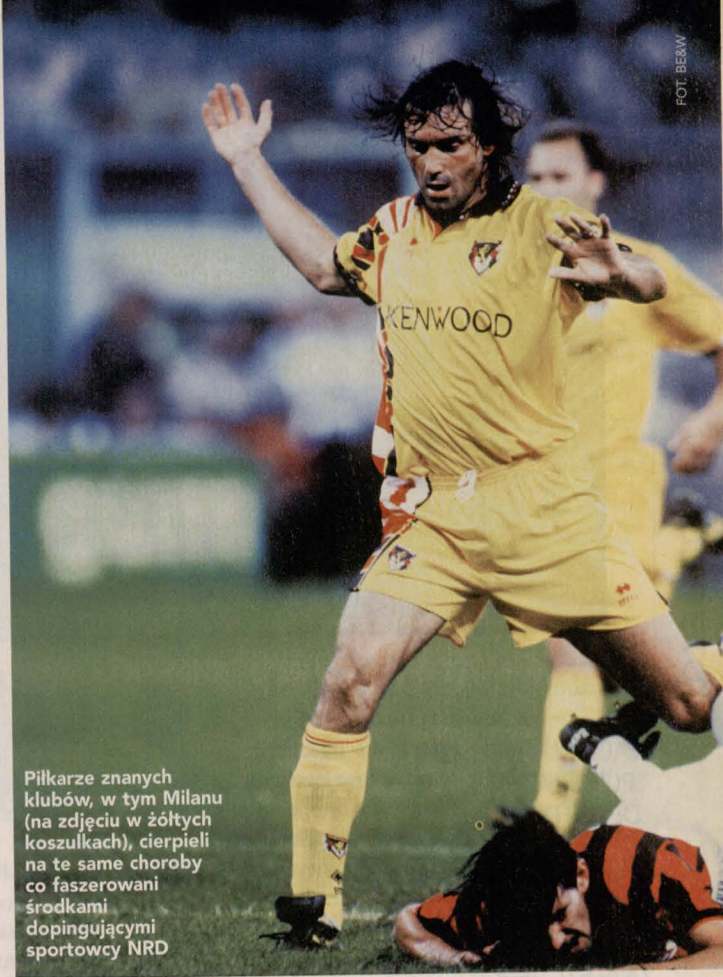
KTO TRUŁ WŁOSKICH PIŁKARZY?

Włoski sędzia śledczy bada, czy 70 gwiazd włoskiego futbolu nie zmarło na skutek stosowania dopingu. Wykłęty w środowisku piłkarskim sędzia Raffaele Guariniello zajął się sprawą na wniosek wdów po zmarłych sportowcach, które podejrzewają, że kluby piłkarskie latami podawały im między innymi środki dopingujące, być może nawet bez ich wiedzy. W ciągu czteroletniego śledztwa Guariniello zbadał karty lekarskie 24 tysięcy zawodowych piłkarzy powojennych Włoch. Wynika z nich, że procent zachorowań na raka, białaczkę i rzadkie choroby układu nerwowego był wśród piłkarzy znacznie wyższy niż wśród zwykłych Włochów. Lista chorób włoskich piłkarzy pokrywa się ze schorzeniami, na które umierali masowo faszerowani środkami dopingującymi sportowcy z dawnej NRD. Zdaniem Guariniello winę za śmierć piłkarzy ponoszą znane kluby, takie jak Juventus, Roma czy Milan, które rutynowo podawały im środki dopingujące.



Sędzia Raffaele Guariniello zbadał kluby zginęło tysiącom piłkarzy

Guariniello zyskał sławę, gdy za stosowanie niedozwolonych substancji doprowadził do postawienia przed sądem kolarza Marca Pantanigo.



Piłkarze znanych klubów, w tym Milanu (na zdjęciu w żółtych koszulkach), cierpieli na te same choroby co faszerowani środkami dopingującymi sportowcy NRD

CYFRO
MAT

27 litrów krwi miał jakoby oddać honorowo Saddam Husajn od roku 1999

5000 ludzi próbuje co roku wejść na Mount Everest

50 procent rodzin wojskowych w Rosji żyje poniżej oficjalnej granicy ubóstwa
2000 żołnierzy chroniło uczestników światowego forum ekonomicznego w Davos

BATERYJKOWY DEMON SZYBKOŚCI

Czteroosiowy KAZ wyglądem i rozmiarem (6,7 metra długości) przypomina autobus, ale osiągi ma iście sportowe. I to nie tylko jak na pojazd na baterie.

Osiem silników elektrycznych – po jednym przy każdym kole – z mocą 600 koni mechanicznych rozpędza auto do setki w siedem sekund, a maksymalnie – aż do 311 km/godz. Pojazd nie wydziela przy tym trujących związków i porusza się niezwykle cicho. Silniki zasilają 84 baterie litowo-jonowe (taki sam typ akumulatorów stosuje się w telefonach komórkowych), które podczas jazdy ze stałą prędkością 100 km/godz. zapewniają KAZ-owi zasięg 300 kilometrów. Ładowanie baterii zabiera jedynie 20 minut.

Wnętrze zmieści osiem osób, dla których przygotowano obite skórą superkomfortowe fotele. Projekt karoserii jest dziełem włoskiej pracowni I.DE.A. Institute, zaś pomysłodawcą całości jest prof. Hiroshi Shimizu z Tokio. Od 20 lat pracuje nad zastosowaniem w samochodach napędu elektrycznego. KAZ, czyli Keio Advanced Zero-Emission Vehicle, to jego najmłodsze dziecko. Budowa pochłonęła cztery miliony dolarów. Jeśli KAZ kiedykolwiek będzie produkowany seryjnie, będzie kosztował nie mniej niż 400 tysięcy dolarów.



Wewnątrz elektrycznego KAZ-a osiem osób może jechać z szybkością ponad 300 km/godz.

MUNDURY DLA DYPLMATÓW

Czarny, dwurzędowy garnitur ze złotymi guzikami opatrzonymi herbem Rosji, złote wyłogi na kołnierzu i mankiety ze złotymi lamówkami – w takim mundurze rosyjscy ambasadorowie już wkrótce zaczną występować podczas uroczystych ceremonii. W specjalnej pracowni w centrum Moskwy krawcy rosyjskiego MSZ kończą trwające od dwóch lat prace nad wojskowym uniformem dla dyplomatów. W ministerstwie trwają jeszcze dyskusje, czym przykryć głowy ambasadorów.

Wraz z powrotem do munduru rosyjska dyplomacja wraca do tradycji carsko-radzieckiej. Mundury dla swych ambasadorów wprowadził w roku 1834 car Mikołaj I. Po 1917 dyplomaci przeszli do cywila. W roku 1943 na nowo zmilitaryzowano ich strój oraz etykietę. W czasach ZSRR ambasadorowie nosili nakrycie głowy w kształcie wojskowej czapki, a na pagonach – gwiazdki w liczbie odpowiadającej randze w korpusie dyplomatycznym. Musieli też oddawać sobie wojskowe honory. Na żądanie Stalina nosili również kordziki.

Zgodnie z postanowieniem rosyjskiego rządu z roku 2001 panie nie muszą nosić mundurów.



Umundurowany Andriej Gromyko, ambasador ZSRR w USA, rozmawia w roku 1945 z sekretarzem stanu Josephem Crewem. Po prawej: Nowy projekt munduru dyplomatów Rosji



FOT. ITOGI/DAYS



Vaclav Havel z żoną Dagmarą wybierają się teraz do Portugalii

FOT. PETR JOSEK/REUTER/FORUM

OSTATNI, CO TAK CZECHY WODZIŁ

VACLAV HAVEL
PO 13 LATACH
DEFINITYWNE
OPUŚCIŁ
HRADCZANY.
CZESCY POLITYCY
NIE POTRAFIĄ
ZNALEZĆ JEGO
NASTĘPCY.
TO DOWÓD,
ŻE ZDARZAJĄ SIĘ
LUDZIE
NIEZASTĄPIENI

Po 13 latach prezydentury Vaclava Havla na hradeckim zamku opuszczono flagę prezydencką. Z uroczystości pożegnalnej wypadł jeden punkt – przekazanie władzy. Havel nie miał komu jej przekazać, czeski parlament nie był bowiem w stanie znaleźć mu godnego następcy.

Wraz z odejściem Havla skończyła się epoka – nie tylko w historii Czech, lecz także całej Europy Środkowej. Puste Hradczany to jeszcze jeden dowód na to, że „u nich” – ale i „u nas” nie będzie już tak samo.

Z królewskiego wzgórza górującego nad Pragę zszedł zwycięży dramaturg i wzór z Sèvres intelektualnego oporu przeciw totalitarnej dyktaturze. Jego esej „Siła bezsilnych” (co po czesku brzmi jeszcze wspanialej – „Moc bezmocnych”) był biblią opozycji wszystkich krajów obozu. Entuzjastycznie wybrany w roku 1990 na pierwszego prezydenta niepodległej Czechosłowacji, dopiero wtedy przekonał się, jak bardzo można być bezsilnym.

Pozostawał wierny starym zasadom, że w polityce ważna jest nie tylko skuteczność, istnieją bowiem jeszcze wartości moralne – i coraz bardziej tracił wpływ na to, co dzieje się w kraju. Nie udało mu się zapobiec rozpadowi Czechosłowacji, choć Czechy

i Słowacja jemu zawdzięczają, że ich rozwód był równie „aksamitny”, jak praska rewolucja roku 1989. Nie udało mu się namówić do ścisłej współpracy sąsiednich państw, a pod koniec kadencji musiał oglądać polityczną agonię Grupy Wyszehradzkiej, którą sam tworzył.

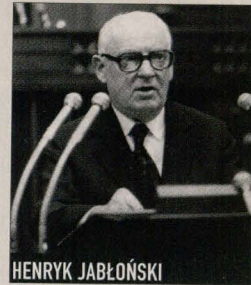
W Czechach cieszył się i nadal cieszy ogromną popularnością, ale jednocześnie Hradczany były uważane za siedzibę mądrych, uczciwych i politycznie zupełnie bezsilnych intelektualistów.

Gry o władzę i pieniądze toczyły się bowiem u stóp królewskiego wzgórza, a Havel miał niewielki wpływ na ich wynik. Teraz gracze muszą znaleźć jego następcę – i nie udaje im się. Czeskie życie polityczne „spolonizowało się” bowiem: dziesiątki, jeśli nie setki grupek połączonych i podzielonych interesami finansowymi, niepamiętających już, że poza interesami istnieje jeszcze coś. A na Hradczanach nie będzie już Havla, który by im o tym przypominał.

Ale ich strata może być zyskiem, na przykład naszym. Przecież w roku 1989 manifestanci w Warszawie skandowali: „Havel na Wawel!”. A Wawel wciąż stoi pusty...

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

ZMARLI



HENRYK JABŁOŃSKI

Henryk Jabłoński, 93, historyk, przewodniczący Rady Państwa w latach 1972–1985. Ponadto: członek Komitetu Centralnego PZPR i Biura Politycznego, poseł do Krajowej Rady Narodowej i poseł na Sejm PRL, przewodniczący Komisji Obrony Narodowej, minister oświaty i szkolnictwa wyższego, szef Frontu Jedności Narodu, członek Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, przewodniczący Rady Naczelnej Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, generał brygady, profesor Akademii Nauk Politycznych i Uniwersytetu Warszawskiego, członek akademii nauk: polskiej, ZSRR, Korei Północnej, rumuńskiej, czechosłowackiej. Otrzymał niezliczone nagrody i medale.



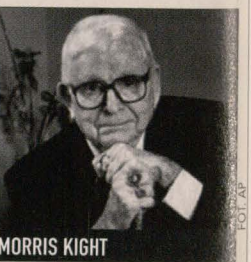
WALERY BRUMEL

Walery Brumel, 60, sześciokrotny rekordzista świata w skoku wzwyż, zdobywca złotego medalu na olimpiadzie w Tokio. Jego rekord świata 2,28 metra z roku 1963 został pobity dopiero po sześciu latach. Syn górnika z Syberii, jeździł po Moskwie mercedesem i zarabiał krocie (jak na radzieckie warunki). W 1965 w wypadku motocyklowym omal nie stracił nogi. Nie przyjął do wiadomości, że to koniec kariery. Po 29 operacjach wrócił na skocznię i udało mu się pokonać barierę dwóch metrów. Został trenerem i autorem. Napisał – wykorzystując własne przeżycia – powieść, sztukę teatralną i libretto opery.



XENIA GREY

Xenia Grey (właściwie Martyszówna), 99, nestorka naszej sceny muzycznej, primadonna polskiej operetki. Urodziła się na Alasce. Jej ojciec, prawosławny duchowny, po powrocie do kraju został naczelnym kapłanem prawosławnym Wojska Polskiego. Na początku lat 20. Xenia studiowała w warszawskiej Akademii Muzycznej. Była uczennicą Aleksandra Zelwerowicza. Zadebiutowała na scenie warszawskiej Operetki Reprezentacyjnej w roku 1929 główną rolą w „Księżnej Chicago”. Występowała obok Messalki i Ludwika Sempolińskiego. Po wojnie grała na scenach wielu polskich miast. Recenzenci pisali o niej: „Gwiazda ośniewająca talentem, urodą i temperamentem”.

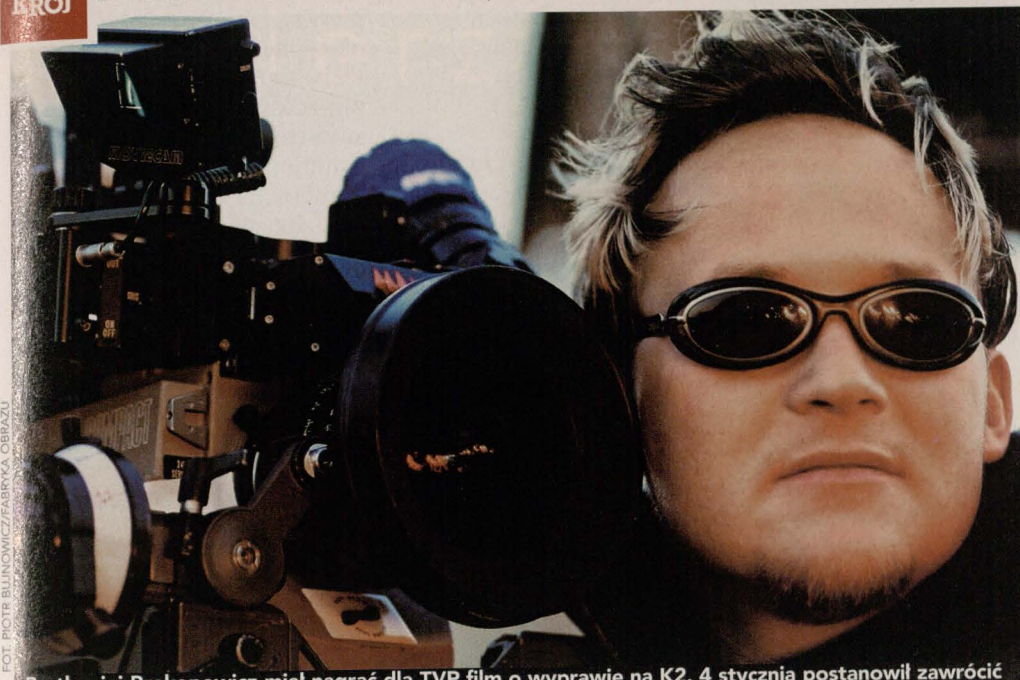


MORRIS KIGHT

Morris Kight, 83, jeden z amerykańskich pionierów ruchu obrony praw homoseksualistów. W roku 1970, kiedy prowadził kampanię przeciwko fabryce napalmu Dow Chemicals w Kalifornii, za namową przyjaciela zaktywizował gejowskie środowisko południowej Kalifornii, co przerodziło się w pierwszą wielką manifestację lesbijek i gejów w hipisowskiej Ameryce. Wydarzenie zainicjowało doroczny festiwal gromadzący w ostatnich latach nawet pół miliona ludzi. Kight założył też w roku 1975 partię obrony praw homoseksualistów – Stonewall Democratic Club. Należał do przeciwników małżeństw homoseksualnych, uważał je za sztuczne twory: „Wolę układ partnerski, podoba mi się słowo companion”.

PRZE KROJ

Z BARTŁOJEM PROKOPOWICZEM, operatorem filmowym, uczestnikiem polskiej wyprawy na K2, rozmawia WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI



Bartłomiej Prokopowicz miał nagrać dla TVP film o wyprawie na K2. 4 stycznia postanowił zawrócić

ZA TĘ GÓRĘ ODDADZĄ PALCE U RĄK I NÓG

BARTŁOJEM PROKOPOWICZ WYCOFAŁ SIĘ Z POLSKIEJ WYPRAWY ZIMOWEJ NA K2. POZA NIM EKIPĘ KRZYSZTOFA WIELICKIEGO OPUŚCIŁO TEŻ DWÓCH INNYCH FILMOWCÓW I DWAJ HIMALAIŚCI. Z ZESPOŁU TVP U STÓP K2 ZOSTAŁ JUŻ TYLKO OPERATOR DŹWIĘKU I SPECJALISTA OD PRZEKAZÓW SATELITARNYCH

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI: Wrócił Pan nagle z Himalajów, przerywając swój udział w wyprawie. Kto teraz sfilmuje wejście Polaków na K2?

BARTŁOJEM PROKOPOWICZ: My, operatorzy, i tak nie uczestniczylibyśmy w ataku szczytowym, ponieważ nie jesteśmy himalaistami i nie mamy odpowiedniego treningu. Powyżej bazy na wysokości 5200 metrów będzie filmował Darek Załuski, jeden z alpinistów. Tak było ustalone od samego początku.

Dlaczego Pan się wycofał?

– Okazało się, że mogą nie dać sobie rady i nie wytrzymać w tych warunkach. Stopień zagrożenia bezpieczeństwa psychicznego i fizycznego jest dość duży.

Z powodu wysokości czy z powodu towarzysztwa?

– Alpinisci są takimi samymi ludźmi jak ja. A człowiek nie jest przystosowany do przebywania ciągle powyżej czterech tysięcy metrów. Tam wciąż występuje zagrożenie zdrowia i życia. Grozi opuchlina płuc, odmrożenia są na porządku dziennym. Do tej pory nie mam czucia w palcach nóg i rąk.

Czy to nieodwracalne?

– Mam nadzieję, że to ma podłoże nerwowe i jest odwracalne. A jeśli chodzi o towarzysztwo, byłem tam

z moim bratem, również operatorem, i z kolegą reżyserem, z którym się bardzo dobrze dogadywałem. A alpinisci to twardzi ludzie, pojmują świat w prosty i jasny sposób.

Trudno było się Panu z nimi porozumieć?

– Na początku bardzo trudno. Mieli dosyć duży dystans do mediów. Traktowali nas ozięble, ale przekonali się, że nie jesteśmy jakimiś idiotami, że jesteśmy fajni młodzi ludzie i nie wymiękamy. Krzysiek Wielicki był bardzo zdziwiony, bo czasem byliśmy wręcz pomocni.

Więc skąd decyzja o powrocie?

– Problem się pojawił, jak zauważyłem, że ci ludzie są gotowi na wszystko – w pozytywnym sensie. Oni są w stanie za tę górę oddać palce u nóg i rąk, żeby ją tylko zdobyć. To ich pasja życiowa.

Co się dzieje pod szczytem między ludźmi?

– Przy takim zmęczeniu psychicznym i fizycznym, niedotlenieniu organizmu, mózgu (na wysokości 5200 metrów jest 50 procent tlenu) stany emocjonalne są skrajne. Od miłości, przyjaźni i braterstwa po nienawiść i wrogość.

Na przykład?

– Wielokrotnie kłóciłem się ze swoim bratem i z reżyserem. Mało brakowało, a doszłoby do rękoczynów. Awan-

tura rodzi się z niczego, z błahostki. To nie jest długotrwały konflikt, który draży człowieka.

Czuł Pan napięcie między himalaistami a ekipą sprawozdawców?

– Nie sądzę, żebyśmy byli tam do końca akceptowani. Napięcie? Może ukrywane. Ale oficjalnej, otwartej wrogości nie odczułem.

Czy Polacy wejdą na K2?

– Nie mam zielonego pojęcia. Do tej pory wydawało mi się, że nie.

Do tej pory to znaczy przed powrotem czy już po?

– Ja wracam do tej pory. Ale widzę, że rozbili kolejne obozy. W tych ludziach jest potworna determinacja.

Dlaczego mieliby nie wejść? Przez złą pogodę czy trudności międzyludzkie?

– Trudności międzyludzkie są wpisane w ten sport. Wystarczy przejrzeć historię wypraw wysokogórskich. Za każdym razem są masy procesów sądowych: ktoś wszedł, ktoś nie pomógł, oni są strasznie... To sport dla samotnych.

Co Panu grozi za to, że się Pan wycofał z kontraktu z telewizją?

– Na pewno jakieś kary finansowe. Na razie wstrzymano mi wypłatę.

Ale miał Pan prawo się wycofać z kontraktu, gdyby Pana życie było w niebezpieczeństwie?

– Mam to w umowie. Ale na razie rozmowy są dość nieprzyjemne.

Telewizja jest niezadowolona, że nie zrealizowała swego planu?

– Moje odejście niedużo zmieniło. Tam zostali ludzie, którzy filmują i są w stanie pokazać widzom trudy tej wyprawy.

Czy Pana decyzja była dla reszty zaskoczeniem?

– Dużym. Ale rozstaliśmy się w zgodzie. Umawialiśmy się na spotkania po ich powrocie.

Zmienili zdanie?

– Ja im wszystkim odpuszczam, bo oni mają tam naprawdę potwornie ciężko i patrzą śmierci w oczy. Niech robią, co chcą, byle wrócili cali i zdrowi.

Są bohaterami czy wariatami?

– Są bohaterami w swoim własnym, prywatnym świecie. Moje K2 jest zupełnie gdzie indziej. Ja dla mojej pasji i zawodu, i tego, o czym marzę, jestem w stanie naprawdę dużo znieść. Ale nie chcę umierać za czyjąś pasję. ■

NAJKRÓCEJ ĆWICZENIA FIZYCZNE są zdrowe nie tylko dla ciała. Spowalniają także starzenie się mózgu. U osób, które prowadzą aktywny tryb życia, dłużej pozostają sprawne obszary kory mózgowej związane z funkcjami poznawczymi.

W MAJU PRZYJEDZIE DO POLSKI Arturo Perez-Reverte. Słynny pisarz będzie promował podczas targów książki swoją nową powieść „Królowa Południa”.

Czy jesteśmy hienami?

PIOTR NAJSZTUB

Smierć jest ozdobą mediów. Na dobrą sprawę nikt nie umie dokładnie wyjaśnić, dlaczego gazety i telewizja przepełnione są śmiercią. Można usłyszeć wyjaśnienia w rodzaju: w ten sposób nowoczesna cywilizacja oswaja się z nieuchronną śmiercią. I bardziej cyniczne: czytelnicy i telewidzowie chcą takich materiałów, bo w ten sposób zaspokajają jakąś atawistyczną, chorą ciekawość. I jakieś trzecie usprawiedliwienie: media mają na chwilę wyrwać swojego klienta z szarżyny jego życia, przenieść go do innego świata, a nic nie jest lepszym biletem w takiej podróży jak okładka z poruszającą emocje ludzką tragedią.



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Nie rozdierajmy jednak szat i nie ludźmy się jednocześnie – tak już zostanie. Na czołówki gazet i wiadomości telewizyjnych nie trafiają relacje z narodzin czy szczęśliwych ślubów tak zwanych zwykłych ludzi. Nasza fascynacja śmiercią nie minie. Zresztą to nie jest wynalazek ostatnich lat. Średniowieczne malarstwo nie pozostawia wątpliwości – publiczne egzekucje, wizerunki palących się na stosie, umierających w bitwach i wreszcie umierającego na krzyżu Chrystusa – świadczy o długiej tradycji takiej ciekawości. To widać ludzkie. Choć dawniej o wiele częściej fikcja malarska czy literacka zaspokajała

tę potrzebę. Dziś trzeba nam realności, fikcji przestaliśmy wierzyć. Redaktor co dzień zasypywany jest tragediami, nimi przepełnione są serwisy agencji informacyjnych, z wieściami o nich dzwonią dziennikarze. I musi dokonać wyboru: czyja śmierć zasługuje na specjalne potraktowanie? A przecież w Polsce umiera codziennie średnio 980 osób, a w Stanach Zjednoczonych 6404! I prawie 20 procent z nich to przypadki śmierci gwałtownej, tragedii. Śmierć trzeba więc wartościować. I dlatego w polskim dzienniku, choć jednego dnia „umiera” (poniedziałek 3 lutego) grupa 33 mieszkańców hotelu w Chinach, 30 osób (w tym dziesięcioro dzieci) w Lagos i siedmiu astronautów nad Teksasem, tylko astronauta (choć jest

ich najmniej) zapełnili pierwszą stroną i dwie następne. Pierwszeństwo mają wypadki spektakularne, katastrofy sfotografowane i sfilmowane. Rytuał „śmierci na wyciągnięcie ręki” ma swoje kanony. I dzieje się rzecz zadziwiająca: wychodząc od przerażających realnością zdjęć tragedii, redaktor i grafik zamieniają je w fikcję. Kanon gatunku, zasady graficznej narracji, czasem talent ich obu zdejmują niekiedy z tych kilku stron odium bulwarowej sensacji. Z reality show tworzą przypowieść. Nie chcemy przerażać, staramy się Państwu opowiadać „dzieje stworzenia XXI wieku”. Czemu malujemy śmiercią? Bo ma kolor prawdziwej ostateczności. I żebyśmy nie zapominali podziwiać, kochać, bo bardzo łatwo jest o „za późno”. Zresztą przeczytajcie gazety.

SZANOWNNI CZYTELNICY!

Ze względu na wagę wydarzeń aktualnych zdecydowaliśmy się na powiększenie objętości artykułów o katastrofie promu Columbia i tragicznej wyprawie dzieci z Tychów w Tatry. W związku z tym nie zmieściło się rozwiązanie konkursu rysunkowego, które opublikujemy za tydzień w numerze 7. „Przekroju”.

Przepraszamy, redakcja



WILHELM SASNAL

Jerzy Liebert



Jerzy Liebert (1904–1931)

Jurgowska karczma

raczej zawrócić, raczej nadłóż parę staj,
Choćby ziąb cię spalił, wiatr oslepił –
Przed tą karczmą nie zatrzymuj sań:
Nie pij, moja miła, nie pij...

am z kieliszków wyskakuje siny bies,
Szły tenor, bies rozanielony.
Stuknie w szkło – już w kieliszku pełno lez,
on płacze, coraz wyższe bierze tony...

stuknie w szkło, weźmie *cis*, wstrzyma czas
z wieczności – sama wiesz najlepiej –
Będzie lkał: jeszcze jeden do mnie raz,
Przepij, moja luba, przepij.

Brzękną szkła... patrzysz w krąg – tenor szezeł,
on ostatni jeszcze ślania się po stole,
z kieliszka drugi bies, rudy bies,
Wyjrzał tępy – czarną bruzdę ma na czole.

Wlepił wzrok: w mózgu myśl, ostra kra –
Pękny gzygzak tnie ci czoło między brwiami...
Stuknął w szkło – już w kieliszku jestem JA!
Nie pij czasem, nie daj się omamić!

– Tyżeś to, miły mój? – Brzękną szkła –
Pęknięte ściany, dach dwupoły się rozłamał,
Miast posadzki – czarny lej bez dna.
I zakracze z wszystkich stron niepamięć...

Tylko walczyk czarci będzie lkał,
Słodki walczyk – ach, niezapomniany!
Pierwsze *pas*, drugie *pas*, trzecie *pas*,
I wypłyniesz lekka poprzez ściany...

VIVA
nr 3(157) 10 Lutego 2003
Cena 4,90 zł (w tym 7% vat)

Jolanta i Aleksander KWAŚNIEWSKY

ADAM MICHNIK
Rozmowa o sprawach elementarnych

TYLKO U NAS!

NA WALENTYNKI
MICHAŁ WIŚNIEWSKI
na wakacjach w raj

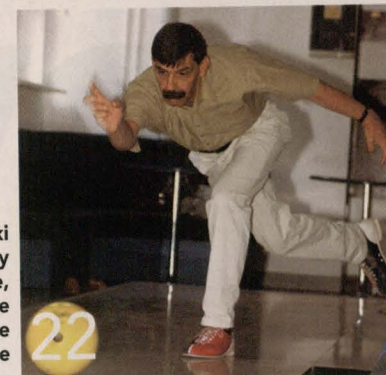
„Nigdy nie byliśmy tak blisko”

W kioskach!
od 6 lutego



26

Spod lawiny, która porwała dziewięć osób, odkopano tylko dwoje żywych



22

Lech Nikolski – minister odpowiedzialny za referendum europejskie, najważniejsze tegoroczne wydarzenie polityczne w Polsce



52

Malczewski – patriotyczny malarz pięknych ciał. Był najzdolniejszym uczniem Jana Matejki, ale zdradził mistrza, aby stworzyć niepowtarzalną wizję historii ojczystej

NAJSZTUB PYTA...

22 OSTRY STAN PRZEDREFERENDALNY
Choć do referendum akcesyjnego zostały najwyżej cztery miesiące, minister Nikolski nie pali się do ujawnienia swojej „cudownej broni”. Pytanie, czy ją w ogóle ma?

GORĄCY DOKUMENT

26 POGRZEBANI
W Tatrach pod lawiną zginęło siedmiu młodych ludzi. Byli pod opieką doświadczonego taternika. Do tragedii doszło na skutek jego błędu czy był to nieszczęśliwy wypadek?

CYWILIZACJA CODZIENNA

32 ZNIKAJĄCA RULETKA
Państwo tak wyciska podatki z kasyn, że wkrótce może już nie mieć z kogo wyciskać

36 WZÓR NA SZCZĘŚCIE
Wzór jest prosty, ale nie tak łatwo być szczęśliwym. Najlepiej mieć właściwe geny. Albo zmusić się do szczęścia

39 REKLAMA SŁUCHA TWOICH PRAGNIEN

Technika jak z filmów science fiction na poboczach amerykańskich autostrad

40 NIEZNISZCZALNY NARCIARZ
– HERMANN MAIER
Zwycięstwo dzięki tytanowej nodze i tytanicznej pracy

41 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

LUDZIE!!!

42 DYNAMIT SZCZEROŚCI
Fisz i Emade, czyli jak bracia Wąglewscy inteligencko hiphopsują

46 LULA, CO SIĘ BOGACZOM NIE KŁANIA
Rodacy kochają nowego prezydenta Brazylii, bo obiecał, że będzie im lepiej

50 PRZEKRĘT Z FIGURAMI NA LODZIE
Uzbecki gangster, który wpadł na bezinteresownym przekupstwie olimpijskim, wreszcie stanie przed sądem w USA

51 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

PATRZĄC I CZYTAJĄC

52 JACEK MALCZEWSKI – RYCERZ PRZEBIERANIEC
Uwielbiał się przebierać i kogoś

udawać. Nie tylko na obrazach. Kochał farby, kobiety i Polskę

60 INSPEKTOR GADŻET

62 LISTY

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

64 WYDARZENIE – Komu Oscara, komu?

66 FILM – „Wszystko albo nic”

68 MUZYKA – Dźwięki Davida Lyncha

70 KSIĄŻKI – Podróż dookoła literatury

72 KOMIKS – „100 nabo” – Licencja na zemstę

74 WYSTAWY – Kreska Jerzego Stajudy

76 TELEWIZJA – najlepsze programy

ROZMAITOŚCI

78 Dzienniki osobiste **MASŁOWSKA i MENTZEL**

80 WINNY BIEŃCZYK i KULINARNE PIÓRO POLSKI;
jolka i krzyżówka

82 RACZEJ RACZKOWSKI

LECH NIKOLSKI – człowiek,
od którego zależy,
czy i jak będziemy głosować
w referendum akcesyjnym
do Unii Europejskiej.
Jakie ma pomysły i co zrobi, jeśli przegra?
– docieka Piotr Najsztub
w rozmowie z ministrem
do spraw przyszłości Polski

OSTRY STAN

PRZEDREFERENDALNY

Ma Pan czysto polski wygląd, mało europejski. Takich wąsów już prawie nikt w Europie nie nosi. Może poza premierem Hiszpanii. Coś Pan ze sobą robi, żeby wyglądać bardziej europejsko?

– Nie.

Nic? Może jakiś kolorowy garnitur?

– Nie.

A jakiś weselszy krawat?

– Nie.

A może wąsiska by Pan zgolił na tę okoliczność?

– Nie, wąsy zapuściłem po maturze i mam je do teraz – nie zgolę.

Niegdyś trener Górski obiecywał – po zwycięstwie polskich piłkarzy – zgolenie wąsów.

Może i Pan takie przyrzeczenie złoży, że jeśli referendum będzie udane, to i Pan się ogoli?

Mógłby to być dodatkowy argument dla głosujących.

– Nie, proszę mnie nie namawiać do takich postanowień. Mogę tylko przyrzec, że po referendum więcej czasu poświęcę rodzinie. Niech to będzie tym dodatkowym argumentem za pójściem na referendum.

Panie Ministrze, ma Pan tylko trzy i pół miesiąca. Nie sądzi Pan, że rząd, większość parlamentarna powinny ogłosić swoisty „stan referendalny” w telewizji publicznej? Pójść na całość i jeden z programów poświęcić referendum?

– Zgadza się, że ranga zdarzenia jest rzeczywiście ogromna, i zgadzam się, że trzeba by ogłosić coś w rodzaju „stanu referendalnego” – jak pan to nazwał. Osobiście nie lekceważę siły telewizji, radia i dziwne jest to, że od kilku dni czuję się namawiany przez prasę do konty-

nuowania kampanii telewizyjnej. To jest tak samo śmieszne jak namawianie łyżwiarza figurowego do wykonania jazdy obowiązkowej.

Nie lekceważę tych skrótowych form, spotów reklamowych, ale one bardziej wywołują zainteresowanie, niż informują. Natomiast muszą się pojawić formy znacznie większe. Pan proponuje, żeby to był cały jeden program TVP..

„Jedynka” albo „Dwójka”.

– Być może taki pomysł zechcą sobie władze telewizji rozpatrzyć.

Wpływ tej koalicji na władze TVP jest powszechnie znany. Poza tym telewizja wreszcie poświęciłaby się swojej misji. To uciszyłoby głosy jej krytyków.

– W tej sprawie mogłaby coś zrobić tylko Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ale też nie gorączkujemy się, po co takie środki?

Czyli nie ma Pan poczucia, że trzeba zastosować jakieś totalne rozwiązania?

– Totalne rozwiązania są czasem niezwykle ryzykowne. Mam potrzebę nie tyle totalnych, ile bardzo specyficznych rozwiązań, które będą niosły za sobą ogromny ładunek edukacyjny i informacyjny.

No tak, ale to...

– W sprawie integracji jest wiele uproszczeń i mitów, trzeba o tym rozmawiać w sposób przystępny, łatwy i prosty. To nie jest tak, że jak się poświęci jeden program, to ludzie już go koniecznie będą oglądali. Mają wybór. Jeżeli chcą od czegoś uciec, to uciekną.

I nie chce Pan – obok zapowiadanych przez siebie punktów konsultacyjnych w każdej gminie – wymyślić jakiejś sztuczki medialnej, silnej emocjami, a nie informacyjnym gadaniem?

– Jedno nie przeczy drugiemu. Mi nie chodzi też o to, żeby nagle wszystkich wszystkiego nauczyć. W gruncie rzeczy ludzi interesuje chyba najbardziej to, co się wydarzy 1 czy 2 maja 2004 roku [kiedy możemy się znaleźć w Unii – przyp. red.], więc po prostu może warto porozmawiać o tym, co się zmieni i co trzeba zrobić, żeby się do tego jak najlepiej przystosować. I porozmawiać też o tym, co się ani na jotę nie zmienia, bo można parę strachów przegnać.

Pan proponuje rozmawianie z górnikami o górnictwie, z rolnikami o rolnictwie...

– Nie tylko. To nie jest tylko rozmowa o księgowości.

A może trzeba walnąć prosto z mostu: „Jeśliś mądry, to wybierzesz Unię, a jak nie, toś kiep!”. Co z takim jednoznaniowym przekazem? Jak brzmi to zdanie?

– Będzie, ale teraz jeszcze go nie zdradzę. Ta kampania będzie też niosła w sobie warstwę emocjonalną. Z naszej strony pojawi się wtedy propozycja jednego, dobrego, trafnego zdania. **A do jakich emocji chcielibyście się odwołać?**

– Do emocji pozytywnych.

Są różne: patriotyzm, radość, spokój, bezpieczeństwo, zwycięstwo.

– Na pewno nie do jednej emocji, ale dobrze, że pan określił tę paletę.

Ale to Pan powinien mi o tej palecie mówić, to jest Pańska robota.

– Ja wiem, że to jest moja robota, i ja tego typu paletę także określiłem. Mówiąc, że dobrze, że pan określił tę paletę...

...chciał Pan być dla mnie miły.

– Zaraz tam miły, chciałem być tylko wyrazicielem zdania, że emocje w tej sprawie

towarzyszą nam wszystkim w naszym własnym wymiarze.

Panie Ministrze, jestem zaniepokojony. Zostało Panu niewiele czasu i Pan nie ma być „wyrazicielem zdania”, tylko wypowiadać krótkie, łatwe do zapamiętania i poruszające zdania!

– Pan mnie uparcie myli ze spotem reklamowym, a ja jestem tylko ministrem.

Wracając do emocji tej kampanii na rzecz integracji. Dochodzimy do strachów, lęków czy obaw. A ja bym postawił inny problem. Jaka jest alternatywa, bo nie jest tak, że jej nie ma. Tylko warto zobaczyć, że ona nie wygląda różowo. I to też będzie przedmiotem tej kampanii. Naszym obowiązkiem jest informacja, informacja i jeszcze raz informacja.

A wyobraża Pan sobie, żeby do powiedzenia „tak” w referendum namawiać zdaniem: „Jeżeli wejdziemy do Unii Europejskiej, to będzie u nas mniej śmiesznie”?

– Będzie „mniej śmiesznie”. Wprowadzenie w życie paru standardów zachowań, postępowania, regulacji prawnych wynikających z naszego dostosowania do Unii może w konsekwencji spowodować, że zniknie z naszego życia publicznego to, co jest w nim „straszenie śmieszne”.

Polscy kabareciarze twierdzą, że w Polsce jest za śmiesznie i państwo odbiera im w ten sposób chleb.

– Więc wejście do Unii jest w ich interesie. Tu kabareciarzy absolutnie rozumiem. Ogromna liczba środowisk jest zainteresowana integracją i już dzisiaj w tej argumentacji jest straszna różnorodność. Mogę powiedzieć, że tu sto kwiatów rozkwita. I ja wcale nie chcę, żeby któryś z nich przestał rozkwitać. Więc jeżeli w tej kampanii ktoś ze środowisk zechce mówić, że będzie mniej śmiesznie, i pokaże to w dobrych, obrazowych przykładach, to ja się tylko pod tym podpiszę.

Nie chcąc zrazić sobie żadnego potencjalnego sojusznika, może Pan popaść w nijakość, w rzeczy ogólnie słuszne, czyli nudne. A to jednak jest kampania reklamowa!

– To nie jest klasyczna kampania reklamowa. Produkt jest już bardzo znany. Pan sugeruje prostą, jednolitą kampanię opartą na jednym hasle, jednej emocji. I rzeczywiście przy kampanii czysto reklamowej to jest jedyny sposób na wypromowanie towaru. Ale to nie jest tak, że nasz potencjalny nabywca nic nie wie. On wie. On nawet już chce to kupić. Tylko on chce trochę więcej się dowiedzieć o sposobie działania. To nie jest też tylko i wyłącznie kampania rządowa, ma ona mieć też charakter, powiedziałbym, obywatelskiej kampanii.

Żyjemy w kraju, co do którego socjologzy nie mają wątpliwości: przed nami długa droga do społeczeństwa obywatelskiego.

– Nie można mówić, że go nie ma, choć istnieje w skali mniejszej, niżbyśmy oczekiwali. To zależy, wokół jakiego celu się próbujemy jednaczyć. W tej sprawie cel jest jasny.

Zaplecze społeczne, zaplecze polityczne tego celu jest szerokie, długotrwałe i niekoniunkturalne. Czy rzeczywiście w tej sprawie nie stać nas na wyjście z tych tradycyjnych opłotków... Referendum jest też szansą na prawdziwą debatę i trzeba taką – na przykład telewizyjną – debatę zainicjować. Ona niekoniecznie musi gromadzić polityków. Ich poglądy w tej sprawie są znane, jasne, klarowne. Można by nawet powiedzieć, że jeżeli telewizja zobaczy konkretne twarze, to już zna przebieg debaty. Więc może powinni debatować eksperci, specjaliści, lecz także zwykli ludzie.

kiem staroświeckim, ale dopóki nie uzyskam zgody, to nie powiem ich nazwisk.

Wiadomo, że są przeciwnicy naszego wejścia do Unii. Chciałby ich Pan neutralizować, ignorować czy jeszcze podjąć trud przekonania ich? A może szkoda czasu, energii, pieniędzy?

– Jest pewien stereotyp tego podziału, że oto są zwolennicy i przeciwnicy, i bardzo często do tego dokłada się konkretną grupę zawodową albo środowisko polityczne...

Albo wprost się mówi, że ci, co chcą integracji, są mądrzy, a ci, co nie chcą, to głupcy. Albo odwrotnie.

dyskutuje się na różnych poziomach, także w rodzinach. Z zaskoczeniem zobaczyłem w badaniach, że ta tematyka jest obecna w polowie rodzinnych rozmów.

Może wreszcie Polacy mogą o czymś w łóżku porozmawiać?

– No, tak daleko w głąb życia rodzinnego nie śmiem sięgać.

To jest tak ważna sprawa, że...

– Niech mi pan pozwoli nie sięgać tak daleko. Zachowam się zgodnie z deklaracją, którą rząd przekazał mi jako załącznik do traktatu – sprawy moralności, kultury i paru innych rzeczy nie są regulowane w prawie europejskim.

Lech Nikolski
to drugi minister,
który zajmuje się
integracją
europejską,
nie znając
żadnego języka
obcego.
I traktuje to jako
symbol.
Pozytywny

Wróćmy do niechętnych integracji, to jednak jest spora grupa. Często wymieniani przez nich powód takich poglądów to utrata niepodległości, części suwerenności. A Pan jest patriotą?

– Jestem.

Co to znaczy w Pańskim przypadku? Oprócz wyglądu, oczywiście.

– Dziękuję za komplement. Mój patriotyzm to opowiadanie się za rozwiązaniami najlepszymi dla moich rodaków, dla mojej rodziny. To taki pragmatyczny, techniczny patriotyzm. A jak u Pana z przywiązaniem do hymnu, dlaczego nie opowiada mi Pan o łzach podczas jego śpiewania?

– Oczywiście, że wielokrotnie w takich chwilach płakałem. Nikt nie jest wolny od tego ty-

pu emocji. Wzruszam się, kiedy reprezentacja narodowa Polski odnosi sukcesy.

Kiedy grają hymn na stadionie, to Pan ryczy?

– Oczywiście, że jestem wzruszony. Czasami są też takie sytuacje, szczególnie na imprezach masowych, piknikach, że podczas grania hymnu część ludzi przyjmuje postawę zasadniczą, oddaje honor narodowej pieśni, a część się rusza. To mnie razi, takie lekceważenie dla tej patriotycznej nuty. Jednak dzisiaj wyrazem patriotyzmu dla mnie jest rzeczywiście otworzenie szans dla mojego kraju.

Poprzez zlanie się ze światem – tak mówią niektórzy.

– Przepraszam, jakie wtopienie się, czy Francuz nie wzrusza się przy francuskim hymnie, kiedy gra reprezentacja Francji?

Francuzi mówią po francusku, mają francuskie zwyczaje, reprezentacje różnych dyscyplin grają pod nazwą „Francja”, a nie „Unia Europejska”. Po 1 maja 2004 roku ja z panem będę rozmawiał w języku polskim, a nasz język będzie jednym z języków urzędowych tej Unii, jak włączymy telewizor, to będą mówić po polsku, książd będzie dalej mówił po polsku. Armia będzie chodziła w swoich, polskich mundurach z pięknym orzełkiem itd.

A jak już jesteśmy przy językach... W jakich Pan mówi?

– Znakomicie po polsku.

Czyli, rozumiem, tylko po polsku?

– Nigdy tego nie ukrywałem.

Ale nie ma się też czym chwalić. To ja mam dla Pana świetny pomysł! Spora grupa Polaków jest niechętna naszej integracji z Unią, bo boi się, czy da sobie w niej radę, między innymi dlatego, że nie zna języków obcych. Może w jednej z reklamówek referendum powinien Pan wystąpić osobiście i powiedzieć: „Ludzie! Nie bójcie się! Ja też nie znam języków obcych i w ogóle się Unii nie lękam! Ba, nawet ministrem zostałem!”. To mogłoby ich uspokoić.

– Rozważę ten pomysł. (Minister się śmieje). Jestem reprezentantem regionu lubelskiego, który będzie w Unii Europejskiej najbiedniejszy. Więc to może być też odbierane jako pewien symbol i ja to troszeczkę jako symbol traktuję. Także dla swojej wewnętrznej motywacji.

Samousprawiedliwienia, że się Pan nie uczy.

– Nie, że się nie uczę, tylko jestem też człowiekiem z małego miasteczka, kończącym szkołę średnią w konkretnym czasie, w konkretnym miejscu. Dla mnie było problemem dotarcie do nowej biblioteki, a i tak wiele za wdzięczam rodzicom, nauczycielom, że parę rzeczy mi się w tamtej formule edukacyjnej udało zrobić. I jak pan mówił o przeznaczeniu na coś specjalnego programu telewizyjnego, to ja bym chętnie widział kanał tematyczny w TVP, który byłby poświęcony obcym językom. Rzeczywiście mogłaby to być powszechna inicjatywa, otwarta dla młodych, starszych, wszystkich.

Problemem tego referendum będzie frekwencja. Czy Pan też popiera pomysł, by je wydłużyć do dwóch dni?

– Nie można szczególnie traktować jednego referendum. Jestem zwolennikiem propozycji, by referenda w Polsce mogły być jedno- lub dwudniowe, niech o tym za każdym razem decyduje organ, który zarządza referendum. Sejm lub prezydent wspólnie z Senatem. Jestem natomiast przeciwnikiem pomysłu kilku posłów, żeby referenda były dla obywatela obowiązkowe.

Są kraje, gdzie za taką nieobecność płaci się grzywny.

– Nie można wyzwolić się z powinności obywatelskich, wpłacając pewną sumę pieniędzy.

To może nie karać, ale nagradzać? Rozdać tym, którzy przyjdą głosować, prezenty.

– A ma pan pomysł na taki prezent?

Może by to mógł być okolicznościowy znaczek Unii do wpięcia w klapy albo zestaw naklejek uniijnych do samochodu?

– Pan porusza się w kręgu pomysłów marketingowych, a ja muszę pamiętać o ustawie, która zakazuje agitacji w dniu głosowania.

Prezent dostawałoby się dopiero po akcie głosowania. A może jeśli nie znaczek, to oscypek, o który żeśmy tak walczyli z Unią? Dowód przestępstwa natychmiast zostanie zjedzony, nie będzie można nikogo skazać.

– Pan ciągle mówi o wymiarze, nazwijmy go, ludycznym tej kampanii.

Bo nie można o nim zapominać. Podobnie jak o wiecach. Wyobraźmy sobie taką sytuację: jest Pan na wiecu przedreferendalnym, Pański przedmówca Adam Giertych wygłasza zdanie: „Polska wchodzi do Unii Europejskiej, niszcząc własne firmy!”. I milknie zadowolony z siebie, na sali szmer aprobaty. Teraz Pana kolej, musi Pan jednym zdaniem zneutralizować Giertycha.

– Pierwsze skojarzenie: Polska wchodzi do Unii Europejskiej, dając się rozwijać polskim firmom.

Na sali szmer dezaprobaty.

– Zdanie mojego poprzednika było absurdalne i nie da się na nie tak do końca odpowiedzieć jednym zdaniem, choć – zgadzam się – trzeba. Więc mówię: Jeżeli ktoś mówi, że Polska wchodzi do Unii Europejskiej, niszcząc własne firmy, to zaraz potem musi powiedzieć, jakie konkretnie firmy. Bo w tej sprawie rozmowa musi być prowadzona na konkretach. Jeśli ktoś mówi, że ceny wzrosną o 43 procent, to ja spytam, dlaczego nie o 45, i niech mi wskaże europejski urząd cen, który ustala ten poziom.

Co będzie, jak przegra Pan referendum?

– Nic. Po prostu dalej będę posłem. Na pewno nie popełnię samobójstwa w porze najwyższej oglądalności.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB



30 TYSIĘCY TON ŚNIEGU OSUNĘŁO SIĘ Z GÓR, GRZEBIĄC POD SOBĄ UCZESTNIKÓW SZKOLNEJ WYCIECZKI

POGRZEBAN

- Niepotrzebnie szli. Tego dnia aż prosiło się o lawinę – oceniają ratownicy.
- Nie oskarżajcie opiekuna – mówią rodzice tych, którzy zginęli



Ratownicy TOPR idą w kierunku Czarnego Stawu nad Morskim Okiem, gdzie spadła lawina



Z lewej: Zasypanych przez lawinę trzeba odkopać w ciągu kwadransa. Ich życie zależy od szybkości akcji ratunkowej

Z prawej: Widok ze schroniska nad Morskim Okiem, skąd 28 stycznia wyruszyli licealiści

Zaraz po wypadku ocaleni byli w szoku. Nie wiedzieli, kogo brakuje, przez komórki wezwali pomoc. Z lewej: Jeden z czworga uczestników wycieczki, którzy uniknęli porwania przez lawinę



Ponad 50 ratowników penetrowało teren lawiniska. Ciał sześciu ofiar nie udało się odnaleźć. Prawdopodobnie czoło lawiny wepchnęło je pod lód

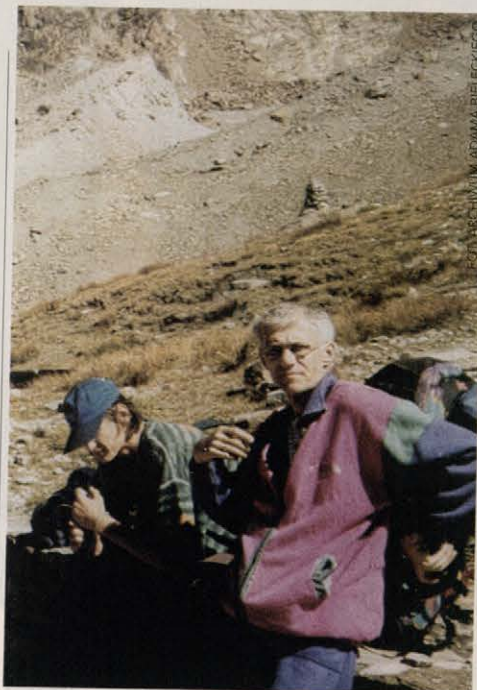
HARALD KITTEL

Organizator wycieczki licealistów na Rysy Mirosław Szumny jest już w Tychach. W słuchawce telefonu zboląły głos śmiertelnie zmęczonego człowieka: – Nie mówię już niczego – niemal szepcze do słuchawki. – I nie nadaję się już do niczego. Zrozumcie, ja po prostu nie istnieję.

Paweł Skawiński, dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego: – Nie oskarżajcie Mirosława Szumnego, nie traktujcie jego i tej młodzieży jak szaleńców. To były dzieci z pasją gór rozbudzoną przez tego nauczyciela. Tak powiedział mi matki dzieci, których wciąż nie odnaleziono w lawinie – wspomina. – Spotkałem się z tymi rodzicami w schronisku nad Morskim Okiem. Chcieli poznać istotę tragedii z wtorku 28 stycznia, chcieli dowiedzieć się czegoś o akcji ratunkowej – wyjaśnia dyrektor. Rodzice przyjechali wieczorem w dniu wypadku, autobus i noclegi opłacili władze Tychów.

DZIECI MOBILIZUJĄ

Grupa licealistów z I Liceum Ogólnokształcącego im. Leona Kruczkowskiego w Tychach



Mirosław Szumny, nauczyciel geografii, wielokrotnie prowadził swoich uczniów w góry. Na zdjęciu jedna z letnich wypraw

przyjechała w niedzielę z opiekunami nad Morskie Oko, by wejść zimą na Rysy. Wszyscy należeli do działającego przy szkole klubu sportowego Pion. W górach byli wielokrotnie. Wspinali się, znali techniki taternicze, weszli nawet na Mont Blanc. Szefem klubu, opiekunem i instruktorem był Mirosław Szumny, nauczyciel geografii, taternik.

– Powiedział mi, że idzie z młodzieżą na Rysy. Spytałem go, czy wie, że każda grupa zorganizowana powyżej 10 osób musi mieć przewodnika. Odpowiedział, że będzie chodził z grupami co najwyżej 10-osobowymi – mówi Władysław Cywiński, ratownik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

W poniedziałek 27 stycznia w góry wyruszyły dwie grupy licealistów – obie po 11 osób. Dwóch opiekunów, dziewięciu uczniów. Mirosław Szumny zastosował się więc do uwagi ratownika. W Tatrach obowiązywał wtedy drugi stopień zagrożenia lawinowego. Pokrywa śnieżna jest wówczas wystarczająco utrwalona i stabilna, a wyzwolenie lawiny możliwe na bardziej stromych stokach – zwłaszcza przez duże grupy narciarzy idących bez odstępów.

Pierwsza grupa młodzieży weszła na Rysy i bez problemów zeszła. Druga doszła do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Wszyscy spodziewali się, że następnego dnia pogoda wciąż będzie im sprzyjać.

W nocy z poniedziałku na wtorek przyszło ocieplenie, temperatura w Morskim Oku podniosła się do zera stopni, spadł deszcz ze śniegiem, całą noc wiało. To spowodowało, że w różnych miejscach utworzyły się niebezpieczne nawisy śniegu. Warunki gwałtownie się pogorszyły.

– Całą noc padał deszcz, który nasączył śnieg. Wiał wiatr, pod wierzchołkiem Rysów zebrały się nawiane poduchy – mówi Skawiński.

KTOŚ DZWONI

We wtorek dyżur w Morskim Oku miał ratownik Piotr Niedziałek. – Powiedział mi, że grupa nie zapytała go o prognozę ani o aktualnie panujące warunki. Po prostu wyszli w góry – opowiada Jan Krzysztof, naczelnik pogotowia. Grupa z Szumnym wyruszyła o 7 rano.

– Niechętnie wybierał się tego dnia w góry. Ale dzieci mobilizowały go. Tak przynaj-

mniej mówiła mi Maria Łapińska, kierownik schroniska – relacjonuje dyrektor Skawiński.

Tym razem Szumny zabrał więcej osób – był jeszcze jeden opiekun i 11 uczniów. Wszyscy dobrze wyekwipowani, z doświadczeniem górskim, mieli uprząż wspinaczkową, plecaki, dobre buty, raki, odpowiednią odzież. Nie wiedzieli tylko, że wysoko w górach wisi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Akurat we wtorek pojechałem ocenić zagrożenie lawinowe. Nie był to dzień pogodny. Siedziałem w schronisku, przygotowując się do wyjścia w góry, chciałem podejść pod Mnicha – mówi ratownik Mieczysław Ziach, szef wyszkolenia w TOPR.

W tym czasie uczestnicy wycieczki już dochodzili do szczytu Rysów.

– Nagle przybiegł pracownik schroniska i powiedział, że słyszał ogromny huk, że lawina zeszła z Buli pod Rysami. Za chwilę była wiadomość z centrali pogotowia, że jest wypadek – wspomina Ziach. Pomocy wzywali uczestnicy wyprawy przez telefon komórkowy. Nie wiadomo, kto dokładnie dzwonił.

WSTRZĄS OCALONYCH

30 tysięcy ton śniegu spadło z impetem na taflę Czarnego Stawu nad Morskim Okiem.

– To była bardzo duża lawina. Jej początek znajdował się na wysokości 2300 metrów nad poziomem morza. Śnieg leciał w dół torem o długości 1200 metrów – mówi Skawiński. Pod śniegiem załamał się lód. Część lawiny leży teraz pod zamrożoną taflą.

TOPR błyskawicznie zorganizował wyprawę, którą kierował Roman Kubin. Szturmowa grupa ratowników z naczelnikiem pogotowia Janem Krzysztofem zeskokczyła na świeże lawinisko ze śmigłowca Sokół (który następnego dnia, wracając spod Rysów, rozbił się w Murzasichlu – nikomu nic się nie stało) i błyskawicznie rozpieczętowała się dokoła. Ratownicy szukali jakiegokolwiek śladu, penetrowali teren w poszukiwaniu ubrań, plecaków, czapek, rękawiczek. Nasłuchiwali głosów spod śniegu.

Z boku kręcili się ocalali uczestnicy wyprawy. Przeżyli wstrząs.

– Nie można się było od nich dowiedzieć, ilu ich było. Mówili wręcz, że wszyscy są w komplecie – mówi Zdzisław Trella, lekarz,

który przyleciał na miejsce z pierwszą grupą szturmową.

SZUKANIE ŻYWYCH

Jeden z ratowników niemal natychmiast trafił na pierwszą ofiarę. Potknął się o raki zakopane w śniegu.

– Leżał twarzą w dół. Głowa była półtora metra pod śniegiem. Miał ogromną ranę czaszki. Gdy go wykopaliśmy, nie dawał oznak życia – mówi Zdzisław Trella. Lekarz szybko rozpoczął reanimację. Najpierw przywrócił chłopakowi krążenie, potem rannemu wrócił oddech. – Natychmiast poleciał do szpitala – mówi Trella. Mimo szybkiej pomocy licealista do dziś nie odzyskał przytomności.

Zaraz potem ratownicy wykopali żywą i przytomną dziewczynę. Luiza miała złamany nadgarstek, była potłuczona. Chwilę potem znalazł się następny uczestnik wycieczki. Gdy go odkopano, było wiadomo, że nic nie da się zrobić.

– Wystarczył rzut oka. Miał bardzo poważne obrażenia – mówi Trella. Zmarłym był 22-letni Łukasz, student Politechniki Śląskiej. W Tatry pojechał z dwoma braćmi. 17-letni Andrzej został pod lawiną, 20-letni Kuba nie poszedł na Rysy.

Ratowników przybywało, w końcu było ich ponad 50. Penetrowali śnieg z sześcioma psami lawinowymi.

Szumny sugerował odwrót, uczniowie chcieli wejść na Rysy. W Tychach nikt nie obwinia nauczyciela

– Kto mógł, biegł na ratunek – mówi Skawiński, który sam jako ratownik TOPR zjawiał się na lawinisku i dostarczał detektory lawinowe.

CIAŁA POD LODEM

Przez pierwsze dwie godziny akcji odkopano troje z dziewięciorga uczestników wycieczki porwanych przez lawinę.

– Boże jedyny, nagle zaczęliśmy ich znajdować, pomyślałem, że teraz to już pójdzie, że są wszyscy gdzie blisko, że zaraz ich po kolei znajdziemy – relacjonuje Zdzisław Trella.

Jednak sześciorga – w tym drugiego opiekuna grupy – nie udało się odnaleźć. Poszukiwania trwały dwa dni, pomagali w nich ratownicy ze Słowacji. W lawinisku nie znaleziono już nikogo. Sprawdzono każdy kawałek śniegu. Ratownicy przypuszczają, że ciała są w wodzie, wepchnięte pod lód razem z czołem lawiny.

– Obawiam się, że do zasypanych dotrzemy dopiero w czerwcu, może nawet w lipcu – ocenia sytuację Jan Krzysztof.

– Nikt z nas nie wie, jak tam było. Słyszałem jednak, że Szumny sugerował odwrót. Tylko że uczniowie chcieli wejść na Rysy – mówi Bartosz Bobiński, absolwent liceum Kruczkowskiego. – Myślę, że wróciłby, gdyby warunki były zbyt trudne.

Mirosław Szumny po tragedii siedział w schronisku w Morskim Oku. Rozpaczkał, że uległ swoim uczniom, choć sugerował odwrót. Tak twierdzą ci, którzy go tam widzieli.

Ratownicy nie mają wątpliwości – Mirosław Szumny nie powinien był wyruszać bez pomocy. Wynajęty przewodnik pewnie nie zdecydowałby się na taką wycieczkę.

Doświadczonym przewodnikiem tatrzańskim pierwszej – najwyższej – klasy jest dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego. – Nie poszedłbym. Było niebezpiecznie. I grupa była za duża. Wiele osób jednocześnie na śniegu to duże obciążenie. Aż się prosi o lawinę – mówi Skawiński.

WARTO GO BRONIĆ

Dzień pracy wynajętego przewodnika kosztuje około 300 złotych. Gdy grupa jest większa, może być i 500, ale przed wyruszeniem wszyscy dostają kaski i niezbędne wyposażenie.

– W przewodniku drzemie wyuczona ostrożność. Bierze grupę najpierw w niższe partie. Dopiero potem w góry wysokie. I najważniejsze – żadne prośby i groźby uczestników nie pomogą. Żadna ambicja nie zwycięży ze zdrowym rozsądkiem. Gdy jest ciężko, przewodnik natychmiast zarządza odwrót – mówi dyrektor Skawiński.

Nikt nie mówi, że Szumny nie wiedział, czym są góry. W Zakopanem podkreślają, że znał je bardzo dobrze. Byli uczniowie Szumnego też mają o nim najlepsze zdanie.

– Zawsze miał świadomość, że prowadzi w góry licealistów. Z wielu wypraw i wycieczek rezygnował od razu, twierdząc, że są zbyt niebezpieczne – mówi Adam Bielecki, wspinacz, dziś student, jeszcze niedawno uczeń Szumnego. – W Tychach nikt nie ma wątpliwości, że to był nieszczęśliwy wypadek. Nikt nie obwinia Mirosława Szumnego. Działalność górską licealistów z „Kruczka” trwała od lat i do tej pory nic się nie stało – dodaje Bielecki, który wciąż pamięta Szumnego jako odpowiedzialnego partnera od liny.

– Warto go bronić. Może popełnił błąd, ale był zawsze indywidualnością, robił coś bardzo ważnego dla uczniów – mówi Bartosz Bobiński.

– To, co robił Mirosław Szumny, było dobre. Przecież jeździł z młodzieżą w skałki, uczył ich wspinania na sztucznej ścianie, prowadził ich w góry. Zaraził ich pasją. Ten rodzaj zajmowania się młodzieżą jest szalenie pozytywny. Ten wypadek uderzy teraz w ten model pracy wychowawczej. Ludzie, którzy to robią, będą się bać – ocenia Marek Grocholski, dziennikarz „Tygodnika Podhalańskiego” zajmujący się tematyką górską.

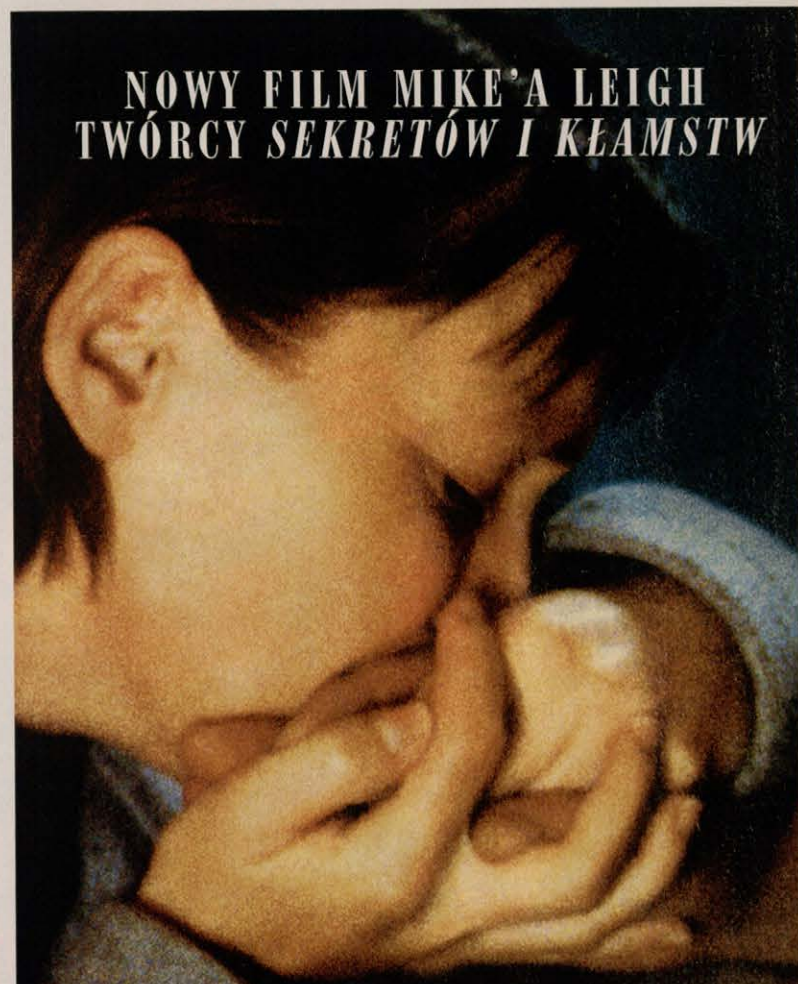
– W Tychach zapanowała niesamowita solidarność. Zwłaszcza w szkole. Każdy wierzy w doświadczenie Mirosława Szumnego. Wszyscy stoją po jego stronie – mówi Anna Kwiecień, absolwentka liceum Kruczkowskiego. – Był przewidującym, dobrym organizatorem. Wiem, że ta wyprawa była bardzo dobrze przygotowana.

Tymczasem zakopiańska prokuratura wszczęła śledztwo, które ma przynieść wyjaśnienie przyczyn największej w historii tatrzańskiej tragedii lawinowej.

HARALD KITTEL

Przed Liceum im. Leona Kruczkowskiego płoną setki zniczy. Mieszkańcy Tychów nie mogą się pogodzić ze śmiercią nastolatków

GF i Radio 24 i polecają
GUTEX FILM



CANNES 2002
OFICJALNA SELEKCJA

WSZYSTKO ALBO NIC

W KINACH OD 14 LUTEGO 2003

FILM

PRZE
KROJ

fluid

gazeta

PC
kurier

Gazeta Studencka

CANAL+

Młody

Jestem

DOM WNETRZE

wp.pl

PANI

MEDIA

stopklatka.pl



Jeśli nie byłeś jeszcze w polskim kasynie, lepiej się pośpiesz.
Przybytki hazardu mogą już wkrótce zamknąć podwoje.

Fiskus wyciska z kasyn ostatnie soki

MAX SUSKI

Polska jest tak kuriozalnym krajem, że nawet kasyna nie opłaca się tu prowadzić – narzeka prezes Orbis Casino Eligiusz Kisała. Jego spółka dysponuje siecią dziewięciu kasyn w całym kraju, zlokalizowanych głównie w orbisowskich hotelach. Niedawno było ich 11, ale trzeba było zamknąć lokale w Lublinie i Zakopanem, zwalniając 60 osób. – Jeśli chodzi o opodatkowanie kasyn, sytuacja nie była jeszcze tak zła jak teraz – mówi Kisała. Choć trudno w to uwierzyć, polskie kasyna są w coraz trudniejszej sytuacji finansowej.

ZABIĆ PODATKIEM

Złote czasy dla hazardu nastały w Polsce po roku 1989. Praktycznie każdy mógł otworzyć kasyno i ciągnąć z niego potężne zyski. – To była żyła złota – wspomina prezes Kisała. – Zagraniczne firmy, które się tu pojawiły, śmiały się z nas, że pozwalamy obcym zarabiać taką kasę. Podatki też były wtedy śmieszne.

Polski raj skończył się w roku 1992, kiedy powstała ustawa o grach losowych. Od tej pory otworzyć kasyno mogli tylko Polacy. Ponadto wprowadzono jednolitą, 45-procentową, stawkę podatkową od przychodu. Otwierano nowe lokale, ale opłacalność interesu wyraźnie spadła. Hazardowy biznes odetchnął nieco w roku 1997, kiedy liniowy system opodatkowania zmieniono na progresywny. W zależności od obrotów kasyna płaciły od 25 do 50 procent podatku. Progi pozwalały także utrzymać się wielu mniejszym kasynom.

Gdy jesienią roku 1997 do władzy doszła AWS, dla kasyn znowu nastały ciężkie czasy. Zmiana ustawy, która weszła w życie w listopadzie 2000 roku, nie tylko przywróciła 45-procentowy podatek liniowy, lecz także

wprowadziła dekadowy (co 10 dni) system rozliczeń kasyn z fiskusem.

– To, że obowiązuje 45 procent podatku, to nieprawda. A co najmniej duża nieścisłość – tłumaczy Eligiusz Kisała. – Wyobraźmy sobie, że kasyno zarabia w ciągu 10 dni 100 tysięcy złotych i płaci od tego 45 procent. Przez kolejne 10 dni traci 50 tysięcy, nie płaci więc nic. Przez następne 10 zarabia 100 tysięcy i znowu płaci od tego 45 procent. Zatem w miesiącu przychód wyniósł 150 tysięcy, ale podatek zapłacono od 200 tysięcy.

KASYNA NA MINUSIE

W roku 1997 działało w Polsce 26 kasyn. Tylko pięć z nich nie przynosiło zysku właścicielom. Trzy lata później były 33 działające punkty, ale wśród nich już 13 niedochodowych. Pierwszy rok funkcjonowania nowych, niekorzystnych zasad przyniósł zamknięcie dwóch kasyn, a liczba ośrodków nierentownych wzrosła aż do 20. W roku 2002 zamknięto cztery z nich.

– Hazard to problem delikatny społecznie – zauważa prezes Kisała. – Bardzo łatwo zdobyć poklask wyborców, zapowiadając głośno wyższe podatki od hazardu. Dużo trudniej uzasadnić obniżenie tych podatków. Trzeba by coś wyliczać, udowadniać. To rodziłoby podejrzenia o korupcję. Ludzie pytaliby: „Jak to, jeszcze obniżać podatki tym kombinatorom?”. Bo kasyna kojarzą się ludziom z kombinowaniem.

Nowe zasady opodatkowania okazały się do przesady skuteczne. Mimo spadku obrotów i zamknięcia kilku lokali wpływ do budżetu z tytułu podatku od gier w kasynach w roku 2001 wyniósł 84 miliony złotych i był wyższy o 15,2 procent niż rok wcześniej. Jednak po pierwszych dziesięciu miesiącach roku 2002 zanotowano spadek wpływów. To wszystko

ZNIKAJĄCA RULETKA

przy rosnących stratach firm żyjących wyłącznie z kasyn. W opublikowanej przez Ministerstwo Finansów informacji o realizacji ustawy o grach losowych można zauważyć, że nawet notujące najwyższe na rynku przychody Casinos Poland zamknęło rok 2001 ze stratą. W najgorszej sytuacji są małe firmy dysponujące pojedynczymi lokalami.

RULETKA W KAŻDYM MIEŚCIE?

Tymczasem rządowy projekt zmiany ustawy o grach poza zapowiedzią zastąpienia rozliczeń dekadowych przez miesięczne nie przewiduje ulgi w opodatkowaniu. Planuje się za to co innego – w imię dostosowania polskiego prawa do unijnego zostaną zniesione ograniczenia dla kapitału zagranicznego. – Jak zwykle w Polsce jesteśmy bardziej święci od papieża – zżyma się prezes Kisała. – W Unii Europejskiej nie ma przecież jednolitych zasad. To prawda, są zapisy o wolności przepływu kapitału, ale niech mi ktoś w takim razie pokaże tę wolność w Austrii, Anglii czy Holandii. Oficjalnie nie ma restrykcji, ale

– Teraz dla kasyna liczy się każdy grosz,

więc gdy gość obcina krawat kierownikowi sali,

ochrona nic nie widzi – mówi były krupier



FOT. J. PIOTROWSKI/AG

przepisy wykonawcze tak utrudniają życie, że tam są faktyczne narodowe monopole.

Drugim istotnym elementem projektu zmiany ustawy jest umożliwienie otwarcia większej liczby kasyn. Teraz obiekt można otworzyć w mieście, w którym mieszka co najmniej 250 tysięcy osób. W miastach powyżej miliona mieszkańców może być najwyższe pięć kasyn. Jeśli zmiany zostaną zaakceptowane przez parlament (projekt rozpatruje już nadzwyczajna komisja sejmowa), zasada będzie prosta – maksymalnie jedno kasyno na każde ćwierć miliona mieszkańców. Oznacza to, że jeden dom gry będzie można otworzyć praktycznie wszędzie, na przykład w każdej miejscowości niedaleko Warszawy, zwiększając tym samym konkurencję. – Wszystkim się wydaje, że kasyno to taki wspaniały interes – mówi Kisała. – Ale oni przecież nie przeżyją, tak samo jak małe ośrodki, które dziś ledwo żyją. Jeżeli będą prowadzić interes zgodnie z prawem, to szybko padną, ale przedtem zepsują rynek.

SMOKING JUŻ NIEPOTRZEBNY

Kasyna potocznie kojarzą się z blichтром i elegancją. Ale wobec pogarszającej się sytu-

cji lokale w pierwszym odruchu samoobrony przymknęły oko na strój gości. – Teraz liczy się każda złotówka, chodzi o przeżycie – przyznaje Kisała. – Kiedyś mogliśmy sobie pozwolić na trzymanie poziomu, teraz nie wpuszczymy tylko osoby, która jest rażąco niechlujna. Przyznaję to z ubolewaniem, ale standard akceptowalnego stroju się obniżył. Państwo stwarza takie warunki, że nie stać nas na luksus grymaszenia.

Ewa Kwiatkowska z Casinos Poland opowiada, że kilka lat temu w kasynie hotelu Marriott działała nawet wypożyczalnia krawatów i marynarek. Dziś nie ma po niej śladu. Mogłaby odstraszyć cennych gości.

Dziś każdy, kto tylko wejdzie do sali, jest w niej panem. Obsługa ma dziś dużo większą tolerancję dla niekulturalnego zachowania gości. – Większość zachowuje się normalnie, ale są też tacy, którzy mają dużo pieniędzy i prymitywne manery – opowiada pragnący zachować anonimowość były krupier. – Teraz, kiedy liczy się każdy grosz, dyrekcja traktuje ich jak święte krowy. Kiedyś jeden klient mocno przegrywał przy moim stole i chciał rzucić we mnie krzesłem. Innym razem ktoś obciął krawat kierownikowi sali. A ochrona? Oczy-

wiście jest obecna, ale w takich wypadkach „wychodzi do toalety”. Klient jest zbyt cenny, nie można go zniechęcić.

Choć zdarza się to rzadko, niektórzy goście próbują oszukiwać. Najczęściej polują na żetony gotówkowe. – Kiedyś przyłapaliśmy przy rulecie jednego pana, który miał przyklejone do mankietów kawałki taśmy klejącej. Stawiał swoje żetony i przy okazji zgarniał cudze – opowiada Ewa Kwiatkowska. Inni starają się odwrócić uwagę krupiera i podstawić żeton już po zatrzymaniu koła ruletki.

NAPIWEK DO SKARBOWEGO

Daleko posunięty fiskalizm dotyka też bezpośrednio krupierów. Są oni jedyną grupą zawodową odprowadzającą podatki od napiwków. Pensja krupiera, zwłaszcza początkującego, jest bardzo niska – zdradza były krupier. – Dziś na starcie można liczyć na kwoty rzędu 800 złotych. Właściwy zarobek to napiwki.

Zdaniem doświadczonych graczy napiwki warto płacić. – Krupierzy zawsze mają jakieś sympatie – opowiada Maciej, bywalec kasyn. – Spotykałem się kiedyś z dziewczyną

krupierką. Mówiła, że jest w stanie trafić w wybrany wycinek koła.

Anonimowy były krupier twierdzi, że po sześciu latach praktyki był już w stanie trafić w wycinek koła składający się z pięciu numerów.

Kłopot jednak w tym, że napiwki trafiają do kieszeni krupierów nieco inaczej niż na przykład barmanów. Wszystko, co dzieje się w sali, jest nagrywane przez kamery – ustawa wymaga zainstalowania systemu kontroli umożliwiającego z jednej strony identyfikację gości, a z drugiej – rozstrzygnięcie ewentualnych sporów. Ponieważ krupierom nie wolno brać nic od gości (ich stroje mają pozaszywane kieszenie), napiwki wędrują do specjalnej skrzyneczki, a potem, wciąż w obecności kamer, są komisyjnie liczone i rozdzielane. Łatwo wtedy kontrolować ich wysokość i nakładać podatki. – Dlaczego właśnie napiwki krupierskie są opodatkowane? – pyta Kisała. – Co z taksówkarzami, fryzjerami albo kelnerami? Ci ostatni też oficjalnie pracują za marne grosze, a w sezonie pracowaliby pewnie za darmo, byle dostawać napiwki.

Indagowane w tej sprawie Ministerstwo Finansów powołuje się na zasadę powszechno-

ści opodatkowania oraz na to, że napiwki wypłacane są za pośrednictwem pracodawcy, należy zatem pobrać od nich zaliczkę na podatek dochodowy. Wydaje się, że ministerstwo po prostu wykorzystuje wynikającą z ustawy jawność przychodów krupierów. Trudno sobie wyobrazić, żeby kelnerki z letnich ogródków przy kawiarniach potulnie wpisywały do PIT-ów prawdziwe kwoty otrzymane od gości.

– Zupełnie inaczej było w czasach, kiedy w salach nie było jeszcze kamer – wspomina były krupier. – Pamiętam, że podczas liczenia pieniędzy zawsze wysiadały korki. Kiedy światło znowu się zapalało, nikt nie wiedział, czy na stole jest tyle samo pieniędzy co pięć minut wcześniej.

KONKURENCJA AUTOMATÓW

Jeśli zmiany ustawy wejdą w życie, kasynom przybędzie jeszcze jeden konkurent – tak zwane automaty o niskich wygranych, w których jednorazowo można wygrać równowartość najwyższej 15 euro. – Te automaty już stoją w barach i na stacjach benzynowych, jest ich w Polsce kilkadziesiąt tysięcy – ocenia prezes Kisała. – Państwo nie radzi sobie z ich kontrolą, więc postanowiło je zalegalizować.

Ministerstwo przyznaje, że zjawisko istnieje: „...nie został rozwiązany problem

związany z urządzaniem gier na automatach bez zezwolenia ministra (...), organizatorzy tych gier deklarują brak oferowania wygranych rzeczowych czy pieniężnych, podczas gdy w praktyce wygrane takie są realizowane w sposób trudny do udowodnienia” – czytamy w cytowanej wcześniej informacji o realizacji ustawy. Eligiusz Kisała zwraca uwagę na jeszcze jeden istotny szczegół: podatek od automatów będzie płacony ryczałtem. – Świetne warunki do prania pieniędzy. Nikt przecież mi nie udowodni, że nie zarobiłem na automacie miliona złotych. 50 euro miesięcznego podatku zapłaciłem i wszystko jest w porządku – mówi prezes Orbis Casino.

Wygląda na to, że nad kasynami zbierają się czarne chmury. Więc jeżeli nie byłeś jeszcze w przybytku hazardu, wybierz się tam, póki kasyna jeszcze istnieją. Zabierz ze sobą dokument tożsamości i 2,5 złotego na bilet wstępu (kwota ta w całości trafia do budżetu państwa). Pamiętaj też o zabraniu zegarka, bo na ścianie kasyna czasomierza nie uświadczysz.

MAX SUSKI

DZIĘKUJEMY FIRMIE CASINOS POLAND ZA UDOSTĘPNIENIE WNĘTRZ.

BORGES
Fikcje

Prószyński i S-ka

JORGE LUIS BORGES

Fikcje

Opublikowane w 1944 roku „Fikcje”, najważniejszy tomik Borgesa, przyniosły twórcy międzynarodową sławę. Snując fabuły, Borges odwołuje się do rozmaitych gatunków i form literackich, swobodnie łącząc recenzje z nieistniejących książek, fikcyjne biografie, pseudoeseje, parable, opowiadania fantastyczne i kryminalne. Każdy utwór stanowi monumentalne dzieło, które autor zamyka w granicach kilku stron. Świat wyłaniający się z „Fikcji” jest wyszukaną biblioteką, mnożącą lustrzane odbicia – ludzkich losów i czasów – ironicznym podsumowaniem daremnego trudu niezliczonych pokoleń myślicieli.

PATRONAT MEDIALNY:



WZÓR NA SZCZĘŚCIE

OLGA WOŹNIAK

Szczęśliwym trzeba się urodzić – uważają uczeni. Nie udało ci się? Nic straconego. Teraz po prostu **musisz być szczęśliwy**

Gdybym był o 20 lat młodszy – dopiero bym im pokazał! „Gdybym była mężczyzną – na pewno daliby mi tę pracę”. „Gdybym wygrał milion w totolotka – moje życie stałoby się lepsze”. Wydaje się nam, że znamy receptę na szczęście. Nic bardziej błędnego – mówią psycholodzy. To, czy jesteśmy szczęśliwi, czy nie, w 80 procentach zależy od wygranej w genetycznej loterii.

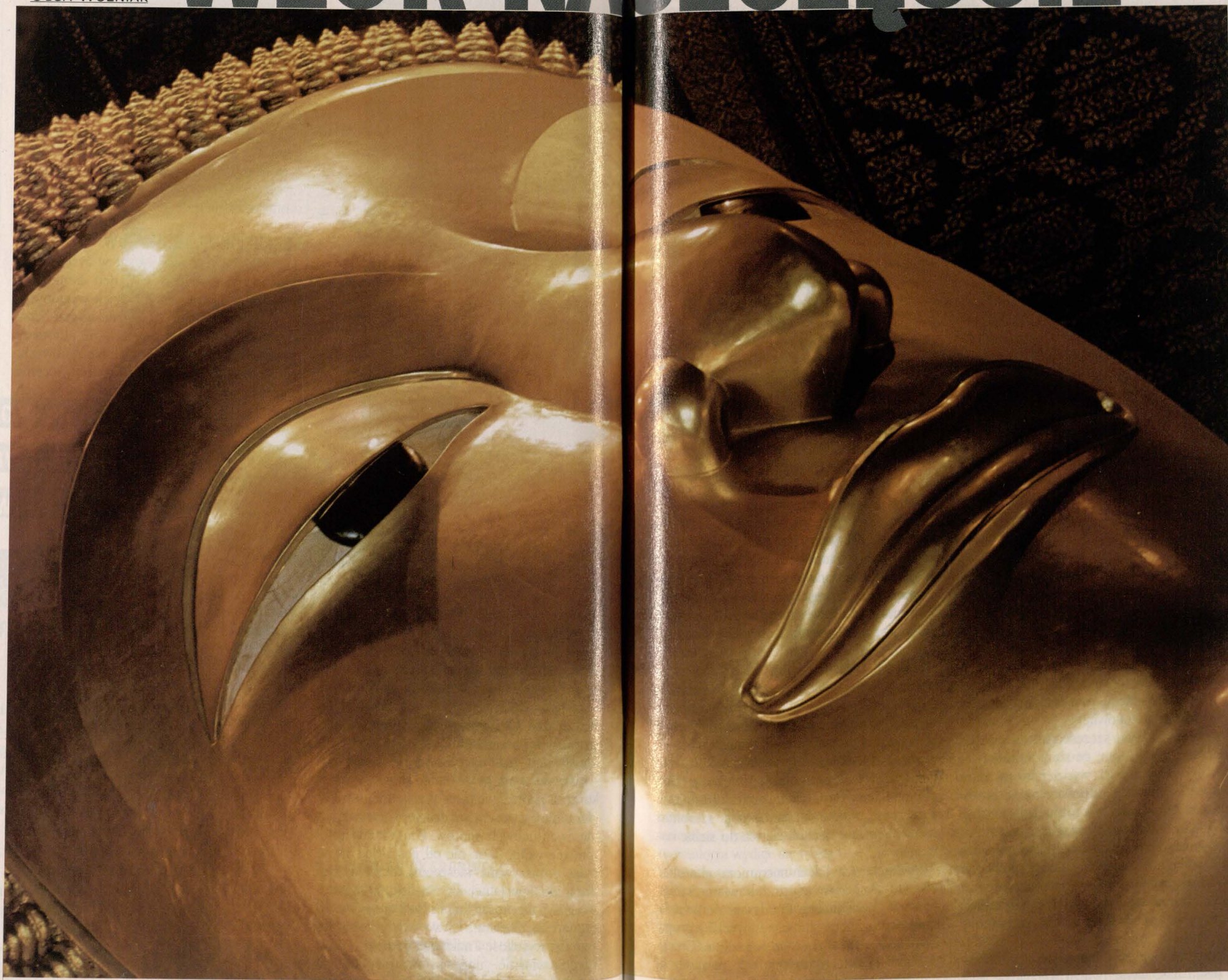
Nie jest to najszcześniejsza wiadomość. Wydaje się, że bez względu na to, jak bardzo będziemy się starali, nie mamy wpływu na swoje poczucie szczęścia. Naukowcy nie pozostawiają jednak „nieszczęśliwie urodzonych” takim czarnym myśłom. Jeżeli nie zostałeś obdarzony „genami szczęścia”, uśmiechnij się. Uśmiechaj się jak najczęściej – radzą.

WZGLĘDNOŚĆ ROZUMU

„Istnieją uzasadnione podstawy do zakwalifikowania szczęścia jako zaburzenia psychiatrycznego, którego opis powinien zostać włączony do przyszłych wydań podręczników diagnostycznych” – napisał w roku 1992 w poważnym brytyjskim czasopiśmie naukowym „Journal of Medical Ethics” Richard Bentall, wykładowca psychologii klinicznej na uniwersytecie w Liverpoolu.

Zawrzało. „Niektóre brytyjskie gazety pisały o mnie tak, jakbym sam był psychicznie chory – wspomina te chwile naukowiec. – Inne potraktowały całą sprawę z kamienną powagą. Moja własna matka nie chciała ze mną rozmawiać”.

W zasadzie trudno się dziwić. Z naukową wnikliwością badacz opisał bowiem stan szczęścia, który jego zdaniem „spełnia wszystkie rozsądne kryteria choroby umysłowej. Jest on, statystycznie biorąc, nienormalny i towarzyszy mu swoisty zespół objawów; przynajmniej niektóre sugerują, że jest przejawem zakłócenia w funkcjonowaniu ośrodkowego układu nerwowego; jest wreszcie



Receptę na szczęście oferuje wiele religii. Spokojny uśmiech Buddy daje wyznawcom pewność, że wystarczy sumiennie wypełniać jego zalecenia, by być szczęśliwym

połączony z rozmaitymi zaburzeniami aparatu poznawczego – w szczególności z oderwaniem od rzeczywistości”.

Długo nie chciano uwierzyć, że niezwykle przekonująca praca psychologa była jedynie żartem. Że chciał on tylko pokazać, jak trudno jednoznacznie określić kryteria, za pomocą których można ustalić, kto jest zdrowy, a kto chory psychicznie.

Czy jednak wiadomo, co to jest szczęście? Nie wyjaśnił tego Bentall, nie wyjaśniło wielu naukowców przed nim. Aż do teraz.

PRZEPIS NA ZADOWOLENIE

Brytyjscy psychologowie ułożyli wzór na szczęście – obiegała media informacja. Przepis jest banalnie prosty. $\text{Szczęście} = P + (5 \times E) + (3 \times H)$. Wystarczy pomnożyć i dodać.

Wzór został opracowany na podstawie badań prowadzonych wśród tysiąca osób. Musiały one odpowiedzieć na kilka prostych pytań: „Czy jesteś elastyczny i otwarty na zmiany?”, „Czy jesteś optymistą i masz poczucie, że kontrolujesz swoje życie?”, „Czy zaspokojone są twoje podstawowe potrzeby życiowe – czy jesteś zdrowy i czy masz poczucie bezpieczeństwa, w tym finansowego?”, „Czy odczuwasz satysfakcję z pracy i życia rodzinnego?”.

Z analizy odpowiedzi naukowcy wysnuli następujące wnioski: P (*personal characteristics*) oznacza cechy charakteru takie jak: podejście do życia, zdolność adaptacji, elastyczność (pytanie pierwsze i drugie). E (*existence*) we wzorze to egzystencja – czyli ogólna kondycja, stan zdrowia, finansów oraz życia towarzyskiego (pytanie trzecie). H (*higher order*) zaś to potrzeby wyższego rzędu, takie jak poczucie własnej wartości, ambicje i poczucie humoru (pytanie czwarte).

Na ile ważne są te składniki w osiągnięciu szczęścia, mówią liczby, przez które należy je pomnożyć. Im większe, tym bardziej istotny składnik. Mówiąc więc najprościej: aby być szczęśliwym, musisz mieć zaspokojony byt materialny, czuć się kochanym, być optymistą i mieć poczucie własnej wartości. Proste?

BOGACI I ZAŁAMANI

W takim razie dziwią przypadki osób, które odziedziczyły albo wygrały duże pieniądze i mimo to po krótkiej euforii deklarują poziom zadowolenia z życia jak przed wygraną czy otrzymaniem spadku.

– Z pieniędzmi jest jak ze zdrowiem – wyjaśnia psycholog David Myers. – Ich brak może czynić nieszczęśliwym, ale ich posiadanie nie gwarantuje już automatycznie szczęścia. Oczywiście, ludzie żyjący





w nędzy są mniej szczęśliwi od zamożnych – dodaje (dla tego składnik E w brytyjskim wzorze jest pomnożony aż razy pięć). – Gdy jednak za-

spokoja swoje podstawowe potrzeby, dalsze bogacenie się już tylko w nieznacznym stopniu poprawia ich samopoczucie.

Myers za przykład podaje Amerykanów, którzy mogą za swoje pieniądze kupić dziś dwa razy tyle rzeczy niż 40 lat temu, ale dwa razy bogatszy Amerykanin nie jest wcale dwa razy szczęśliwszy. W roku 1957 za osoby „bardzo szczęśliwe” uznano 35 procent mieszkańców USA, a w roku 1998 – 32 procent.

Co więcej, ludzie, którzy nieoczekiwanie stają się bardzo bogaci, mogą być z tego powodu bardzo... nieszczęśliwi. Psychologowie z Money, Meaning and Choices Institute w Berkeley utworzyli nawet ostatnio nową kategorię chorobową – syndrom nagłego bogactwa (*sudden wealth syndrome*). Ludzie, którzy nagle się wzbogacili, nie mogą się przystosować do nowej sytuacji – cierpią na bezsenność i depresję, czują się zagubieni, mają poczucie winy. To często prowadzi do zachowań autodestruktywnych, nawet samobójstwa.

Sztandarowym przykładem, że szczęścia nie dają ani wiek, ani płeć, ani sukcesy zawodowe, ani pieniądze, może być przypadek jednej z Miss Świata z lat 80. – Węgierki, która kilka tygodni po zdobyciu tytułu odebrała sobie życie. Zrobiła to, mając w zasadzie wszelkie warunki po temu, by być szczęśliwą.

– Nie zdarzenie, lecz nasza interpretacja tego zdarzenia jest tym, co powoduje nasze poczucie szczęścia lub nieszczęścia – mówi amerykański psycholog Albert Ellis. Potwierdzają to badania naukowców z University of Minnesota. Wydarzenia życiowe jedynie na krótko zmieniają subiektywne odczucie zadowolenia. Po każdym epizodzie radości lub rozpaczki powracamy do pewnej normy, tak zwanego poziomu nastawczego (*set point*), różnego dla każdego z nas i w znacznej mierze wrodzonego – tłumaczą.

FART W GENACH

By uczynić cię szczęśliwym, zamiast milionowego spadku twoi przodkowie powinni zostawić ci odpowiednie geny – tak francuscy uczeni podsumowują badania przeprowadzone na 1500 parach dorosłych jedno- i dwujajowych bliźniąt. Z analizy kwestionariuszy, które musiały one wypełnić, oceniając swój poziom poczucia szczęścia, wynikało, że aż w 50 procentach ma ono genetyczne podstawy.

Aby się upewnić, zbadano dokładniej grupę bliźniąt jednojajowych. Są one w zasadzie rodzajem „naturalnych klonów”. To genetycznie identyczni ludzie. Jeśli więc hipoteza jest prawdziwa, to będą oni tak samo szczęśliwi niezależnie od wieku i warunków, w ja-

kich żyją. Kazano więc badanym określić swój stan szczęśliwości, gdy mieli po 20 lat. Wrócono do nich 10 lat później.

W tym czasie drogi bliźniaków najczęściej się rozchodziły. Pracowały w różnych miejscach, często gdzie indziej mieszkały, różnie układały sobie życie. Jednym się powodziło, innym szło gorzej. Jak się okazało, nie miało to większego znaczenia. W wieku lat 30 – niezależnie od warunków, w jakich przyszło im żyć – bliźniaki deklarowały w 80 procentach taki sam poziom szczęścia jak 10 lat wcześniej. Wyniki w takiej samej proporcji zgadzały się u rodzeństwa. Badacze wywnioskowali więc, że właśnie w tytu procentach o naszym samopoczuciu decyduje dziedziczność.

Skoło tak, to znaczy, że mieliśmy raczej pogodnych przodków. Wbrew bowiem temu, co o sobie sądzimy, Polacy – jak wynika z badań – to szczęśliwy naród. Co piąty z nas uważa się za bardzo szczęśliwego, a co drugi „tylko” za szczęśliwego. Dla porównania: co 10. twierdzi, że jest nieszczęśliwy, natomiast bardzo nieszczęśliwa czuje się co 20. osoba.

MÓZG SZCZĘŚLIWY

Czy dla tych 30 procent niezbyt szczęśliwych nie ma już żadnej szansy? Nie można



przecież zmienić swoich genów. Nie załamujmy się, psychologowie dają nadzieję.

– Jeśli rodzice nie obdarzyli cię szczęśliwym usposobieniem, musisz wziąć sprawy we własne ręce – mówią.

No bo co to jest szczęście? Stan mózgu. Geny decydują o tym, co się w nim dzieje: czy i w jakiej ilości wydzielają się nam w głowie substancje odpowiedzialne za dobry nastrój, w jakim stopniu jesteśmy na nie podatni. Gdy jesteśmy szczęśliwi, w naszym mózgu zachodzi wiele skomplikowanych reakcji, w których jedną z głównych ról odgrywa substancja zwana dopaminą. Ona pobudza struktury – tak zwany układ nagrody – odpowiedzialne za nasz dobry nastrój.

Jednym z „efektów ubocznych” tych reakcji jest... nasz wyraz twarzy. Kurczą się dwa mięśnie jarzmowe, mięśnie nosa oraz mięśnie okrężne oczu. W rezultacie usta otwierają się, a ich kąciaki się unoszą. Górna warga podnosi się, odsłaniając zęby. Unoszą się też powieki i brwi. Uśmiechamy się. Nasza twarz wyraża zadowolenie.

UWAŻAJ NA MINY!

– A gdyby tak zadziałać w drugą stronę? – zastanowili się Paul Ekman, Robert Levenson i Wallace Friesen, amerykańscy naukowcy zajmujący się badaniem stanów emocjonalnych. – Skoro wyraz twarzy jest efektem reakcji zachodzących w mózgu, może „robiąc minę”, sprowokuje się taką reakcję? – pomyśleli.

Kolejnych kilka dni naukowcy spędzili, wykrzywiając do siebie twarze. Ich przypuszczenia potwierdziły się. – Byliśmy źli, smutni, weseli – zależnie od tego, co robiliśmy ze swoją twarzą – opowiada Ekman. Doświadczenie powtórzyli na grupie ochotników.

Jedna grupa robiła na komendę odpowiednie miny, druga miała przypominać sobie wydarzenia wywołujące smutek czy złość, nie wspierając tego mimiką. Naukowcy badali zmiany, jakie zachodziły w ich organizmach. – Miny wywołują takie same reakcje w mózgu jak wspomnienia – stwierdzili. Ludzie naprawdę stawali się smutni, gdy dłuższy czas wykrzywiali usta w podkówkę.

Gdy naukowcy kazali studentom oglądać komedie i kazali im w tym czasie trzymać w wargach ołówki – co uniemożliwiało im uśmiechanie się – odbierali oni film jako znacznie mniej śmieszny niż ci, na których podczas projekcji „wymuszono” uśmiech, kładąc trzymać ołówki zaciśnięty w zębach. Wyniki eksperymentu opisano w fachowym piśmie „Science”.

„Uśmiechaj się często do siebie”, „myśl pozytywnie” – radzą poradniki. Głupie? Wcale nie. Widząc rano w lustrze swoją wykrzywioną twarz, zmusz mięśnie do uśmiechu. Twój mózg stanie się szczęśliwszy. Niebawem poczujesz różnicę.

UŚMIECH ZAMIAST PIGUŁKI

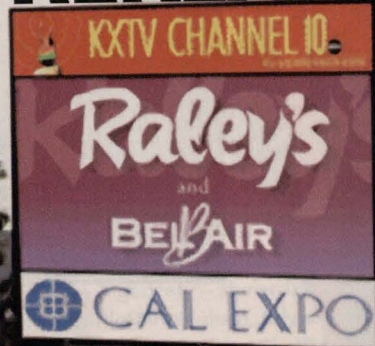
Potwierdzają to także badania psychologu Sary Snodgrass. Przez tydzień w kampusie uczelni, w której pracowała, można było natknąć się na grupy studentów maszerujących przed siebie nienaturalnie dziarskim krokiem, z wysoko podniesioną głową. Gdy przypadkiem napotykali czyjeś zdumione spojrzenie, obdarzali tę osobę szerokim uśmiechem, uśmiechali się też do siebie nawzajem.

Dotknęła ich jakaś tajemnicza choroba? Nie, to eksperyment „indukowania szczęścia”. Po paru dniach Snodgrass porównała samopoczucie „na siłę szczęśliwych” z grupą kontrolną zachowującą się normalnie. Co się okazało? Poczucie szczęścia tych pierwszych naprawdę wzrosło!

A ty? Nie jesteś „genetycznie obciążony” optymizmem? Nie szkodzi. Uśmiechnij się. Uśmiechaj się jak najczęściej. To tańsze niż prozac.

OLGA WOŹNIAK

REKLAMA SŁUCHA



Reklamy podążają za nami krok w krok. Znają nasze upodobania, wiedzą, jakie czytamy gazety, gdzie robimy zakupy, ile zarabiamy. Teraz będą nawet słuchać tego samego radia co my

Pokazywanie reklam pampersów biznesmenom czy luksusowych samochodów gospodyniom domowym to dla firm reklamowych strata czasu i pieniędzy. Dlatego wydają one tysiące dolarów i euro na wynajdywanie coraz to nowych sposobów, by kierować reklamą wyłącznie do zainteresowanych tematem.

Steven Spielberg w swoim ostatnim filmie „Raport mniejszości” wymyślił, że nośniki reklam będą skanować tęczę wokół siebie i w centralnym komputerze sprawdzać ich tożsamość. Dzięki temu na twój widok reklamy mogłyby ożywać i zwracać się do ciebie imieniem i nazwiskiem. Choć ta technologia wydaje się bardzo zaawansowana, „personalizowane reklamy” to już rzeczywistość.

Przekonać się o tym mogą kierowcy przejeżdżający niektórymi drogami stanów Kalifornia i Teksas w Stanach Zjednoczonych. Nie zagląda im się tam wprawdzie w oczy, ale... podsłuchuje.

Firma Alaris Media Network należąca do Toma Langelanda – przedsiębiorcy z San Francisco – zamontowała tam billboardy, które potrafią „namierzyć” częstotliwość słuchanej przez kierowcę stacji radiowej. Kosztowało to Langelanda 20 milionów dolarów. Czy się opłaci? Bardzo.

Z upodobań radiowych można wiele wywnioskować. Na podstawie szczegółowej analizy danych dotyczących słuchanych przez nas stacji specjaliści mogą dokładnie określić, ile wydajemy na zakupy, gdzie je robimy i jaki jest nasz stan cywilny.

Billboard, „słyszcz”, kto właśnie przejeżdża, może zmienić wyświetlaną reklamę. Gdy autostradą przemknę większość kierowców słuchających country, pokaże obrazy zachwalające ciężarówkę, gdy zaś będzie jechało więcej słuchaczy radia biznesowego – przy szosie pojawią się reklamy luksusowych samochodów.

– Te billboardy są w stanie wykrywać audycje radiowe w 60–85 procentach przejeżdżających aut – chwali się Phyllis R. Neill z firmy MobilTrak, spółki, która opracowała radiowy system identyfikacji.

– Dzięki nim będziemy w stanie dopasować reklamę do odbiorcy – mówi John Henry Parker z zespołu pracującego nad „sprytnymi reklamami”.

Pomysł śledzenia klienta przez reklamę nie jest czymś bardzo nowym. Na tej zasadzie od kilku lat działają bannery reklamowe w Internecie. Tam specjalny program „podpatruje”, co najbardziej interesuje cię w Sieci. Potem na stronach, na które wchodzisz, pojawiają się reklamy dopasowane do twoich zainteresowań. Krytycy takich pomysłów uważają, że reklama zaczyna być intruzem: podsłuchuje, szpieguje.

Niebezpieczeństwo tkwi także w tym, że reklamy, które bardzo przyciągają uwagę, nie przeszkadzają może w Internecie, ale przy drodze stanowią zagrożenie dla ruchu. W zeszłym roku na przykład przez brytyjskie media przetoczyła się krytyka poustawianych przy drogach szybkiego ruchu silnie działających na zmysły reklam damskiej bielizny. Były przyczyną wielu wypadków.

Tak samo jest z ruchomymi obrazami na elektronicznych billboardach. – Ludzie czekają, aż reklama się zmieni – mówią policjanci z okolic Sacramento dziennikarzowi lokalnej gazety. Powoduje to korki i wypadki. Dlatego departament transportu stanu Kalifornia żąda, by „podsłuchują-

ce” reklamy nie zmieniały się częściej niż co cztery sekundy.

Reklama zewnętrzna to jedna z najtańszych i najpowszechniejszych metod dotarcia do wielkiej liczby osób. Ale zalewani przez kolorowe obrazy stajemy się na nie odporniejsi. Dlatego firmy prześcigają się w wymyślaniu nowych sposobów zwrócenia naszej uwagi.

Równie pomysłowy jak właściciel Alaris Media jest szef firmy Thinking Pictures Stephan Fitch. Należy do niego kilkadziesiąt plakatów w kilku amerykańskich miastach (głównie w Nowym Jorku, gdzie mieści się siedziba spółki). Zamiast papieru do przekazywania treści zastosowano w nich płaskie plazmowe wyświetlacze z głośnikami, połączone szybkimi łączami z centralnym serwerem. Ta technologia umożliwia wabienie widzów nie statycznym obrazkiem, ale fragmentami filmów oraz dźwiękiem.

Fitch podobnie jak Langeland chce, by jego billboardy po zwabieniu do siebie odpowiedniej liczby „oglądaczy” zbierały o nich informacje. Ma się to odbywać za pomocą specjalnych kart z mikrochipami (takich jak zbliżeniowe bilety autobusowe), które będzie się za darmo dostawało na przykład w kinach. Godząc się na bycie inwigilowanym przez reklamę i odpowiadając na kilka pytań, które ustalą nasze zainteresowania (co zostanie „zaprogramowane” w karcie), otrzymamy zniżkę na kinowy bilet. Gdy zaś z taką kartą w kieszeni podejmiemy do jakiegos plakatu, dobierze on dla nas odpowiedni film reklamowy.

Lubisz szybkie samochody? Interesują cię kosmetyki? Jesteś zapalonym kinomanem? Możesz być pewien, że reklama trafi w sedno.

OLGA WOŹNIAK



NIEZNISZCZALNY

Nie można było trafniej nazwać Hermanna Maiera. „Herminator”. Cyborg, który półtora roku po strasznym wypadku poskładał się z części i wygrał supergigant

27 stycznia 2003 r. miłośnikom narciarstwa alpejskiego będzie kojarzył się z cudem. Wielu z tych, którzy tego dnia zasiedli przed telewizorami, by oglądać zawody Pucharu Świata w Kitzbuehel, zrobiło to dla Hermanna Maiera.

Większość z sympatii, bo to nazwisko kojarzy im się z serią spektakularnych zwycięstw. Niektórzy z sentymentu, by cofnąć się o dwa lata, kiedy ostatni raz widzieli go w pełni formy, a nieliczni z powodu satysfakcji, że nic nikomu nie jest dane raz na zawsze.

Wszystkich łączyła ciekawość – na ile ten Hermann Maier przypomina tamtego sprzed wypadku, etatowego zwycięzcę zawodów Pucharu Świata, zdobywcę ponad 40 złotych medali. „Herminatora” o niehumanitarnej determinacji, z jaką rozprawiał się z konkurentami.

Jednak to, co nastąpiło za chwilę, przerosło oczekiwania wszystkich. „Herminator”... wygrał na jednej z najtrudniejszych tras – Streif w Kitzbuehel. Wygrał, mimo że ledwie dwa tygodnie wcześniej przypiął narty po długiej przerwie. Wygrał, mimo że wielu spisało go na straty. Słowem wygrał, mimo że nie powinien. Cofnijmy taśmę do 24 sierpnia 2001 r.

Obertauern, Austria. O 9 rano „Herminator” melduje się w centrum treningowym. Jest w doskonałej formie. Parę dni wcześniej wrócił z chilijskiego Portillo, gdzie przygotowywał się do sezonu. Zapowiedział, że na igrzyska w Salt

Lake City pojedzie po jedyny brakujący mu tytuł – mistrza olimpijskiego w biegu zjazdowym. O 19 wsiada na choppera – złożony własnoręcznie motocykl. Mimo że od domu dzieli go niecałe 20 kilometrów, podkręca gaz.

Dramat rozgrywa się przy wyjeździe z miasta Radstadt. „Herminator” kilka razy próbuje wyprzedzić wlokącego się mercedesa. Już niemal mu się udaje, gdy nagle... kierujący autem 70-letni niemiecki emeryt postanawia skrócić w lewo. Nie widzi motocyklisty. Ten z dużą siłą uderza w błotnik auta. Chopper i jego kierowca lądują w betonowym rowie.

Sanitariusze, którzy szybko zjawiają się na miejscu, sztywnieją na widok tego, co zostało z nogi sławnego narciarza. Obok strzępów mięśni i splecionej skóry z prawej nogawki spodni wystają gołe kości podudzia. „Herminator” ląduje w prestiżowej klinice w Salzburgu. Lekarze szybko przystępują do operacji. Na czeluście szóstosobowej grupy chirurgów i ortopedów staje profesor Arthur Trost.

– Noga Maiera wyglądała jak kawał mielonego mięsa – opowiada Trost. – Złamana w wielu miejscach, z pozrywaniem mięśni, obdarta ze skóry, unurzana we krwi, pyle i błocie... Kwalifikowała się do amputacji. Trzeba było siedmiu godzin, by ją poskładać. Kości zespoliliśmy solidnym tytanowym prętem i śrubami, na wierzch przeszczepiliśmy płaty skóry z pleców. Trzeba było zrekonstruować pozrywane nerwy.



„Herminator” z tytanowym prętem (na zdjęciu rentgenowskim z lewej) w kościach podudzia znów wygrywa

FOT. GAMMA/BE&W (2)

Mało brakowało, a jego organizm by tego nie zniósł. Szok pooperacyjny sprawił, że przestały pracować nerki.

Po operacji Trost utrzymuje Maiera w sztucznej śpiączce, by – jak mówi – oszczędzić mu cierpień.

Oddział intensywnej terapii pacjent opuszcza po dwóch tygodniach. Po dwóch miesiącach kuśtyka o kulach. Przeważają opinie, że do zwrotu „kariery sportowa Maiera” najlepiej pasuje czas przeszły.

– On ledwie chodzi, część mięśni podudzia ma w zaniku, inne są zdeformowane. To, co widać pomiędzy kostką a kolaniem, przypomina zmutowanego kalafiora – mówi Trost.

Ale w przypadku Maiera powiedzenie, że nadzieja umiera ostatnia, jest czymś więcej niż tylko literackim frazesem. Pomimo sceptycyzmu lekarzy, pomimo namów psychologa, by pogodził się z niepełnosprawnością, pomimo powracającego zwątpienia Austriak wytrwale ćwiczy. Nie może żyć bez śniegu, gór i nart. Nalega na trening sportowy.

Lekarze doktor Johannes Zeibig i Andreas Evers serwują mu jazdę na rowerze, ćwiczenia stretchingowe, siłownię, elektrostymulację mięśni i koktajle witaminowo-proteinowe. Rehabilitanci wyginają mu prawą stopę we wszystkich kierunkach. Chirurgi wyglądają laserem blizny na ciele. O blizny na psychice dba chiński mnich. W dalszym ciągu nikt nie wspomina o startach. Maier jest uparty.

Niebawem przypina biegówki, kilka miesięcy później – zjazdówki. – Czułem się jak ptak wypuszczony z klatki – wspomina potem.

Ubiegłoroczne igrzyska w Salt Lake City ogląda jednak z trybun. 10 stycznia tego roku świat obiegła wiadomość: „Herminator” powraca. Metę slalomu giganta w szwajcarskim Adelboden osiąga na 31. miejscu. Nie kwalifikuje się do finału. – Cieszę się, że dojechałem do mety – mówi. – W jednym kawałku i o własnych siłach. „Cudu nie było” – tak w gazetach piszą ci, którzy jednak liczyli na cud.

Cud nadchodzi niecałe trzy tygodnie potem. „Herminator” znów wygrywa.

ROBERT LEMSKI



FOT. BE&W

➤ Szczotkuj tradycyjnie

Elektryczne szczoteczki do zębów to w większości tylko efektowne gadżety – stwierdzili naukowcy z Birmingham, Edynburga, Manchesteru i Sheffield. Specjaliści przeprowadzili badanie, podczas którego podzielili szczoteczki na kilka typów w zależności od sposobu działania ich główek. Uznanie w ich oczach znalazły jedynie te, które wykonywały koliste i drgające ruchy naśladujące zwykłą szczoteczkę. W porównaniu z nią uzyskiwały one o siedem procent lepsze wyniki w usuwaniu bakteryjnej płytki nazębnej i o ponad 10 procent słabiej podrażniały dziąsła.

Na skuteczność szczotkowania nie wpływają natomiast inne szeroko reklamowane zalety elektrycznych szczoteczek – ultradźwięki ani pęczki włókien wirujące jednocześnie w różnych kierunkach. – Im szczoteczka bliższa jest tradycyjnemu, manualnemu modelowi, tym lepsza – orzekli uczeni.



FOT. CORBIS/FREE

➤ Tęcza na monitorze

„Inteligentny” materiał o zdolnościach kameleona opracowali japońscy badacze. Polimer, który pod wpływem zmian temperatury z przezroczystego staje się kolorowy, pozwoli obniżyć koszty produkcji monitorów i różnego rodzaju czujników. Jego struktura wzorowana jest na mechanizmie pozwalającym zmieniać barwy zwierzętom (oprócz kameleona potrafią to robić także ośmiornice i kalamarnice). Badacze odkryli, że ta umiejętność to efekt ściskania małych woreczków wypełnionych barwnikiem, do których przyłączone są włókna mięśniowe.

Żebyś wiedział



FOT. SIMON WALKER

➤ Światelka na dobranoc

Kocyk reagujący kolorowymi światłami na ruch przykrytej nim osoby ma pomagać w zasypianiu niespokojnym dzieciom. Zaprojektował go James Adams z Godalming w Surrey w Wielkiej Brytanii. Prototyp wystawiono w Muzeum Nauki w Londynie. Został nagrodzony jako najlepszy produkt przyszłości. Kocyk ma działać uspokajająco na dzieci, które boją się ciemności.



FOT. BE&W

➤ Zalać robala

Jak donoszą uczeni z uniwersytetu w Madrycie, czerwone wino może zastąpić niektóre pestycydy. Zawarty w winie związek resveratrol chroni rośliny przed infekcjami wirusowymi. Nieodporne są na nie zwłaszcza jabłka. Czerwone wino jest bogatym źródłem resveratrolu, ponieważ w dużych ilościach znajduje się on w skórce i pestkach winogron, z których produkuje się ten trunk. Resveratrol był do tej pory znany ze swej roli w zapobieganiu chorobom serca u ludzi. Obniża poziom „złego” cholesterolu w organizmie człowieka i w ten sposób zapobiega chorobom serca u osób pijących co dzień lampkę czerwonego wina. Jako antyutleniacz może też zmniejszać ryzyko rozwoju procesów nowotworowych.



Mam 24 lata i metr osiemdziesiąt siedem wzrostu. Ciągłe wydaje mi się, że to o jakieś 10 metrów za dużo... Przy tym wzroście moja waga często nie przekracza 70 kilogramów. Czuję się długim, rozklekotanym słupem. (...) Zdecydowanie jestem nieprzekonany do mojego na Zewnątrz...Wewnątrz mam ładniejsze, chociaż porysowane doświadczeniami... Czasami wyskakuję na Zewnątrz w postaci bełta śmierdzącego literackim nadęciem...

FISZ O SOBIE, STYCZEŃ 2003, FISZ.SK8.PL

DYNAMIT SZCZEROŚCI

WOJCIECH
STASZEWSKI

Są przeciwieństwem Eminema.
Wrażliwość braci Waglewskich
to zupełnie inne oblicze hip hopu

Wyobraźnia jest ich najmocniejszą stroną. Łamią konwencje, nie poddają się zasufladkowaniu. To jedno z najoryginalniejszych zjawisk na polskiej scenie muzycznej. Jako Tworzywo Sztuczne wydali właśnie płytę „F3”.

BARTEK I PIOTREK WŚRÓD DŹWIĘKÓW

Warszawa. Miejski krajobraz Ursynowa lat 80. Fisz – czyli Bartek – i jego brat Piotrek (DJ M.A.D., Emade, Emadeusz) mieszkają w bloku z wielkiej płyty. Dookoła podobne bloki. W każdym mnóstwo młodych małżeństw, więc na podwórku pełno dzieciaków.

– W domu leciał jazz, reggae. Ojciec [Wojtek Waglewski – jeden z najwybitniejszych gitarzystów rockowych, gra w Voo Voo – przyp. red.] i wszyscy „wujkowie” grali na jakichś instrumentach – opowiada Fisz.

Piotrek, jak tylko może, siada do perkusji, a starszy Bartek nie chce być ani strażakiem, ani kierowcą – bo nie przychodzi mu do głowy, że mogą być na świecie inne zawody niż muzyk. Kiedy Bartek ma siedem lat, a Piotrek cztery, ojciec zabiera ich na koncert punkowego zespołu Siekiera. Chłopcy są przejęci, kilka dni później postanawiają zostać punkami, stawiają sobie włosy na mydło.

Bartek wyrasta na podwórkowego przywódcę. Straszy dzieci niesamowitymi opowieściami. Raz udaje mu się opowiedzieć kolegom z zerówki coś tak strasznego (nikt już dziś nie pamięta co), że cała klasa nie przychodzi następnego dnia do szkoły.

Piotrek odbiera w podstawówce jedyną w swoim życiu edukację muzyczną – pani tłumaczy dzieciom zapis nutowy i uczy gry na cymbałkach.

– Ale to mi dało podstawy, dzięki temu potrafię zagrać proste rzeczy na pianinie – mówi Piotrek. – Panią od wychowania muzycznego czasem spotykam na osiedlu.

Bartek dobrze rysuje. Słucha przy tym Metaliki, Pere Ubu, Pixies z magnetofonu-jamnika, który mają na spółkę z bratem.

Kiedy Bartek idzie do liceum, a Piotrek staje się nastolatkiem, zakładają pierwszy zespół, grają ostry hard core. Piotrek gra na perkusji, Fisz śpiewa w języku węgiersko-angielskim. Do tego koledzy z podwórka: Kuba na trąbce (poszedł w ciężkie narkotyki), Kaczor na gitarze (nie wiadomo, co się z nim stało), Komi na basie (został przy muzyce, jest technicznym).

– Próby mieliśmy w szkole. Woźny za czekoladę wpuszczał nas do sali – opowiada Fisz.

Piotrek z Bartkiem chodzą wtedy w czarnych koszulkach opatrzonych nazwami sław polskiego heavy metalu – Vader, Kreator. Mają długie włosy do ramion. Występują w klubie Remont pod nazwą Pięć Rodzajów Szczęścia. – Te, perkusista, masz mleko pod nosem – krzyczy ktoś spod sceny.

PIOSENKA O SIARCZANIE WODORU

W połowie lat 90. dzieciaki z ursynowskich podwórek dorastają. Przychodzi szal deskorolki, a stąd już blisko do spodni z krokiem koło kolan i hip hopu. Jak ktoś przywiezie nową płytę z zagranicy, to całe osiedle ją przegrywa. Ursynów zostaje okablowany, w domach pojawia się MTV.

– I okazało się, że ten hip hop nie jest taki obciachowy, jak się wcześniej wydawało, kiedy docierał tu tylko MC Hammer czy Vanilla Ice – mówi Piotrek.

Bracia słuchają mnóstwa płyt, najbardziej interesuje ich to, jak ta muzyka jest zrobiona.

Dowiadują się, co to jest *sampling*. Jeżdżą po ciotkach, babciach i zbierają z piwnicy stare winyle: polski jazz, lecz także Test, Irena Santor, bajki dla dzieci albo taki cymes jak płyta wydana z okazji jubileuszu Związku Chemicznych Polskich z zaaranżowaną na orkiestrę piosenką o siarczanie wodoru. Wyreperowują z nich całe zagrywki (na początku) albo pojedyncze dźwięki (kiedy nabierają już doświadczenia i wolą tworzyć, niż zrzucać), wciągają je do komputera i budują z nich własne kawałki.

– Gramofon mieliśmy wtedy bardzo oldskulowy – wspomina Piotrek. – Jak pękł w nim pasek klinowy, zastąpiłem go przetrwatywą.

Wypatrują na osiedlu kolesi w szerokich spodniach, jest wśród nich raper znany dziś pod pseudonimem Inespe. I rozpoczynają nowy projekt – RHX Skład.

OPOWIEŚCI Z PODWÓRKOWEJ ŁAWKI

Tytus siada przy radiu. Nie opuści żadnej audycji Bogny (Świątkowskiej, obecnie wice-naczelniej „Przekroju”). W roku 1997 Bogna puszcza co tydzień w Radiu Jazz amerykański i polski hip hop. Właśnie leci RHX, nikomu nieznanemu zespołowi z warszawskiego Ursynowa. Chłopaki podają swój telefon, można się z nimi umówić, to przeagrają mate-

Na dole:
Piotrek
i Bartek
w latach 80.

Obok:
Emade
i Fisz 20 lat
później



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

jeden numer od RHX Składu, znów spotykają się na stacji metra. Cześć, cześć i do widzenia. Wydawnictwo się rozwija, RHX też, i w roku 1999 w Asfalt Records wychodzą „Opowieści z podwórkowej ławki”, już na płycie.

– Na osiedlu było wtedy dużo kompleksów, każdy chciał pokazać, że jest lepszy od drugiego. Były klimaty przemocy, blokery, model życia polegający na żelowaniu włosów i muzyce dyskotekowej. Ale ja miałem z tymi załogami w porządku – opowiada Piotrek.

Fisz, admirał twórczości Miró i Basquiat, zaczyna studia w prywatnej uczelni, Euro-

tuje bity. Mówi o sobie DJ M.A.D., czyli Emade, podobno też z powodów graficznych. Postanawia nie używać magicznego na scenie muzycznej nazwiska „Waglewski”. Do dziś pytania o „wpływ ojca na synów” zbywają: – Nie wchodzimy sobie w życiorysy.

Po kilku miesiącach bracia Fisz i Emade przynoszą Tytusowi nowy materiał, a ten już wie – to będzie głośny wystrzał. Płyta nazywa się „Polepione dźwięki”.

DZIWOŁAG PONAD PODZIAŁAMI

Płyta została kompletnie zignorowana przez duże media, ale wieść o niej i tak

rozchodziła się w metrze: „Jakieś młode panienki stoją naprzeciw mnie, lat 16 najwyżej mają, / Mówi jedna do drugiej: tak się najebałam, że gdy wróciłam do domu, / Nad kibelem godzinę sterczałam... To standard, chleb powszedni, / Nieważne, czy rozmawiają kobiety, mężczyźni, bogaci czy biedni. / Starsi narzekają, opowiadają jak ciężko na każdym kroku. / Zamykam oczy i słyszę te same schematy. / Cześć jak się czujesz, pa pa, wszystko zamienia się w jedną paplaninę”.

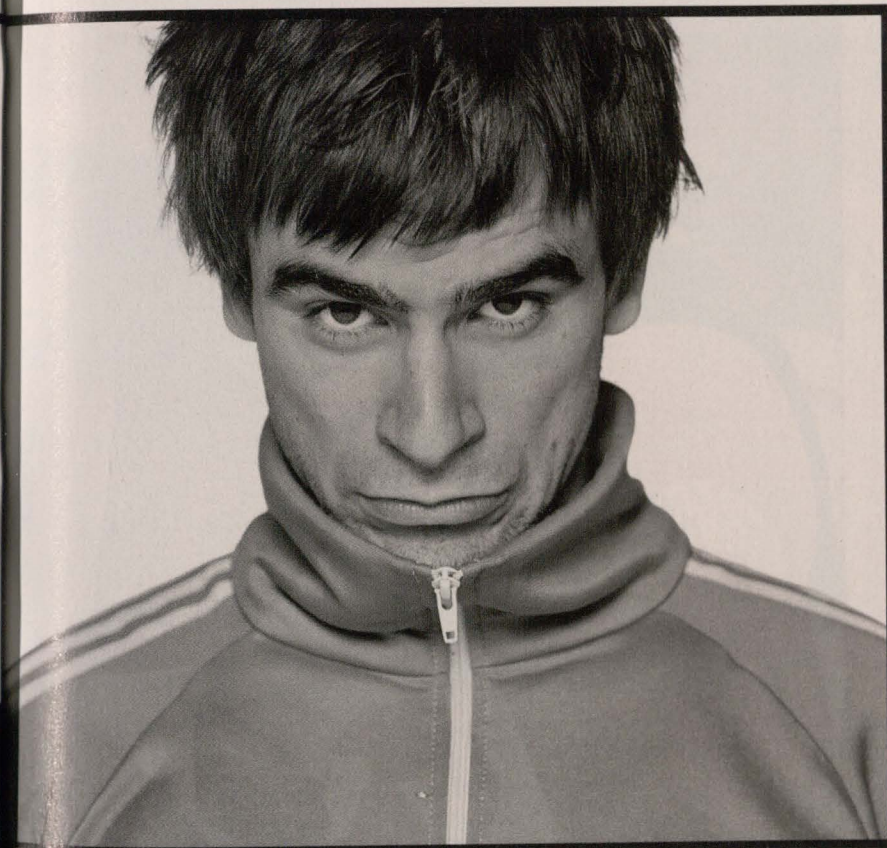
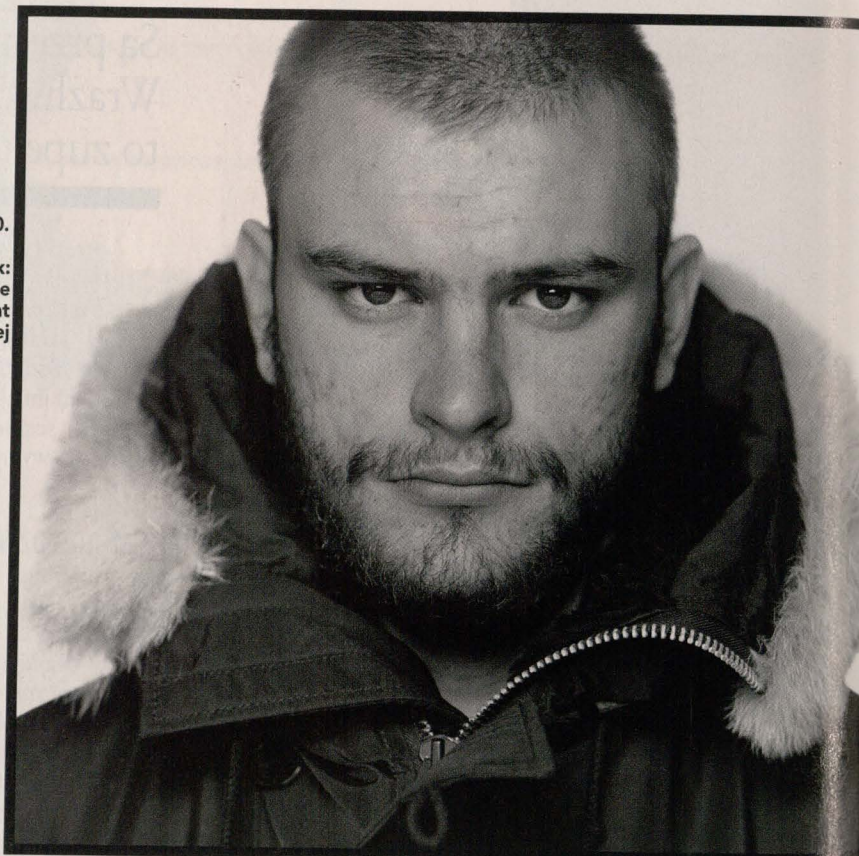
I na schematy hiphopowego przekazu: „Włączam kasetę i słyszę mniej więcej coś takiego: / Najebałem się, później jeszcze kil-

chodzi w roku 2001. Na płycie pojawiają się naturalne brzmienia, żywe instrumenty – kontrabas, trąbka. Gościnnie na gitarze gra Wojciech Waglewski („To dobry muzyk” – mówi o ojcu Fisz). Nawet elektronika brzmi bardziej naturalnie – na przykład piękny „ksylofon” w „Za wysoko”.

– Nie potrafię się dogadać z 16-latkami, które swoje pojęcie o hip hopie wynoszą z „Bravo” – wyznaje Fisz. – A rzecz w tym, że nigdy nie byłem punkowcem i nie jestem hiphopowcem. Jestem zainspirowany tym, co pcha muzykę do przodu, a hip hop jest taką kreatywną alternatywą. Od pierwszej płyty

Zagórski. W takim składzie – Fisz przy mikrofonie i Emade za samplerem – występują teraz. Hiphopowy skład zmienił się w tripjazzowe combo.

Do tekstów wciska się trochę socjologii. Ale nie jest to socjologia podwórkowej ławki. Fisz prowokuje: „Hej ty, wielki specu od reklamy, / Zareklamuj miłość jak dynamit”. Ironizuje: „Jestem VIP-em / Ważny jestem / Salonowym typem / Każdym gestem / Ja idę tędy kądery idą trendy / Uwielbiam chodzić na ekskluzywne spędy”. Wali prosto z mostu: „Nie dotykam, nie tykam / Wrednej gęby polityki”. Jednak najmocniej-



FOT. A. GEORGIJEW



Fisz „Samochodem, 2 dni”, rok 2002. Wystawa prac Bartka Waglewskiego „Polepione” od 8 do 28 lutego w galerii Kuluary w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie

Nie ma w nich agresji, jest za to rozbrajająca szczerość. Bracia Waglewscy odmawiają udawania, że są kimś innym, niż są

riał. Tytus dzwoni i się umawia. Spotykają się na ostatniej stacji metra. Tytus bierze kasetę, wstawia jej recenzję na swoją stronę www.enigma.art.pl: „Fajne bity, tylko teksty kiepskie”.

– Skopiowaliśmy tę kasetę z 50 sztuk, rozdawaliśmy ludziom, żeby docierała do następnych – mówi Fisz. – To nas w życiu kręciło. Bo co innego? Szkoła? To było miejsce spotkań towarzyskich. Byłem zdolny, ale leniwy. Dopiero do matury się przyłożyłem.

Rok później Tytus zakłada wytwórnię Asfalt Records, przygotowuje składankę. Bierze

pejskiej Akademii Sztuki. – Wiedziałem, że czeka mnie szkicowanie ręki i podobne bzdury. Ale wykończył mnie ten klimat, że trzeba przyjść do szkoły i przez sześć godzin malować pana, który siedzi – opowiada.

„Opowieści z podwórkowej ławki” to ostatni materiał firmowany przez RHX. Zespół się rozpada. Bartek przyjmuje ksywkę Fisz (wyjaśnia mi, że to tylko zestawienie liter, ale trzeba być idiotą, żeby nie zauważyć, że z urodzenia jest Rybą). I zostaje raperem (a chciał być producentem). Piotrek przestaje się odzywać na płytach, za to z pasją mon-

niowała się w „promocji szeptanej”. Pewien dziennikarz usłyszał w Radiostacji kawałek „Bla, bla, bla”, zachwycił się trzeźwym dystansem i celnością spostrzeżeń, subtelnym i niedokładnym rymem. Przez kilka miesięcy szukał płyty, aż zobaczył ją w warszawskim pubie w ręku dziewczyny przy sąsiednim stole; dosiadł się do niej, wypytał, gdzie ją kupił, jak brzmi całość. A normalnie dziennikarz ten jest zbyt nieśmiały, żeby dosiadać się do obcych kobiet. Wiem, bo to jestem ja.

„Bla, bla, bla” to atak Fisz na paplaninę codzienną. Na powierzchowność. Na denne

ka razy rzucił kurwa / Dalej było coś o blatach i znowu kilka razy kurwa. / Ja z tego nic nie rozumiem, w tym nie ma nic tak naprawdę, co w tobie się kryje / Wszyscy zgrywają twardzieli, ja w to nie wierzę, / Bo wiem, że w każdym znajdzie się lęk i przerażenie. / Oni nawijają swoje, a ja słyszę tylko bla, bla, bla”.

– To kwintesencja tego, co kwitnie na scenie hiphopowej – wyjaśnia Fisz. – W miejsce autentyzmu wszedł sztuczny język gitowski, bełkot. Doszło do paradoksu, że nadziane dzieciaki, które dostają od mamy duże kieszonkowe, śpiewają: „Jebać policję”.

Za „Polepione dźwięki” Fisz dostaje nominację do Fryderyka 2000, nominację do Paszportu „Polityki” i nagrodę „Machiny”.

Na drugą płytę Fisz cała muzyczna Polska czeka z niecierpliwością. „Na wylot” wy-

na scenie hiphopowej byłem postrzegany jako dziwołag. I o to mi chodziło.

ZAREKLAMUJ MIŁOŚĆ JAK DYNAMIT

Warszawa, rok 2003. Pokój jak pokój – na środku kanapa, pod oknem telewizor, a przy ścianie ogromny stół. Na nim stoją kolejno: 12-śladowy mikser analogowy, sampler MPC 2000 XL, gramofon, z którego sampluje się dźwięki, i dwuoktawowy syntezator analogowy. Obok elektryczne piano Fendera. W długie jesienne wieczory roku 2002 Piotrek tworzy muzykę na płytę „F3”. Firmują ją obaj – Fisz i Emade, pojawia się też nazwa duetu – Tworzywo Sztuczne.

Nie wszystkie dźwięki na płycie wyszły spod palców DJ M.A.D.-a. Najpierw pojawił się Dominik Trębski, trębacz. Później doszedł basista Karim Martusewicz, gitarzysta Jurek

szą stroną twórczości Fisz pozostaje neurotyczna psychologia, podglądanie własnego wnętrza. Wyznaje: „Kocham... czuję dziwnie, że ty coś nie bardzo, / Ale kocha mnie Elle, pismo światowe, / Jestem tak naprawdę duże dziecko, / Co ze wstydem opuszcza swą głowę”.

I w takich tekstach tkwi chyba tajemnica ich popularności. Nie ma w nich agresji, jest za to rozbrajająca szczerość. Bracia Waglewscy wbrew nazwie Tworzywo Sztuczne odmawiają udawania, że są kimś innym, niż są.

Pewnie dlatego nie stoi za nimi żadna maszyna medialna ani wielkie wytwórnie. W radiu ich nie grają, w telewizji nie pokazują. Za to w domach – słuchają.

WOJCIECH STASZEWSKI
(„Gazeta Wyborcza”)

Brazylia szaleje na punkcie swojego nowego prezydenta. **LUIZ INÁCIO LULA DA SILVA** obiecał chleb i pracę nędzarzom. W zamian poparło go najwięcej ludzi w dziejach demokracji

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Lsatelity Ameryka Południowa przypomina ogromnego buraka. Najdородniejszą część warzywa zajmuje Brazylia. Nad połową kontynentu i połową jego ludności powiewa zielono-żółta flaga znana wszystkim fanom futbolu na świecie.

Brasília, stolica kraju, zaplanowana od zera przez ucznia Le Corbusiera, urbanistę Lucia Costę, pokluta strzelistymi budowlami projektu Oscara Niemeyera wygląda jak fantastyczny sen pośrodku pustki. Tutaj urządza prezydent Luiz Inácio Lula da Silva. Typowy Brazylijczyk – uwielbia śmiech, śpiew i zabawę. Pochodzi z ludu. Jak się odnajdzie w pałacu Planalto, pośrodku rządowej dzielnicy staroświecko-futurystycznej Brasílii?

NOWOROCZNY FESTYN LUDOWY

Tak miażdżącego zwycięstwa nie pamięta nie tylko istniejąca 114 lat republika brazylijska, lecz także cała historia demokracji. Lula zyskał poparcie 54 milionów głosujących. Niemal 200 tysięcy ludzi przybyło do stolicy w Nowy Rok 2003 wiwatować na cześć nowego prezydenta.

Dotąd takie tłumy zbierały się tu tylko z okazji protestów. Wśród oficjalnych gości znaleźli się między innymi Fidel Castro, populistyczny prezydent Wenezueli Hugo Chávez, a także pamiętna Niewolnica Isaura, czyli Lucélia Santos. Lula w eskorcie kilkunastu tysięcy żołnierzy jechał pod szpalerem czerwonych sztandarów z gwiazdą i równie licznych zielono-żółtych flag narodowych.

Jeszcze nigdy nowy prezydent nie wprowadzał do Planalto tylu nadziei. Na Lulę liczą nie tylko jego rodacy, lecz także spora część ludności krajów sąsiednich. A najbardziej – znani prezydentowi od dzieciństwa mieszkańcy dzielnic nędzy wyrastających nieopodal Planalto wbrew zamiłom projektantów stolicy, bez niczyjej zgody, bez dostępu do wody czy prądu. Lula zamierza przeznaczyć milionowe sumy na uwłaszczenie ludzi ze slumsów – dzięki temu uzyskają adres pocztowy oraz formalne prawo ubiegania



LULA, CO SIĘ BOGACZOM NIE KŁANIA

FOT. EPA PAP/FORUM

się o kredyt. Sprawa dotyczy, bagatela, kilkunastu milionów obywateli.

ZERO GŁODU

Zwycięstwo Luli to fenomen w tradycyjnie konserwatywnej Brazylii, kraju ogromnych nierówności, gdzie 10 procent ludności skupia w swoich rękach prawie 50 procent bogactwa. Nie wiadomo, czy prezydent-robotnik da sobie radę – w parlamencie jego partia pozostaje w mniejszości. A co jeszcze planuje? Zapomogi dla młodych ludzi, którzy zrezygnują z handlu narkotykami. Nagrody pieniężne dla analfabatów, którzy nauczą się czytać i pisać. Program pomocowy dla drobnych rolników, reformę rolną i rozwój spółdzielczości wiejskiej. Podwojenie minimalnej płacy w ciągu czterech lat.

Na rok 2003 wyznaczył sobie realizację programu „Fome Zero” – „Zero głodu” – który ma polegać na rozdawaniu kartek na jedzenie. – Uznam, że spełniłem misję, jeśli pod koniec mojej kadencji każdego Brazylijczyka będzie stać przynajmniej na trzy regularne posiłki dziennie – powiedział nazajutrz po zwycięstwie wyborczym.

Skąd nowy prezydent weźmie pieniądze na te śmiałe zamierzenia? Brazylia pogrążona jest od dłuższego czasu w zapaści. Zapaści, której Lula – nawiasem mówiąc – zawdzięcza epokowy wynik wyborczy. Na samej popularności nie zbuduje się sprawiedliwego ustroju, jak nie da się ugotować obiadu dla tysięcy na ogniu fajerwerków.

DO CZTERECH RAZY SZTUKA

Lula wcześniej trzykrotnie startował po prezydenturę. Najpierw w roku 1989 przegrał z „człowiekiem znikąd” Fernandem Collorem de Melo, który został po jakimś czasie zmuszony do odejścia pod zarzutem łapówkarstwa.

Potem dwa razy (1994 i 1998) bezskutecznie konkurował z socjaldemokratą Fernandem Henrique Cardosem. Kiedy w październiku 1998 roku w deszczowy, pieski dzień po wyborach pojawił się w siedzibie swojej Partii Robotniczej z podłą miną, wszyscy myśleli, że to koniec, że więcej nie wystartuje.

Jednak już rok później stanął na czele „Marszu stu tysięcy” na Brasiilię. Wielu uczestników nosiło koszulki z napisem „Precz z Fernandem Henrique Cardosem i Międzynarodowym Funduszem Walutowym”. Nic dziwnego – końcówka ośmiu lat prezydentury Cardosa nie należała do chwalebnych. Wprawdzie Brazylia nie osiągnęła takiego dna jak sąsiednia Argentyna, ale bezrobocie i ceny poszły w górę, w przeciwieństwie do tempa wzrostu.

„Marsz stu tysięcy” niektórzy nazwali wprawdzie uliczną operetką, ale Lula pokazał się znów w mediach i mógł zapowiedzieć, że będzie kandydował po raz czwarty.

SYN ZIEMI BIEDNEJ

W dniu decydującej drugiej tury wyborów przypadały jego 57. urodziny. Luiz Inácio Lula da Silva urodził się 27 października 1945 r. w głębi biednego stanu Pernambuco na północnym wschodzie Brazylii. Miał siedmioro rodzeństwa.

– Czuję się uprzywilejowany – lubi powtarzać – bo w moich stronach wiele dzieci umiera przed ukończeniem pierwszego roku życia.

W domu się nie przelewało. – Pamiętam, miałem chyba sześć lat, moja siostra trzy. Raz zobaczyła, że ojciec je kromkę chleba, i poprosiła, żeby się z nią podzielił. On jednak wołał rzucić okruchy psom, niż nakarmić własną córkę. To była prawdziwa studnia ignorancji – tak Lula wspomina ojca. Stary da Silva zresztą wcześniej porzucił rodzinę i wyjechał na południe szukać pracy.

Brazylia miała się wówczas trochę lepiej. Świat w związku z wojną w Korei potrzebował surowców, których kraj miał pod dostatkiem. Konjunktura nie zawitała jednak do Pernambuco, więc w roku 1952 matka zapakowała dzieci do rozklekotanej ciężarówki. Po 13 dniach dotarli na przedmieścia bogatego São Paulo.

RODZI SIĘ POLITYK

Lula nauczył się czytać i pisać w wieku 10 lat. Pracował wtedy jako czyścibut. Kraj ogarnęła tymczasem nadzieja na powrót demokracji. Prezydent Juscelino Kubitschek zainicjował budowę nowej stolicy kraju. Kiedy Brazylia zdobyła pierwszy raz mistrzostwo świata w piłce nożnej, Luiz był już pomocnikiem w farbiarni. Gdy prezydent uroczystie inaugurował nową stolicę, 14-letni Lula zarabiał jako robotnik w zakładach metalowych. Pracował 12 godzin dziennie, a mimo to zdołał ukończyć kurs na mechanika.

Niebawem Pelé poprowadził brazylijskich piłkarzy po drugi tytuł mistrzów świata, zaczęła święcić międzynarodowe triumfy bossa nova i jej młoda gwiazda Astrud Gilberto. Wkrótce jednak nadszedł czarny rok 1964. Czarny nie tyle dlatego, że Lula w wyniku wypadku przy pracy stracił mały palec lewej dłoni – 1 kwietnia armia dokonała zamachu stanu, na 21 lat hibernując Brazylię w systemie autorytarnym.

To był trudny czas. Lula się ożenił, ale podczas porodu zmarła żona i dziecko. Za namową brata komunisty Freia Chico da Silvy wstąpił do związku zawodowego, co mogło ściągnąć na niego represje: związkowcy albo ściśle współpracowali z administracją, albo szli do więzienia. Niebawem trafił tam Frei Chico. Był torturowany. To wydarzenie podziało na Lulę jak iskra na lont. Przejęty marksistowskimi ideami poważnie zajął się polityką. Był już w tym czasie ojcem dziewczynki, którą urodziła mu pewna pielęgniarka, właśnie też związał się z Marisą Leticią. Są małżeństwem do dziś.



54 miliony obywateli oddały swój głos na Lulę, szefa Partii Robotniczej w garniturze od Armaniego. Na zdjęciu kampania wyborcza w październiku 2002 roku

WAŁĘSA, ALE CZERWONY

W roku 1975 skończył się brazylijski cud gospodarczy. Lula został przewodniczącym krajowego związku metalowców, który przekształcił z kontrolowanej przez rząd fikcji w prężną, niezależną organizację. Najdłuższy z kierowanych przez Lulę strajków, wiosną 1980 roku, trwał 41 dni. Wzięło w nim udział 270 tysięcy robotników regionu São Paulo. Dzisiejszy prezydent zasłużył na miesiąc aresztu.

Rok 1980 okazał się przełomowy. Junta pozwoliła na zakładanie ograniczonej liczby partii politycznych. Lula powołał do życia Partię Robotniczą. Trzy lata później zainicjował kampanię „Diretas – Já” („Bezpośrednio – Natychmiast”) na rzecz przywrócenia powszechnych wyborów prezydenta. I wygrał. Wprawdzie jeszcze w styczniu 1985 pierwszy od 21 lat cywilny prezydent kraju Tancredo Neves został wybrany przez kolegium elektorskie, ale już cztery lata później to obywatele wskazali mieszkańca pałacu Planalto. Lula kandydował – i był drugi, za Collorem.

REALIZM ZOBOWIĄDUJE

Lula chętnie porównuje swoją Partię Robotniczą do drzewa o socjalistycznych korzeniach i giętkich gałęziach, które pozwalają przyjmować w szeregi ludzi o różnych poglądach: od zielonych po zwolenników teologii wyzwolenia. W ostatnich wyborach zatryumfował, bo zrezygnował z radykalnych haseł.

Złagodził program, nawiązał kontakty z prawicą. Swoją wizerunek powierzył specjalście od marketingu politycznego. Przywódca

robotniczy paradował teraz w garniturach od Armaniego i wysławiał się w sposób mocno wyważony. O ile wcześniej zarzucano mu brak wykształcenia i uliczny język, tym razem wzdychano z nostalgią, że już nie jest taki jak dawniej. Nerwy puściły mu tylko kilka razy. Niewybrednie zaatakował urzędującego prezydenta Cardosa, zaś sąsiednią Argentynę nazwał pogardliwie „republiczką”.

NEO-LULA

Niegdyś stał na czele strajków, które paraliżowały przemysłowe dzielnice São Paulo, dziś znalazł się po drugiej stronie. Czy zdoła przekonać wyborców, a zwłaszcza towarzyszy walki, że trzeba inaczej?

Niby dystansuje się od Fidela:

– Rewolucja kubańska miała swoje wielkie dni, ale ja jestem zdecydowanie za swobodą religijną, wolnością słowa i zakładania związków zawodowych.

Nie wszyscy wierzą w szczerość tych słów. Wszak jeszcze w grudniu 2001 roku w Hawanie wołał: – Fidel, twoje oblicze pokrywają zmarszczki, ale dusza twoja jest czysta, bo nigdy nie zdradziłeś ludu pracującego! Dzięki, że żyjesz i dajesz nam przykład!

Lula wezwał lewicę latynoamerykańską do zdecydowanej obrony komunistycznej Kuby przed atakami wrogów. Całkiem niedawno strzelał też powitalne „niedźwiedzie” z przywódcami Komunistycznej Partii Chin.

We wrześniu 2002 roku podczas spotkania wyborczego wyraził nadzieję, że jego zwycię-

Pisać i czytać Lula nauczył się, mając 10 lat. W swojej karierze był czyścibutem, robotnikiem, mechanikiem i związkowcem. Teraz został prezydentem Brazylii



FOT. BITTAR JOAO/ABRIL IMAGENS/BE&W



FOT. CITYFILES/BE&W



FOT. WOJCIECH LASKI/EASTNEWS

Od góry: Lula, szef Partii Robotniczej, rozmawia ze strajkującymi pracownikami zakładów Mercedes-Benz (rok 1983)

Przyszły prezydent Brazylii z rodziną w domu w São Paulo (lata 80.)

W roku 1981 z Lulą spotkali się Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki. Doszło wtedy do burzliwej dyskusji między szefem związków zawodowych: brazylijskiego, walczącego o socjalizm, i polskiego, walczącego z socjalizmem. Lula (z brodą) siedzi naprzeciwko Wałęsy

stwo wywoła efekt domina na kontynencie: – Jeden tryumf zaowocuje następnymi, w Argentynie, Paragwaju, Urugwaju, w Kolumbii. Kolega Lula z Partii Robotniczej José Dirceu zapowiada: – Naszym celem jest tak rządzić Brazylią, by odmienić cały świat.

AMERYKA ŁACIŃSKA NA LEWO?

Prezydent chce go odmieniać, konstruując między innymi koalicję „krajów z marginesu”, do których poza Brazylią zalicza Chiny, Rosję, Indie, Irak i Iran. Otwarcie sprzeciwia się inspirowanej przez Stany Zjednoczone wojnie z terroryzmem. Nie chce zaprząć swojego kraju do amerykańskiej karocy. Sprzyjają mu demonstracje antyprywatyzacyjne nie tylko w ojczyźnie, lecz także w Peru i Paragwaju. W Boliwii w ostatnich wyborach prezydenckich 20 procent głosów zdobył Evo Morales, ludowy przywódca ruchu producentów koki.

Zwycięstwo Luli może oznaczać początek fali zmian na kontynencie. Jest jednak nadzieja, że populistyczna partia Luli przekształci się w socjaldemokrację na wzór europejski, co też mogłoby być dobrym wzorem dla kontynentu.

Drobn i średni biznesmeni ufają, że nowy prezydent sprawdzi się tak, jak sprawdziła się jego partia, zarządzając bogatym miastem Porto Alegre. Wprowadzony tam przez robotniczych radnych jawny budżet pozwolił na rzeczywiste praktykowanie demokracji, a miasto nie zapadło na zdrowiu. Jednak szanse na powodzenie programu Luli są w tej chwili połowiczne. Gdy wesprze wolny rynek, narazi się masom. A na szczodre zaspokajanie potrzeb ludu Brazylii nie stać. Lula stanął przed najtrudniejszym torem przeszkód.

Poszukując pieniędzy, pojechał ostatnio do Porto Alegre i zagrzał do boju antyglobalistów, a stamtąd poleciał do Davos, by kołatać do sumień kapitalistów. Niektórzy dawni towarzysze walki wołają, że zdradził, zwąchując się z wielkim biznesem.

Brazylia, jak oceniają ekonomiści, ma środki, by zapewnić wszystkim mieszkańcom regularne posiłki, a to na pewno nie uszczupli kapitału popularności prezydenta. Tylko czy on sam wytrzyma? Będzie musiał walczyć z głodem nie tylko biedoty, lecz także własnym. Kardiolog zalecił mu radykalne schudnięcie. Po wieloletniej walce musi odpocząć. Ale Brazylia to nie jest kraj, gdzie wszystko funkcjonuje, nawet gdy prezydent ma sjestę.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



PRZEKRĘT Z FIGURAMI NA ŁODZI

„Tajwańczyk”, romantyczny gangster rodem z Uzbekistanu, handlował bronią i narkotykami. Wpadł za bezinteresowną pomoc znajomej łyżwiarce

Włoscy sędziowie zgodzili się wydać USA ALIMŻANA TOCHTACHUNOWA.

FBI podejrzewa, że przekupił on francuskiego sędziego,

by rosyjscy łyżwiarze wygrali na olimpiadzie w Salt Lake City

Włoska policja miała na oku Alimżana Tochtachunowa, pseudonim „Tajwańczyk” lub „Alik”, już pod koniec lat 90., gdy zamieszkał w swej willi w pobliżu Wenecji. Włochów przestregli Francuzi, którzy nie przedłużyli mu wizy, podejrzewając, że jest jednym ze *smotriaszczich*, czyli nadzorców rosyjskiej mafii na Zachodzie. Do Francji zaś „Tajwańczyk” przyjechał z Niemiec. Tamtejsza policja również posądzala go o związki z mafią i wielokrotnie przesłuchiwała, ale nic nie potrafiła mu udowodnić.

Wpadł dopiero we Włoszech, gdzie agenci nagrali jego rozmowy telefoniczne z francuskimi i rosyjskimi działaczami sportowymi w trakcie zeszłorocznej olimpiady w Salt Lake City. Fragmenty tych nagrań udostępniono prasie w sierpniu ubiegłego roku, wkrótce po aresztowaniu Tochtachunowa.

Nieznany głos: – Ależ z ciebie aferzysta... „Tajwańczyk”: – To mój zawód.

Z zapisu wynika, że „Alik” przekupił sędziów olimpijskich. Zgodnie z jego planem rosyjski sędzia miał zagłosować na francuską parę łyżwiarzy w tańcach na lodzie, w zamian za co francuska sędzina – na Rosjan w konkurencji par sportowych. Udało się o tyle, że w tańcach rzeczywiście wygrali Francuzi. Skandal wybuchł, gdy złoty medal w parach sportowych dostała para Jelena Biereżna i Anton Sicharulidze. Bezkonkurencyjni tego dnia Kanadyjczycy Jamie Sale i David Pelletier zgłosili protest. W końcu wręczono im



FOT. MARIUSZ SZACHO/FORUM

Rosjanie Jelena Biereżna i Anton Sicharulidze wygrali w Salt Lake City, chociaż byli wyraźnie gorsi od pary z Kanady

drugi złoty medal, a na sędziów padły podejrzania o dziwny brak obiektywizmu.

Nieznaną mężczyznę do „Alika”: – Kanadyjczycy byli drudzy... Za ich występ powinni dać sześć punktów, a dawali 5,8 i 5,9. Wygrałmy jednym głosem i dali nam go Francuzi.

Francuska sędzina Marie-Reine Le Gougne przyznała, że swój głos na Rosjan oddała pod naciskiem działaczy francuskiej federacji łyżwiarskiej. Wystraszony przewodniczący federacji Didier Gailhaguet potwierdził, że zna „Tajwańczyka”, a nawet swego czasu próbował mu pomóc w uzyskaniu prawa stałego pobytu we Francji. FBI przypuszcza, że zała-

twiając Francuzom zwycięstwo, „euroazjatycki gangster” znowu chciał otrzymać to prawo.

– Nonsens, „Alikowi” zupełnie nie o to chodziło – śmieje się jeden z moskiewskich dziennikarzy zajmujący się przestępczością. – On jest romantykiem. Nie zrobił tego dla pieniędzy, tylko dla swej podopiecznej. Podopieczna „Tajwańczyka” nie jeździła jednak w rosyjskiej ekipie, tylko... we francuskiej. Córka starego przyjaciela „Alika” Marina Anissina zdobyła wraz z Gwendalem Peizeratem złoty medal w tańcach na lodzie.

„Tajwańczyk” w rozmowie z nieznanym mężczyzną: – Powiedz jej mamie, że Marina będzie miała olimpijskie złoto, choćby się przekształciła na lód.

„Alik” znany jest z lojalności wobec przyjaciół. 30 lat temu początkujący gangster urządził w restauracji hotelu Taszkient w stolicy Uzbekistanu przyjęcie na cześć

jednej z najbardziej znanych radzieckich piosenekarek Sofii Rotaru. Mimo gwałtownego sprzeciwu męża gwiazda radzieckiej estrady postanowiła tam pójść. Menedżer powiedział jej bowiem, że zaprasza ją najmłodszy radziecki wor w *zakonie* – książę złodziei. Gdy piosenkarka podjechała pod hotel, przed drzwiami wejściowymi stały dwa wielbłądy objuczone kosztami z płatkami róż. Dziewczęta w uzbeckich strojach sypały te płatki Sofii pod nogi.

Gwiazda była zachwycona, ale dla „Tajwańczyka” przyjęcie zakończyło się nieprzyjemnie. Na jego polecenie przed przyjazdem Rotaru z restauracji bezlitośnie wyrzucono wszystkich gości – łącznie z miejscowymi urzędnikami partyjnymi. Wkrótce „Alik” wylądował w więzieniu. Ale przyjaciele nie zawiedli – piosenkarka pojechała interweniować do ministra spraw wewnętrznych ZSRR Fedorczuka i „Tajwańczyka” wypuszczono.

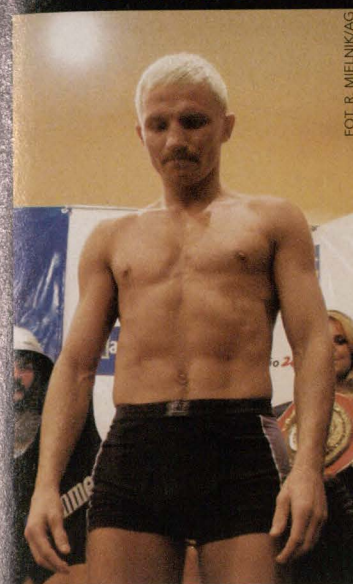
Podobnie się stało po olimpiadzie w Salt Lake City, gdy w jego obronie stanęli rosyjscy sportowcy grający na Zachodzie – tenisista Marat Safin i Jewgienij Kafelnikow oraz hokeista Paweł Bure – a nawet słynny projektant mody Sława Zajcew.

Amerykańskie oskarżenia trudno jednak podważyć. Pierwsi zrozumieli to rosyjscy urzędnicy i działacze sportowi, którzy teraz próbują wykupić z moskiewskich redakcji zdjęcia z licznych przyjęć u „Tajwańczyka” – zdjęcia, na których są i oni.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

świecą lub spadają

ŚWIECI



FOT. R. WIELNIK/AG



Maciej Zegan

BĘDZIE WALCZYŁ Z ZOFFEM

28-letni bokser wrocławskiej Gwardii, czterokrotny mistrz Polski amatorów w wadze piórkowej i lekkiej, za kilka tygodni stoczy walkę o tytuł mistrza Europy z Włochem Stefanem Zoffem. Zegan już dwukrotnie brał udział w imprezach o randze międzynarodowej – w roku 1995 w wieku zaledwie 20 lat pojechał na mistrzostwa świata do Berlina, a rok później zadebiutował w mistrzostwach Europy. Jego pierwsze starty nie były zbyt udane, ale później pokonał kilku bokserów ze światowej czołówki, między innymi Kubańczyka Arnalda Mesę i Rosjanina Sayana Sanchata. W roku 1998 przeszedł na zawodowstwo.

18 stycznia w Essen Zegan walczył z Uzbekiem Arturem Grigorianem o tytuł zawodowego mistrza świata wagi lekkiej. Po wyrównanej walce, w której zdaniem fachowców minimalnie lepszy był Zegan, sędziowie zdecydowali jednak o przyznaniu tytułu Uzbekowi. W oczekiwaniu na rewanż polski pięściarz będzie miał okazję zdobycia tytułu zawodowego mistrza Europy w wadze lekkiej.

Maciej Zegan ma 174 centymetry wzrostu i jest leworęczny.

ŚWIECI



FOT. J. ROLKE/FORUM

Henryk Mikołaj Górecki

NAGRODZONY PRZESZ RADIO

Jeden z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów został laureatem Nagrody Muzycznej za rok 2002 przyznawanej przez zarząd Polskiego Radia. Góreckiego wyróżniono za „wybitne osiągnięcia o szczególnym znaczeniu dla polskiego życia muzycznego”.

69-letni dziś kompozytor długo pozostawał w cieniu. Zrobiło się o nim głośno w roku 1992, gdy wytwórnia Elektra Nonesuch (m.in. wydawca nagrań grupy Kronos Quartet) wydała wykonaną przez śpiewaczkę Dawn Upshaw i zespół London Sinfonietta „Symfonię pieśni żałobnych” skomponowaną przez Góreckiego 16 lat wcześniej. Symfonia natychmiast trafiła na czoło list bestsellerów w Anglii i USA. Do historii przeszły wtedy opowieści o kierowcach, którzy słysząc utwór przez radio, wzruszeni zjeżdżali na pobocze, żeby w ciszy wysłuchać nagrania do końca, i o zagranicznych dziennikarzach, którzy nie mogli się nadziwić, dlaczego taki świetny kompozytor mieszka w małym mieszkaniu w bloku. Do dziś płyta sprzedawała się w 700 tysiącach egzemplarzy.

Nagroda zostanie wręczona laureatowi 30 marca w Studiu Koncertowym im. Lutosławskiego w Warszawie.

ŚWIECI



FOT. P. KORYCZ/REPORTER



Krzysztof Rutkowski

CHRONI EURO

Nie ustaje dobra passa najpopularniejszego prywatnego detektywa w kraju. 16 stycznia łódzka prasa poinformowała, że Krzysztof Rutkowski został społecznym doradcą prezydenta Łodzi do spraw bezpieczeństwa – detektyw sam zaoferował pomoc zaniepokojony wysoką pozycją rodzinnej Łodzi w rankingach najbardziej niebezpiecznych miast.

Minęło zaledwie kilka dni i znowu o detektywie wiele się mówi. Tym razem pracownicy Rutkowskiego przechwycili partię fałszywych banknotów o wartości stu tysięcy euro. Zatrzymali przy tym dwie osoby pochodzenia romskiego należące do grupy rozprowadzającej fałszywki na terenie kraju. Wkroczyli do akcji w momencie, gdy obserwowani od kilku tygodni fałszerze wykopywali w lesie koło Tuszyńa skrytkę z podrobionymi banknotami.

Detektyw Rutkowski skutecznie wydłubał listę spektakularnych i udanych akcji – wystarczy przypomnieć schwytanie w zeszłym roku dwóch groźnych przestępców w Czechach i na Węgrzech.

SPADA



Edward Brzostowski

KRĘCIŁ W PALIWACH

Burmistrz Dębicy i były prezes Igloopolu został w zeszłą środę zatrzymany i przewieziony na przesłuchanie do rzeszowskiej prokuratury. O zatrzymanie poprosił wydział przestępczości zorganizowanej – okazało się, że burmistrz Brzostowski, nim objął stanowisko, był zamieszany w oszustwa związane z fikcyjnym handlem paliwami.

Prokuratura zarzuca mu, że nakłaniał księgowego spółki Dexpol, której był prezesem, do wystawiania lipnych faktur i że sam takie faktury wystawiał. Księgowego już wcześniej zatrzymała policja. Obaj panowie są podejrzani o pomoc zorganizowanej grupie przestępczej. Sprawa jest na tyle poważna, że prokurator zatrzymał Brzostowskiego z paszport i nakazał wpłatę 50 tysięcy złotych poręczenia majątkowego.

Brzostowski, zanim został burmistrzem Dębicy, był posłem SLD. W latach 80. kierował kombinatem rolno-spożywczym Igloopol, który zatrudniał 34 tysiące ludzi i gospodarował na 85 tysiącach hektarów w całej Polsce. Był także wiceministrem rolnictwa i przemysłu spożywczego, a nawet prezesem PZPN.

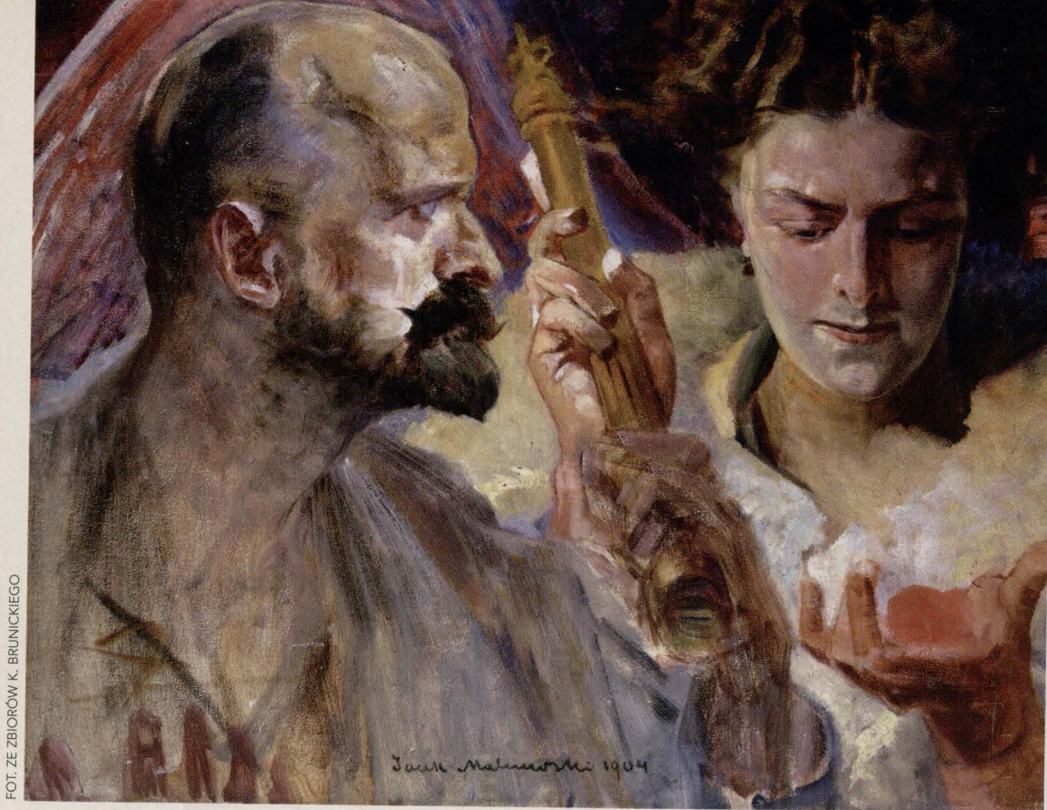
Malarstwo było
dla niego wszystkim.
I kobiety też,
sądząc po wielu
obrazach.
Na płótnach roi się
od chimery, rusalek,
wojowniczych anielic
i kuszących harpii.
I jest na nich
cała Polska.
Jednym słowem
– **MALCZEWSKI**

TADEUSZ NYCZEK



RYCERZ PRZEBIERANIEC

„Jacek Malczewski z paletą” – fotografia
z „Tygodnika Ilustrowanego”.
Obok: „Autoportret artysty z paletą”, 1892-95



FOT. ZE ZBIORÓW K. BRUNICKIEGO



FOT. ZE ZBIORÓW UKRAIŃSKIEGO MUZEUM NARODOWEGO WE LWOWIE (2)

Nie upijał się w modnych knajpach, nie znosił awangardy. Lubił się przebierać. Największe poruszenie wzbudzał, przywdziewając damskie ciuchy

Nie był aż tak nikczemnego wzrostu jak ów poeta, o którym krążyła po Warszawie anegdota słynnego Franca Fiszera: „Zajechała pusta drożka i wysiadł z niej Leśmian”. Ale nie da się ukryć, był nieduży i całkiem zwyczajny, można go było wziąć za kancelistę albo nauczyciela łaciny. Wąsy, bródka. Szybko zaczął łysieć. Ale ktoś, kto znałby go tylko z autoportretów, pomyślałby: mocarz. Wyrziste, jak wyrzeźbione, rysy twarzy. Przenikliwe spojrzenie władcy. Szeroki tors kulturysty, często obleczony w rycerską zbroję. Kiedy malował się z profilu, zadzierzyscie podniesiona broda wskazywała, że lepiej z jej właścicielem nie zaczynać. Twardy facet, krótko mówiąc. Jakkolwiek by było, jeden z największych polskich malarzy.

DUŻO RÓŻNYCH WIDZIAŁAM

Uwielbiał się przebierać i kogoś udawać. Nie tylko na obrazach. Podobno często udawał kulawego albo naśladował chód żołnierza. Do małych dziewczynek odnosił się jak do wielkich hrabin, całując je ostentacyjnie w rękę. Kiedy indziej sam zachowywał się jak dziewczynka, dygał na powitanie. Miał ekscentryczny gust, jeśli chodzi o stroje. Nawet

w młodopolskim Krakowie, gdzie artystyczna cyganeria nosiła się z fasonem i zadawała szyku czarnymi pelerynami, musiał wyglądać na dziwaka. Nosił kolorowe kamizelki, aksamitne bluzy w holenderskim stylu, różne kapoty i serdaki. Musiał mieć kompleks na punkcie łysiny, bo wciąż ją zakrywał беретami, wojskowymi furazerkami, rozmaitymi czapeczkami, kapeluszami. Starsza siostra Bronisława, której kilka ślicznych portretów namalował, uszyła mu coś na kształt wielkiego, niekształtnego biretu opadającego na uszy.

Ale największe poruszenie w towarzystwie wzbudzał, przebierając się w damskie ciuchy. Gorszył prosty lud. Kucharka państwa Malczewskich mawiała ze zgrozą: „Dużo różnych widziałam, ale takiego nagłupiastego pana jak nasz – nigdy”.

CHRYSTUS RYCERZ

Robił to dla zgrywy? Może. Psychoanalitik powiedziała, że niewątpliwie miał w sobie coś z transwestyty. Czyżby chodziło o podświadome szukanie w sobie cech kobiecych? Przeczyłaby temu chyba jeszcze silniejsza skłonność do przebierania się za siłaczy i rycerzy. Na pewno było w tym coś z ucieczki

od jednoznaczności, zwykłości. W końcu była to epoka, w której Artysta zdawał się wywyższać ponad szary tłum mieszczańskich filistrów, głosił hasła „sztuki dla sztuki” i tak dalej. Ale akurat Malczewski był od tego jak najdalej. „Sztuka dla sztuki” kompletnie go nie interesowała. Nie upijał się po modnych kawiarniach i knajpach, żeby nad ranem wskakiwać na stół i wrzeszczeć, że wolność artysty jest jego najświętszym obowiązkiem i precz z kołtunami pracującymi dla marnego zarobku. Właśnie akurat on miał zdecydowane poczucie obowiązku wobec społeczeństwa, narodu, ojczyzny i nie lubił tych wszystkich awangardowych smaczków i nastrojów. W ogóle nie znosił awangardy.

Oczywiście do końca nie rozstrzygniemy, dlaczego się przebierał. Dziecinne kompleksy? Ucieczka przed emocjonalną dojrzałością? Ukrywanie się pod różnymi maskami, byle tylko nie stanąć twarzą w twarz wobec życia? A co znaczyło parokrotne malowanie siebie jako Chrystusa (z długimi puklami włosów!)? To już graniczyło z bluźnierstwem, a co najmniej z pychą. Mickiewiczowski Konrad z Wielkiej Improwizacji mieniący się partnerem Boga został pokarany epilepsją i wyegzorcyzmowany. A Malczewski nadal spogląda na nas spod cierniowej korony i cierpi za miliony.

KOMPLEKS POLSKI

Było jeszcze coś innego. Zwłaszcza jeśli spojrzeć na rozmaite puklerze, szynele, hełmy, w których tak chętnie się portretował. Tu już jesteśmy na pewniejszym gruncie. To przecież słynne kompleksy polskie artystów mających

Na górze od lewej:
„Autoportret z muzą trzymającą berło i serce”, 1904,

Autoportret – fragment tryptyku z faunami, 1906,

„Chrystus w Emaus”, 1909.

Obok: Jacek Malczewski – prywatna melancholia



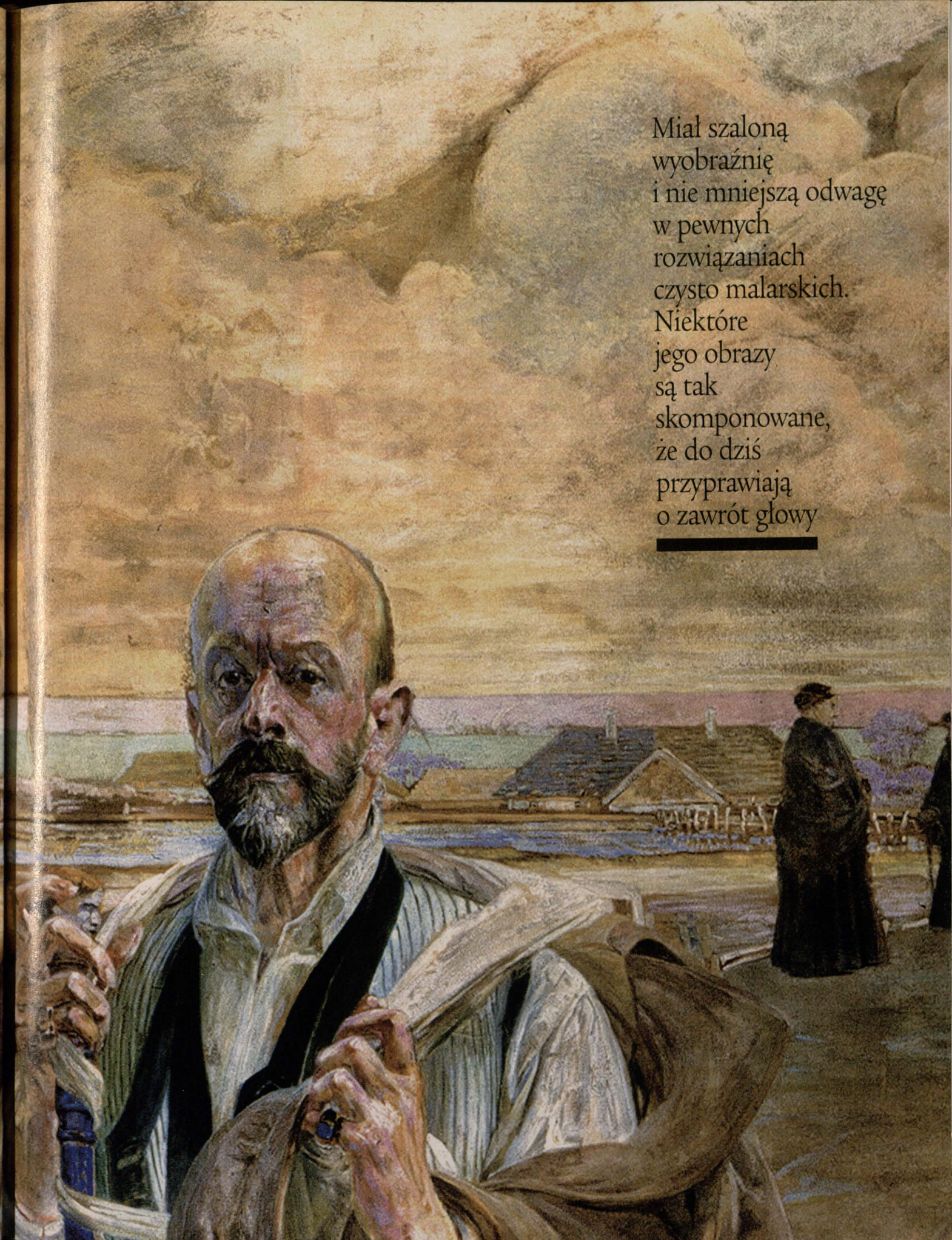
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Urodził się 15 lipca 1854 r. w Radomiu, w domu pełnym patriotyzmu i literatury romantycznej. Miał dziewięć lat, kiedy wybuchło powstanie styczniowe. Silny wstrząs wywołany tym wydarzeniem zaowocował tematyką martyrologiczną, obecną w sztuce Malczewskiego zwłaszcza w pierwszym etapie jego twórczości. Domowym nauczycielem przyszłego artysty był znany pisarz Adolf Dygasiński, piewca natury; upodobanie do polskiego pejzażu nigdy nie opuściło malarza. W roku 1871 Malczewski przybywa do Krakowa, by związać się z tym miastem na zawsze. Już w gimnazjum rysuje, i to tak, że nauczyciel wysyła go na prywatne kursy rysunku, a następnie poleca Janowi Matejce, wielkiemu guru polskiego malarstwa. Matejko namawia rodziców Jacka, by chłopiec zostawił gimnazjum i poszedł od razu do Szkoły Sztuk Pięknych, którą rządził sam mistrz. W roku 1874 student zdobywa kilka nagród za prace rysunkowe i choć Matejko zrazu jest przeciwny, Malczewski wyjeżdża do Paryża kształcić dalej oko i rękę. Studiuje w słynnej École de Beaux Arts. Tam zdobywa Prix de Rome, nagrodę dla najzdolniejszych. Wyjeżdża do Włoch. W Rzymie studiuje anatomię człowieka na specjalnych modelach pozbawionych skóry, z czego słynęła włoska szkoła rysunkowa. Do końca życia pozostał zdeklarowanym realistą, mimo że w jego otoczeniu dojrzewały różne prądy i nurty nowatorskie. W roku 1877 powraca do Krakowa, do klasy Matejki, ale rok później ją opuszcza. Nie mógł dogadać się z Matejką, który chciał go uczynić swoim następcą; miał własne pomysły na sztukę, o wiele radykalniejsze niż akademicko-narodowa twórczość à la Matejko. Znowu wyjeżdża za granicę. Powtórnie do Włoch, także do Azji Mniejszej i Monachium. W roku 1897 Malczewski inicjuje Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, jedną z najważniejszych społecznych organizacji poświęconych lansowaniu sztuki. Rok wcześniej zostaje profesorem Szkoły Sztuk Pięknych, a po przekształceniu jej w Akademię – rektorem (1912–1914). Pierwszą dużą wystawę organizuje mu jednak nie Kraków, ale Lwów, w roku 1903. Nadal maluje bardzo dużo: sceny alegoryczne, symboliczne, portrety i autoportrety. W latach 20. zaczyna powoli tracić wzrok. Wielu obrazów i rysunków nie dopracowuje tak jak zawsze, pozostawia je w stanie półszkicowym. Niektóre stają się coraz mniej zrozumiałe. Sława przygasa. Umiera 8 października 1929 r., ale Kraków, jak się okazuje, jednak pamięta swojego profesora. Wielki pogrzeb gromadzi masy ludzi. Na Skalce jego grobowiec znajduje się tuż obok Wyspiańskiego i Asnyka. Z pierwszym się przyjaźnił, drugiego malował.



"Wyjście w świat" z cyklu
"Moje życie", 1914-1917

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU



Miał szaloną
wyobraźnię
i nie mniejszą odwagę
w pewnych
rozwiązaniach
czysto malarskich.
Niektóre
jego obrazy
są tak
skomponowane,
że do dziś
przyprawiają
o zawrót głowy

Malczewski dzielił ze współczesnymi sobie kolegami artystami te same kłopoty duchowe. Ale różnił się od nich czymś niesłychanie istotnym – ironią i poczuciem humoru

poczucie, że są zniewolonej ojczyźnie coś winni i że najlepiej wypłaciliby się, po prostu za nią walczyć. Kompleks romantyków, że nie wzięli udziału w powstaniu listopadowym. Kompleks Józefa Conrada, że wyjechał w świat, zostawiając trupa Polski dobytej ostatecznie w powstaniu styczniowym. Kompleks pięknoduchów trzymających pędzle i pióra zamiast szabli. Kompleks dzisiejszej małości na tle wielkości przodków.

Trochę młodszy od Malczewskiego kolega po fachu Stanisław Wyspiański napisał o tym największe sztuki, z ponurym aktem drugim „Wesela” na czele. Malczewski, wdzierając do autoportretów zbroje i hełmy, dzielił z kolegami artystami te same kłopoty duchowe. A jednak różnił się od nich czymś niesłychanie istotnym – ironią i poczuciem humoru. Znał proporcje śmieszności. W końcu nie pozwolił sobie na miecz, szablę czy inny oręż w dłoni. Raczej na kwiatek wpięty w puklerz, pędzel w ręce. To była jego ironiczna i prawdziwa broń. Nie przypadkiem sportretował siebie także jako Don Kichota, rycerza specjalnej troski. Na jednym z obrazów włożył sobie na głowę szczególną koronę cierniową – zwykłą tortownicę.

Są przecież granice brawury. Nigdy nie brał udziału w czymkolwiek, co pachniało walką czy wojną. W roku 1914, gdy zrobiło się nieprzyjemnie, wyjechał z rodziną do Wiednia i przemieszkał dwa lata u kumpla po fachu, malarza Pochwalskiego. Potem wrócił do Krakowa i nadal malował, dostawał nagrody. To inni się bili.

Oddajmy mu sprawiedliwość. Zawsze twierdził: „Ja tak rozumiem »sztukę na wojnie«, że gdy zrobię arcydzieło, to tym samym pokonam nieprzyjaciela”. Rzeczywiście, między 1914 a 1918 namalował wiele znakomych dzieł. Z cyklem „Polonia” na czele i z kilkoma obrazami przedstawiającymi grecką Nike, symbol walki i zwycięstwa. Nie żołnierze są tam jednak prawdziwymi bohaterami, ale nagie kobiety: wróżka Pytia, wspomniana Nike. Także Polonia, w oczach Malczewskiego piękna niewiasta o wyniosłej postaci, której bujne kształty miały zachwycać mężczyzn wojowników. Swoją drogą trafił tu Malczewski w czuły punkt każdej armii: gdyby miała ją zagrzewać do boju taka kobieta jak któraś z Nike czy Polonii, nie byłoby na nią mocnych.

EROS I ŚMIERĆ

Malarstwo było dla niego wszystkim. I chyba kobiety też, sądząc po wielu obrazach. Malował je gołe i ubrane, i zawsze (z wyjątkiem solennych studiów portretowych) odgrywające specjalne, symboliczne role. Bo nie tylko te Polonie i Nike, i Pytie przepowiadające przyszłość. Na płótnach roi się od przeróżnych harpii, chimery, rusalek, dziwożon. Pokazanych niekoniecznie w zgodzie z tradycyjnymi wzorami mitologicznymi. Chimera Malczewskiego nie ma tradycyjnej głowy lwa, tułowia kozy i ogona węża. Jest piękną, uwodzicielską kocią o dorodnym damskim ciele i puchatym ogonie. Chyba ma też w sobie coś z muzy, bo malarz, niekiedy jej towarzyszący, zdaje się czerpać z niej natchnienie nie tylko erotyczne.

Znowu kompensacje jak w wypadku rycerskich przebiezań? I to być może. W mieszczańskim Krakowie przełomu wieków obyczaj dekadentów uchodził za szczyt rozpusty, ale Malczewski żadnym dekadentem nie był. Wręcz przeciwnie, był poważnym profesorem Akademii, przez kilka lat jej rektorem. Miał więc stanowisko, żonę, dzieci (po latach jedno z nich, chłopczyk Rafał, także zostanie malarzem).

Ale diabeł nie śpi i każdemu zagląda pod kołdrę. Szanowny profesor zakochał się na zabój w cudzej żonie, pani Marii Balowej. W roku 1906 wyjechał z nią nawet do Włoch, w celach oczywiście artystyczno-poznawczych. Wszyscy wiedzieli o tym związku, łącznie z panem Adamem Balem, starostą z Tuligłówn pod Lwowem. I jakoś dyskretnie udawali, że wszystko jest w porządku. Malarz bywał u państwa Balów, popijał nalewki z panem starostą, a panią domu z gracją całował w rączkę. W myślach na pewno rozbiegał ją i upozwując do kolejnego obrazu, na którym jej ciało mogło się wcielać w kuszącą harpię czy chimery. Albo kolejną Śmierć/Thanatosa z kosą na ramieniu. Bo erotyka splatała się na jego płótnach ze śmiercią w sposób dziwnie naturalny, a nawet przyjazny.

Malował coraz świetniejsze obrazy, natchnione, pisał wiersze. Przyjaciele milczeli i zacierali ręce: na ich oczach powstawały arcydzieła tworzone, rzecz można, zgodnie z modą epoki, na skrzydłach miłości. Obliczono, że w ciągu pierwszych kilkunastu lat XX wieku potrafił malować sto obrazów rocznie, czyli średnio dwa tygodniowo. A przecież nie był



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

to maźnięcie pędzlem po płótnie, ale pracowni kształtowanie postaci, przestrzeni, relacji barw i kompozycji.

DUCH DZIWNIE CIELESNY

Namalował w ciągu życia ponad dwa tysiące obrazów, niezliczone ilości rysunków. Co tu kryć, mnóstwo tam rzeczy kiepskich, niedorobionych. Ale i tak dzieło Malczewskiego widziane z perspektywy czasu wydaje się czymś nieporównywalnym. Mówi się, że najlepszym malarzem historycznym był Matejko. Ale wczesne prace Malczewskiego, te jeszcze realistyczne, kiedy pod wpływem litografii Grottgiera i „Anhellego” Słowackiego malował zesłańców, całą polską martyrologię powstańców, są świadectwem historii o wiele bardziej przejmującym. A ten późniejszy Malczewski, najbardziej znany z obrazów fantastycznych, mitologicznych i symbolicznych? Na których starożytna, pogańska Grecja miesza się z chrześcijańskim wżłotem ducha, co dziwnie jest cielesny, bo anioły wyglądają na takie, co to lewą ręką spokojnie podnoszą barana? To jest już Malczewski-wizjoner, dla którego kultura europejska była naturalnym źródłem duchowej siły mogącej sprostać pokrętnym i parszywym losom doczesnej niewoli.

SARMATA W EUROPIE

Miał szaloną wyobraźnię, ale nie mniejszą odwagę w pewnych rozwiązaniach czysto malarskich. Właśnie on, ten wróg nowatorów, który na równoległe powstające na świecie „nowinki” artystyczne (ekspresjonizm, fowizm, kubizm, abstrakcja) reago-

wał lekceważeniem. Niektóre jego obrazy („Melancholia”, „Harpia we śnie”, „Artysta i chimera”, cały cykl „Śmierć Ellenai”) są tak skomponowane, że do dziś przyprawiają o zawrót głowy.

Był polski, szlachecki, sarmacki, romantyczny. Przypuszczalnie był też ostatnim europejskim artystą swobodnie poruszającym się po różnych mitologiach i potrafiącym je tak umiejętnie spleść z żywym nurtem historii. Miał przy tym specyficzny dar zaprzęgania starych mitów do zgoła zaskakujących celów. Na jednym z obrazów dwa greckie faunki czyszczą wojskowe buty i trzepią żołnierski szynel kaduceuszem. Na innym znudzony Piłat o twarzy meksykańskiego uwodziciela czyści paznokcie patyczkiem.

Jego malarstwo przy dzisiejszej sztuce wydaje się jak olbrzymi, bujny ogród przy burej stacji metra. Prawdziwą mitologię, na której przez dziesiątki wieków ufun-

dowana była kultura europejska, zastąpiliśmy Tolkienem. Nie chodzi o świetnego skądinąd pisarza, chodzi o zasadę. Szkoda, że niezbyt się powiodła próba zaszczepienia Europie Malczewskiego. Kilka jego wystaw, w Paryżu, niedawno w Londynie, to nie były sukcesy na miarę tej sztuki. I nie da się wszystkiego wytłumaczyć polską hermetycznością artysty uwikłanego w narodowe sprawy. Malczewski był bardziej europejski, niż się zdaje leniwym umysłom zachodniego świata. Przegapiliśmy tylko jego czas.

Myśmy też długo nie mieli swojego czasu. Ale kto wie, kto wie.

TADEUSZ NYCZEK

Wystawa obrazów Jacka Malczewskiego ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki do 18 lutego w Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu, od 20 lutego do 15 marca w Muzeum Narodowym w Krakowie

U góry:
„Autoportret
w zbroi”, 1914.

Obok:
Zdjęcie artysty
na tle jego
własnego
„Błędnego koła”
1895–1897



FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

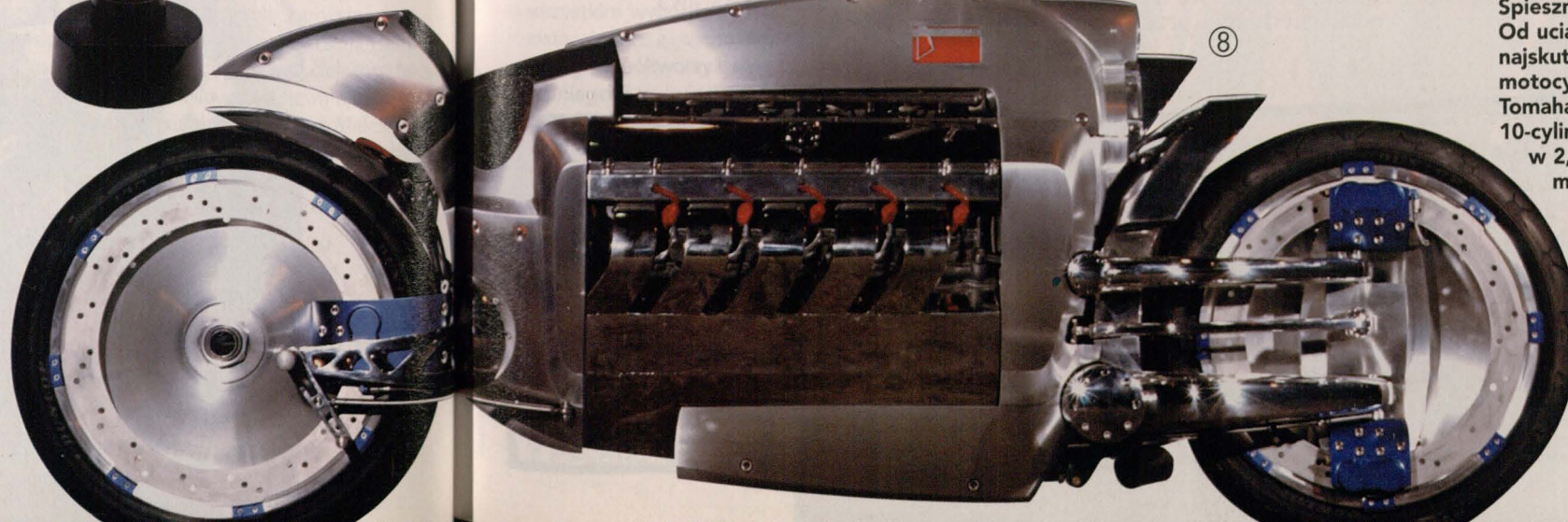
● Kiedyś po prostu 14. dzień lutego, dziś **Dzień Zakochanych**. Czy to nam się podoba, czy nie, dzień świętego Walentego wprowadził się na stałe do kalendarza ważnych chwil. Jak w ten dzień sprawić radość wybranej osobie? Oto kilka propozycji

1 Na parapet
Biurkowy neon z sercem przebitym strzałą, czerwonym światłem będzie przypominał o uczuciu, jakim darzysz wybrankę.

Okolo 200 złotych
www.gadgetshop.com

2 Zapachnijmy razem
Nieśmiertelny, ale i zawsze mile widziany prezent na każdą okazję – perfumy. Świat od razu ładniej pachnie, a robi się jeszcze piękniejszy, jeśli podarek ma oryginalne opakowanie. Dior Addict dla Niej (277 złotych za 50 mililitrów) i Dior Higher dla Niego (199 złotych za 50 mililitrów).

3 Na złamane serce
Dostałeś kosza? Łódź w sercu wybranki rozpuścić może tylko Miś Valentino. Wzruszający widok serca wyrwanego z rozpacz rozmiękczy każdy głaz. Okolo 65 złotych
www.gadgetshop.com



4 Czy można?
Samsung A400 pod biorytm na każdy dzień, policzy kalorie i wskaże, czy nie czas trochę schudnąć. Ale najważniejsza funkcja to Kalendarz dla pań – pokaże w procentach prawdopodobieństwo poczęcia. Od 99 złotych w sieci Idea

5 Pierwszy związek
Za pomocą kajdanek skutecznie przywiążesz do siebie partnera. Dzięki obiciu z futerka więzy są wręcz komfortowe. Nie martw się, jeśli zgubisz kluczyk, kajdanki można otworzyć i bez niego. Okolo 35 złotych
www.gadgetshop.com

6 Rozkosz wszędzie
Ten metalowy „pająk” nazywa się orgazmatron. Ale odrzućcie nieczyste skojarzenia! Zakłada się go na głowę, a żeby doznać rozkoszy, należy tylko lekko kręcić szyją. Do zastosowania nawet w pracy. Okolo 110 złotych
www.gadgetshop.com

7 Na witaminy
Czekoladki, bombonierki... Nie dość, że mało oryginalne, to jeszcze tuczące. Lepiej spróbuj z pełnym witamin jabłkiem. Dostępne w wersji polskiej i angielskiej. 2,49 złote go za sztukę
Sklepy Elea

8 Na randkę
Śpieszno wam na randkę? Od uciążliwego towarzystwa najskuteczniej uciekniecie motocyklem Dodge Tomahawk. 10-cylindrowy silnik w 2,5 sekundy rozpędzi motor do setki, a maksymalnie nawet do 643 km/godz. Na razie to prototyp, jeśli wejdzie do sprzedaży, będzie kosztował minimum milion złotych.



Krajobraz po Kutzu cd.

W „Przekroju” z 26 stycznia opublikowano rozmowę z Kazimierzem Kutzem. Są w niej fragmenty dla mnie obraźliwe. W tej sytuacji proszę dać mi satysfakcję i możliwość odpowiedzi, drukując załączony tekst.

Z poważaniem

STANISŁAW KWIATKOWSKI

Kutz o wojskowych 27.01.2003

Wicemarszałek Senatu Kazimierz Kutz odkrył ostatnio, kto „absolutnie upierdala telewizję publiczną”. Przy okazji podzielił się z czytelnikami „Przekroju” i „Gazety Wyborczej” własnymi przemyśleniami o kulturze i potrzebach estetycznych wojskowych, a właściwie o braku takowej wrażliwości u ludzi w mundurach. Co gorsza, powiada, przenoszą tę ułomność „jak wirus” na młode pokolenie i potem rośnie następny „ćwok” od poczęcia odcięty od kultury.

Tak artystycznie, bez parlamentarnych ceregieli, wyjaśnił – na moim przykładzie – owe dziedziczne obciążenia w rodzinach zawodowych żołnierzy.

Mam za sobą wieloletnią służbę wojskową i faktycznie bliżej mi do kultury niż do artysty – miary tej co Kutz. Co prawda ćwierć wieku temu uznano mnie za „zasłużonego działacza kultury” i napisałem parę książek z kulturą w tytule, ale to było w tamtych czasach. Kiedy ruga mnie marszałek, jako młodszy stopniem przyjmuję postawę zasadniczą. I zastanawiam się, skąd u Kutza owa skłonność do poniżania innych? Z kompleksów? Prawda, zawsze patrzyłem nań z góry. Także dlatego, że mieszkam piętro wyżej vis-à-vis. Jeśli reżyser bierze się za politykę, szkodzi to i polityce, i twórczości. W kinie mamy chałturę na polityczne zamówienie, zaś w Senacie – kino. A Kutz przy władzy zawsze czuł się lepiej. Po stanie wojennym dosłużył się mieszkania z puli rządowej, a teraz z bloku w „czerwonej zatoce” trafił do „Bloku 2001”.

PUŁKOWNIK W STANIE
SPOCZYNKU

STANISŁAW KWIATKOWSKI

Kutz do Kwiatkowskiego Seniorsa

Warszawa, 29.01.2003

Ojciec Roberta Kwiatkowskiego poczuł się dotknięty moją ogólną refleksją o relacji pomiędzy zawodowymi wojskowymi a kulturą. Subiektywnie ma rację, bo każdy

ojciec ma obowiązek stawiania w obronie syna. Ale obiektywnie korzysta z okazji, by zrobić na mnie publiczny donos, co nie wydaje mi się przejawem kultury, na którą jest tak czuły. Piszę bowiem: „Kutz przy władzy zawsze czuł się lepiej. Po stanie wojennym dosłużył się mieszkania z puli rządowej, a teraz z bloku w „czerwonej zatoce” trafił do „Bloku 2001”.

Pragnę Panu Kwiatkowskiemu donieść, że sprawy miały się inaczej. Przede wszystkim przy każdej władzy nie czułem się dobrze. A zwłaszcza przy tej, która minęła, a której Pan służył. Myli mnie Pan ze swoimi. Mieszkania przy „czerwonej zatoce” nie otrzymałem „z puli rządowej”, tylko zamieniłem je za wiele lepsze, a nawet komfortowe, w Katowicach, ponieważ tam nie dało się żyć. Byłem internowany, poleżałem jakiś czas na betonie i jadłem na śniadanko zamrożony salceson. Po tamtym okresie bycia przy Pana „władzy” dorobiłem się niejakich kłopotów z kręgosłupem. Osaczony przez ubecję (jeden nawet sypiał na wycieracze), podsłuchiwany i podglądany postanowiłem zmienić miejsce zamieszkania. Natomiast porównywanie „czerwonej zatoki” z „Blokem 2001” wydaje się być bardzo niestosowne. I wcale nie musi pretendować do obszaru kultury w pojęciu europejskim. Mój wywiad w „Przekroju” dotyczył poważnej sprawy – w znaczeniu społecznym – w której uczestniczy Pański syn. Pan jednak obok donosu schodzi na poziom zniewag osobistych, za którymi czai się nienawiść osobista i ideolo-

giczna. Nienawiść ludzka i światopoglądowa. Nie chcę przez to domniemywać, że wszystko może być dziedziczne lub przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Ale Pański list pozwala zastanowić się, czy aby tak nie jest. Kulturę można pojmować różnie, ale Stary Mendel wiedział swoje.

KAZIMIERZ KUTZ

Gratulacje

W związku z ostatnimi zmianami chciałbym Wam pogratulować, bo nareszcie pojawił się na rynku tygodnik opinii niebędący papką pod tytułem „dla każdego coś miłego” i nieschodzący poniżej pewnego poziomu. Tak trzymać! Chciałbym także odnieść się do listu Marcina Suskiewicza z Łodzi („P” 4/3005). Pan Marcin krytykuje „P” za to, że „polityka nieopatrzenie wydostaje się z rubryki »W tym tygodniu nie piszemy...« i nadmierne interesuje Redaktora Naczelnego”. I słusznie, że się wydostaje, bo to właśnie politycy w sporym stopniu decydują o naszym życiu codziennym, a „P” to tygodnik, w którym polityki jest akurat tyle, ile być powinno. Zresztą pojawienie się wydarzeń bieżących z kraju i ze świata wraz z ciekawymi zdjęciami to jedna z wielu korzystnych zmian, które Wąsz tygodnik wprowadził po przeniesieniu się do Warszawy. Pozdrawiam cały Zespół Redakcyjny.

MAREK JURKOWSKI, Knurów

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

Śląsk w kolorze

Kto lubi sztukę piękną i efektowną, dowcipną i wzruszającą, niech kupi bilet na tramwaj, autobus, pociąg albo samolot i pośpieszy do Katowic. W tamtejszym BWA, głównym centrum wystawienniczym Śląska, znajdzie czynną przez cały luty wystawę **Joanny Piech-Kalarus i Romana Kalarusa**, dwojga artystów, których łączy nie tylko sztuka. Oboje ukończyli wydział grafiki katowskiej ASP (oddział w Katowicach) w latach 70. i od tamtej pory są jedną z najbardziej znanych par artystycznych nie tylko tego regionu. Kalarus to ten od efektów i **rozbu- chanych kolorów**, przede wszystkim wyborny plakacista, jeden z ostatnich, którzy współtworzyli słynną niegdyś w świecie polską szkołę plakatu. Joanna Piech przeciwnie – robi czarno-białe grafiki, delikatne, precyzyjne i na tyle romantyczne, na ile możliwy jest romantyzm w krainie górniczych frustracji. (TN)

WYSTAWA
JOANNA PIECH-KALARUS
I ROMANA KALARUSA
OTWARTA JEST OD 31 STYCZNIA
DO 2 MARCA W GALERII SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ W KATOWICACH

tydzień

GALERIA PLAKATU
KRAKÓW
ul. Stolarska 8-10



PISZCIE DO NAS – listy, kartki, e-maile. Oto nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa;
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

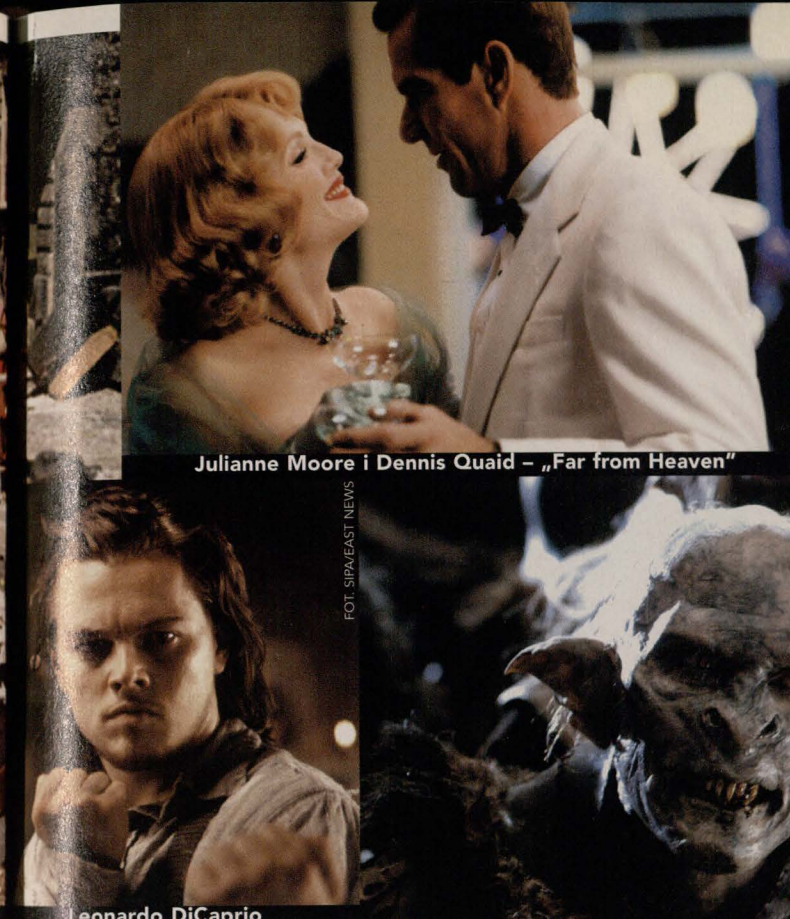
BÓJ O OSCARY
JUŻ TRWA.
ALE TA
PRAWDZIWA,
NAJOSTRZEJSZA
WALKA
ZACZNIE SIĘ
DOPIERO PO
OGŁOSZENIU
NOMINACJI,
11 LUTEGO



Salma Hayek – „Frida”



Adrien Brody – „Pianista”



Leonardo DiCaprio
– „Gangi Nowego Jorku”



Tom Hanks – „Droga do Zatracenia”

OSCAROWE PRZEPYCHANKI

Niebawem rozdane zostaną Oscary – najbardziej prestiżowe nagrody w świecie skolonizowanym przez kino amerykańskie. Mistrzowie ceremonii każą gawiedzi wierzyć, iż jest to uroczyste zakończenie jakby turnieju rycerskiego. Prawdziwa natura kończących się tego dnia pięciomiesięcznych zmagania ma jednak niewiele z rycerskością wspólnego. Jeśli już, to raczej z intrygami godnymi dworów Borgiów i Medyceuszy. Tyle tylko, że nikt tu nie rości sobie pretensji do miana mecenasa sztuki.

Coraz większa stawka

Chodzi o pieniądze. Dość odwołać się do statystyk, by dostrzec, jak bardzo zmienił się przemysł filmowy w ciągu ostatnich 20 lat. W roku 1980 przeciętny koszt produkcji filmu wynosił 9,4 miliona dolarów, a wprowadzenia go do kin – 4,3 miliona. W roku 2000 analogiczne nakłady urosły odpowiednio do 54,8 i 31 milionów. W konsekwencji wielkie studia zaczęły unikać realizacji projektów trących ryzykiem, uciekając w kasowe pewniaki – *sequele* i sprawdzone schematy gatunkowe. Ta polityka się sprawdza. W roku 2002 wpływy kasowe brutto w USA wzrosły o 10 procent w stosunku do poprzedniego roku i wyniosły dziewięć miliardów dolarów.

Natomiast bardziej awanturniczy producenci nowego chowu, dysponujący ograniczonymi środkami finansowymi na reklamę

w lot ujrzeni w Oscarach wielką szansę na relatywnie tanią i skuteczną reklamę swych filmów. I sezonowi oscarowemu – trwającemu od Święta Dziękczynienia do połowy stycznia – podporządkowali bez reszty cały kalendarz produkcji i dystrybucji kinowej. „Studia nie nazywają już nawet filmów filmami, lecz produktami” – podsumowuje z niesmakiem ten stan rzeczy Frank Pierson, obecny prezydent Academy of Motion Picture Arts & Sciences. To liczące około sześciu tysięcy członków branżowe gremium jest od listopada każdego roku obiektem zmasowanego ataku ze strony producentów filmowych.

Jak to się robi z Akademią

Przekupstwo nie wchodzi w rachubę, zbyt nachalnie ukierunkowana w stronę członków Akademii kampania może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Przykładem – porażka ubiegłorocznego „Moulin Rouge”.

W promocję wprzega się różnymi wyrafinowanymi metodami media. Zabiega się o życzliwość recenzentów z najbardziej opiniotwórczych publikacji. Równolegle stara się pozyskać przychylność członków różnych krajowych i lokalnych stowarzyszeń krytyków, które po Nowym Roku przyznają doroczne nagrody filmowe. Na tym etapie głównym celem podchodów jest względnie „przystępne” grono 90 akredytowanych przy Hollywood zagranicznych dziennikarzy, które przyznaje Złote Globy.

Ceremonia wręczania tych nagród przez lata uważana była w Hollywood za żart, a jej gospodarze – za łasych na prezenty „kopciuchów”. Bliskość w czasie globusowej fety i terminu ogłoszenia nominacji do Oscara sprawiła wszakże, że w hierarchii wydarzeń Globy awansowały do rangi prawyborów prezydenckich w New Hampshire. Nie jest też przypadkiem tajemnicze przemieszczenie się w czasie (w sąsiedztwo Oscarów) różnych pomniejszych festiwali filmowych, choćby w Palm Springs czy Santa Barbara, które tworzą naturalną oprawę dla rozmaitych towarzysko-medialnych wydarzeń. Sami członkowie Akademii dostrzegli zresztą zagrożenie dla suwerenności swych decyzji podejmowanych pod bezpardonowym ostrzałem informacyjnym. Myślą poważnie o przesunięciu Oscarów o cały miesiąc wstecz – co za jednym zamachem skróci uciążliwy sezon promocyjny i spuści powietrze z rozdętych ponad miarę Złotych Globów.

Waga ciężka

Za pioniera tego nowego, agresywnego stylu marketingu uważa się Harveya Weinstaina, szefa firmy Miramax, która wchodząc na rynek na przełomie lat 80. i 90., wyłącznie dzięki zręcznej i pomysłowej kampanii w roku 1989 do nominacji do Oscara doprowadziła film „Moja lewa stopa”, a trzy lata później „Grę pozorów”. Odtąd Miramax co roku ma wśród piątki oscarowych finalistów co

najmniej jednego kandydata. W tym roku Weinstein wystawia do rywalizacji już nagrodzony trzema Złotymi Globami musical „Chicago” i wyprodukowane wraz z Universalem „Godziny” (dwa Globy). Trzecim pewniakiem są „Gangi Nowego Jorku”. Nawet jeśli sam film Oscara nie zdobędzie, może go otrzymać Martin Scorsese, już laureat Złotego Globu. Reżyserowi przypadnie w tym roku prawdopodobnie Oscar za całokształt twórczości.

Największym rywalem Miramaksu w tych oscarowych łowach z nagonką jest firma DreamWorks założona przez Stevena Spielberga, Jeffreya Katzenberga i Davida Geffena. To ona przez ostatnie trzy lata zgarniała Oscary jako producent „American Beauty” i „Gladiatora” oraz współproducent (z Universalem) „Piękne go umysłu”. W tym roku – wraz ze „Złap mnie, jeśli potrafisz” i „Drogą do Zatracenia” – DreamWorks przegrał przez nokaut rundę Globów z Miramakse, który w odwodzie ma jeszcze „Fridę” i „Spokojnego Amerykanina”. Nic nie jest jednak przesądzone. Tuż za plecami triumfatora Złotych Globów czają się inne drapieżniki – New Line Cinema („Władca Pierścieni. Dwie wieże” i „About Schmidt”), Focus („Pianista” i „Far from Heaven”). Tom Hanks stoi jako producent za uważanym za czarnego konia „Moim wielkim greckim weselem”. Bierze się też pod uwagę debiut reżyserski Denzela Washingtona „Antwone Fisher”. Te właśnie filmy – i jedynie w pełni wyprodukowany przez

stare studio „Adaptation” Spike’a Jonze’a (Columbia) – rozgrabią Oscary w najważniejszych kategoriach.

Polskie szanse

Szanse „Pianisty” nie są – zdaniem prognostyków – zbyt wielkie. I nie ma tu nic do rzeczy tak zwana afera Rywina. Przynajmniej na razie. O wiele bardziej może mu zaszkodzić brak jednomyślnej aprobaty na łamach opiniotwórczych dzienników amerykańskich. Jeśli bowiem na przykład „The New York Times” i „Los Angeles Times” pisały o filmie z najwyższym uznaniem, to już nie mniej wpływowy „Wall Street Journal” odrzucił taką wizję Holocaustu jako niezgodną z historyczną prawdą (czytaj: pokutującym w USA stereotypem) o latach okupacji hitlerowskiej w Polsce. A członkowie Akademii uciekają od tego rodzaju kontrowersji, gdzie pieprz rośnie. Poza tym nie ma na miejscu samego reżysera, by mógł bronić swoje dzieło przed tak poważnymi oskarżeniami. Trzeba jednak przypomnieć, że „Pianista” już otrzymał dwie nagrody jako najlepszy film roku (Amerykańskiego Stowarzyszenia Krytyków Filmowych oraz koła krytyków z Bostonu). Jeśli jakieś nominacje do Oscara w przypadku „Pianisty” wchodzi w rachubę, to raczej dla scenarzysty adaptowanego (Ronald Harwood) i odtwórcy głównej roli męskiej Adriana Brody’ego.

„Pianista” to mimo wszystko jednak realny kandydat do Oscara. Natomiast nominacja

„Ediego” w kategorii dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego jest marzeniem. Twórcy filmu postanowili jednak podjąć próbę zrealizowania tego marzenia i – dysponując bardziej niż skromnymi funduszami – swoją małą kampanię w USA przeprowadzili zgodnie z regułami sztuki. Zadbali o reklamy w „Variety” i „Hollywood Reporter”, pokazali film w Los Angeles, Nowym Jorku i Waszyngtonie. Szanse zerowe, ale dobrze, że komuś w naszym kinematograficznym bantustanie chce się jeszcze trochę powalczyć.

Wszyscy są zgodni, że obfitujące w tak znakomite i artystycznie ważne pozycje sezonu oscarowego nie było od wielu lat. Tym bardziej więc zanoszą się na zaciętą walkę – zwłaszcza na finiszu, między ogłoszeniem nominacji 11 lutego a celebrą w Kodak Theater szykowaną na 23 marca. Dopiero na tym etapie mogłaby pewną rolę w kontekście „Pianisty” odegrać afera Rywina. Naturalnie, gdyby film Polańskiego okazał się realnym zagrożeniem dla któregoś z faworytów. Złazcza ze stajni Miramax. Tak jak w zeszłym roku, kiedy po nominacji „Piękne go umysłu” natychmiast pojawiły się „poważne” artykuły o bohaterze filmu, kompromitujące go jako rasistę o skłonnościach homoseksualnych. Kto wie, może nadszedł czas, aby pocziwy Oscar poszedł do lamusa, a na jego miejscu pojawiła się statuetka Rambo.

JERZY RZEWUSKI



Wszystko albo nic

Codzienne spotkania biedy z zamożnością – taksówkarz Phil (Timothy Spall) i jedna z klientek

POLSKA Z SECOND HANDU

SKORO SAMI NIE POTRAFIAMY OPOWIADAĆ O SOBIE, TO SKORZYSTAJMY Z OPOWIEŚCI O NAS Z DRUGIEJ RĘKI. MIKE LEIGH ODMALOWAŁ POLSKĘ, JAKIEJ W RODZIMYM KINIE PRÓŻNO BYŚMY SZUKALI

Dwa tygodnie temu, zastanawiając się, jak jednym słowem określić najnowszy film Almodovara, napisałem, że jest piękny. Gdybym miał tę samą zasadę odnieść do najnowszego filmu Mike'a Leigha, wyznałbym, że jest pożyteczny. Wiem, że w dzisiejszych czasach słowo to brzmi co najmniej archaicznie i może widza zniechęcić. Ponieważ uważam, że „Wszystko albo nic” obejrzyć należy, proszę pozwolić mi się wytłumaczyć w paru poniższych akapitach.

Film opowiada o kilku rodzinach mieszkających w zapyziałym bloku w jednej z gorszych dzielnic Londynu. O ludziach bezrobotnych lub harujących ciężko, ale i tak pozostających na granicy ubóstwa. O ludziach pozbawionych perspektyw, a także iluzji, że świat wolnego rynku wygląda w rzeczywistości równie bajkowo jak w telewizyjnej reklamie.

Większość wydarzeń ogniskuje się wokół rodziny Phila (Timothy Spall), safandulowatego taksówkarza, i Penny (Lesley Manville), kasjerki w hipermarkecie, oraz ich otłuszczonych dzieci Rachel (Alison Garland) i Rory'ego (James Corden). Wypaleni, mechaniczni, nieatrakcyjni dla samych siebie, wydają się połączeni jedynie wspólną lodówką, telewizorem i skrzynką na listy, których nikt nie przysyła. Dopiero tragedia, jakiej doświadcza – ciężka choroba Rory'ego – odmienia ich relacje. Bliskość śmierci wlewa w nich na nowo życie. Miłość – siła całkiem już zapomniana – odradza się niepewnie nieco zawstydzona, bo sprana i przetarta jak ciuszek z *second handu*. Czy na długo? Reżyser nie odpowiada, urywając historię w miejscu, w którym prawdziwe kino się kończy, a zaczyna telenowela.

Mike Leigh należy do grona brytyjskich reżyserów, którzy sprawiają wra-

żenie, jakby największą ich pasją było dokopanie Margaret Thatcher bez względu na to, od jak dawna nie odpowiada ona za losy Brytyjczyków. Jego społeczna wrażliwość o mocno lewicowym odcieniu objawiająca się w opisywaniu niemal wyłącznie ludzi z klas pokrzywdzonych w kapitalistycznym rozdaniu razi jednak rzadko, bowiem Leigh jest niepospolitym artystą, który umie powściągnąć publicystyczne zapędy na rzecz prawdziwej sztuki. We „Wszystko albo nic” tej powściągliwości trochę zabrakło.

Leigh chciał pokazać, że w jednostkach umęczonych miotaniem się w siłach kapitalistycznego konsumeryzmu tli się niezwykły pierwiastek dobra i wrażliwości. By silniejsza była owa opozycja między chłodem i żarem, nakreślił obraz życia ubogich londyńczyków jak – trzymajmy się brytyjskich przykładów – ze skeczu Monty Pythona, w którym czterech

mężczyzn licytuje się, kto miał gorsze życie. Pod koniec okazuje się, że mieszkali w pudełku na buty, jedli żwir, a ojcowie co rano ich zabijali.

Ironizuję, bo mi trochę żal. Bo lubię, jak Leigh do malowania psychologicznych proporcji wybiera pędzel cieńszy niż ławkowiec.

Mimo to uważam, że należy ten film zobaczyć. Zwłaszcza w Polsce. Nie wiem co prawda, czy tutejszy widz przygotowany jest na obraz świata wolnego rynku tak pełen goryczy i deziluzji. Polscy beneficjenci nowego systemu ekonomicznego – zajęci pomnażaniem dóbr – jak najdalsi są bowiem od tego, by wzruszać się losem ubogich, ci zaś – aspirując łączywie do owych dóbr – nie chcą, by im ich kondycja wytykać. Jedni i drudzy chcą „mieć fun”, a tego u Mike'a Leigha raczej się nie znajduje.

Warto jednak ten film zobaczyć, bo jest w nim odmalowana Polska, jakiej w rodzimym kinie próżno by szukać. Ten londyński blok, w którym żyją bohaterowie, stoi też w Warszawie, Szczecinie czy Kielcach. Mieszkają w nim identyczni ludzie – umęczone kasjerki z hipermarketów, taksówkarze, którzy podkradają dzieciom drobniaki, by mieć na benzynę, młodociani frustraci zamieniający upokorzenie w agresję... Mike Leigh pokazuje nas w 14. roku transformacji ustrojowej tak, jak sami nie potrafimy. Korzystajmy więc z okazji i patrzmy na siebie w cudzych, wziętych z *second handu* historiach.

Piszę to, myśląc nie tylko o „Wszystko albo nic”, lecz mając w pamięci także „Krwawą niedzielę”, która – choć opowiada o tragedii w Irlandii Północnej z roku 1972 – jest żywym obrazem z naszych dziejów (wypadki grudniowe z roku 1970). Wstydić się należy, że taki obraz w wolnej Polsce nie powstał. Nasze współczesne filmy, nawet te udające powagę, służą bowiem niemal wyłącznie rozrywce. Dyskusją się brzydzą, bo się na niej zarabia mniej lub wcale. Cieszymy się zatem, że dyskutują o nas za nas inni.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Reż. MIKE LEIGH
Wielka Brytania/Francja 2002, Gutek Film



Twardziel (Jean Reno) kocha dzieci (Ryoko Hirose)

WASABI – HUBERT ZAWODOWIEC

W TYM MARIĄŻU „LEONA ZAWODOWCA” I „TAXI” NA SZCZĘŚCIE WIĘCEJ FRANCUSKIEJ FARSY NIŻ KOMEDII AKCJI

Cudowne dziecko francuskiej kinematografii – Luc Besson – wyrosło, zhardtowało i stało się pierwszym oportunistą kinematografii europejskiej. Filmy powstające w jego firmie producenckiej nadszadają hollywoodzkie zwyczaje – wzięć pomysły, które odniosły sukces, i trochę je poprzerabiać. „Wasabi” to nic innego jak mariaż „Leona zawodowca” z filmem „Taxi”. Scenariusz rach-ciach skleił Besson, Gerard Krawczyk (reżyser „Taxi 2”) zadbał o właściwą dynamikę gagów i strzelanin, a Jean Reno powtarza rolę niewzruszonego twardziela, który musi się zaopiekować małodatą, tym razem swą nieślubną japońską córką. Fabułka z Yakuzą w tle jest nieprzyzwoicie wręcz wtórna, ale kilka dowcipów laskocze pod pachami.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Reż. GERARD KRAWCZYK
Francja/Japonia 2001, SPI



Castella (Jean-Pierre Bacri) pierwszy raz w teatrze

GUSTA I GUŚCIKI (DVD)

JAK ZMIENIAĆ GUŚCIK NA GUST

Nawet w Polsce, gdzie poziom humoru wyznaczają „Kiepscy”, subtelną komedię Agnes Jaoui przyjęto nadspodziewanie dobrze. Czyżby więc udało się Jaoui trafić w czuły punkt wielu noworowskich, którzy w głębi swego jestestwa są wrażliwi na piękno, mi-

łość i sztukę? Nie wiem, czy to akurat oni stanowią główną część publiczności tego filmu, ale niech także wszyscy inni wiedzą, że o gustach należy dyskutować. Bo tak jak zmieniają się gusta, tak też zmieniają się ich posiadacze, czego przykładem gburowaty przemysłowiec Castella. Przymusowa wizyta w teatrze na klasycznej sztuce Racine'a odmienił jego życie zasadniczo. Jaoui zadbała, by każdy z bohaterów nabrał wymiarów i barw, co czyni „Gusta i guściki” istną komedią ludzką.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Reż. AGNES JAOUÏ
Francja 2000, Gutek Film



Haing S. Ngor w kambodżańskim piekle

POLA ŚMIERCI (DVD)

SLYNNY OSCAROWY FILM PORAZAJĄCY SKRAJNIE REALISTYCZNYM OBRAZEM ŚWIATA POGARDY DLA LUDZKIEGO ŻYCIA

Debiut Rolanda Joffe („Misja”) nagrodzony trzema Oscarami – za montaż, zdjęcia oraz za rolę drugoplanową dla kambodżańskiego aktora Hainga S. Ngora zastrzelonego później w USA w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Scenariusz nie odbiega zbyt daleko od schematu fabularnego wspólnego fali filmów z lat 80. opowiadających o konfliktach w zapalnych punktach świata. Demaskowały one nieczyste interesy mocarstw w Trzecim Świecie. Prawdziwa siła „Pól śmierci” tkwi jednak w uczciwości i skrajnym realizmie, z jakim Joffe przełożył na język kina prasowe relacje o zbrodniach popełnianych przez Czerwonych Khmerów w Kambodży. Są tu sceny zaiste potworne, film pokazuje, jak skrajna pogarda dla ludzkiego życia przybiera postać systemowej zasady. Joffe zabiera nas więc do piekła, na szczęście jednak udaje się z niego wrócić.

WOJTEK KAŁUŻYŃSKI

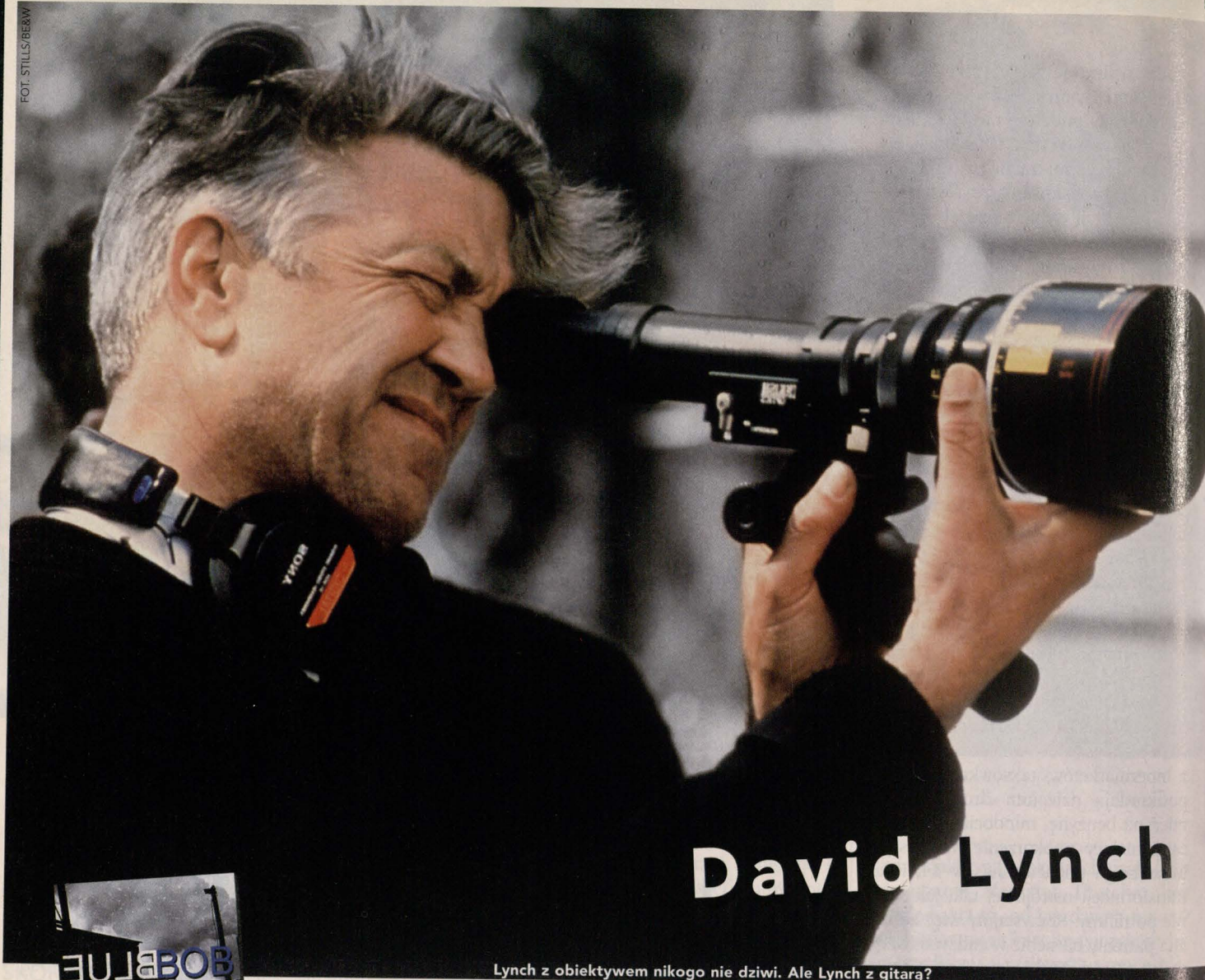
Reż. ROLAND JOFFE
Wielka Brytania 1984, Best Film

Najkrócej

- 🔥 **WŁADCA PIERŚCIENI. DWIE WIEŻE** Bitewny zapal filmu Jacksona współgra niepokojąco z sytuacją współczesnego świata szykującego się do wojny. Reż. Peter Jackson, USA 2002, Warner
- 🔥 **NIEODWRACALNE** Monica Bellucci i mężczyźni – słabi, głupi, źli. Film „nie na wszystkie żołądki” ze względu na drastyczne sceny przemocy. Reż. Gaspar Noé, Francja 2002, SPInka

Najkrócej DVD

- 🔥 **RĘKA BOGA** Thriller przechodzący w horror o rodzinie likwidującej demony w ludzkim ciele. Ma swój złowieszczy klimat, unika krwawych efektów, ostrzega przed toksycznymi tatusiami. Reż. Bill Paxton, USA 2002, Vision
- 🔥 **W CIENIU SŁOŃCA** I znów o tragicznych skutkach posiadania rodziny. Tym razem na pustkowiach Brazylii, gdzie jedynym prawem jest niekończąca się wendeta. Reż. Walter Salles, Brazylia/Szwajcaria/Francja 2001, SPInka



David Lynch

Lynch z obiektywem nikogo nie dziwi. Ale Lynch z gitarą?

BLUES CHOREGO MIASTA

REŻYSER „BLUE VELVET” NA SWOJEJ PIERWSZEJ PŁYCCIE POZOSTAJE W KRĘGU OBSESIJ ZNANYCH Z JEGO FILMÓW

To nie żarty. W wieku 56 lat David Lynch – guru niekomercyjnego kina – nagrał swoją pierwszą płytę. „Blue Bob” to jego przedsięwzięcie wymyślone do spółki z muzykiem i inżynierem dźwięku Johnem Neffem. Płyta Lyncha nie podbija gorącej setki „Billboardu”, nie wylansuje żadnego singlowego przeboju, ba, nie sprowokuje medialnej gorączki. Pewne jednak, że sięgną po nią miłośnicy jego filmów. „Blue Bob” jest bowiem przeniesieniem w sferę muzyki Lynchowskiej obsesji skupiającej się wokół tematu amery-

kańskiej prowincji i industrialnego zgiełku. Reżyser, który tworzy fabryczny rock and roll.

Lynch prawdziwą muzykę „odkrył” dzięki współpracy z Angelo Badalamentim, swym nadwornym kompozytorem od czasu „Blue Velvet”. Razem pracowali też poza ekranem, między innymi nad albumami Julee Cruise śpiewającej główny temat „Twin Peaks”.

Tak naprawdę jednak do muzyki Lynch zabrał się po wybudowaniu własnego studia w Hollywood w roku 1997 (Asymmetrical Studio). Podczas

instalowania sprzętu reżyser poznał Johna Neffa, któremu wyznał, że kilometry kabli i setki guzików stanowią dla niego kompletną magię. Zapropował mu zarządzanie studiem.

Neff to zawodowiec związany z branżą od lat 60.: gitarzysta, wokalista, muzyk sesyjny, inżynier dźwięku, szef małej wytwórni płytowej, lider niezliczonych grup bluesowych, w tym jednej działającej na Hawajach... Obaj szybko znaleźli porozumienie i wspólną pasję – bluesa.

– W moim domu zawsze słuchało się muzyki – wspomina Lynch – głównie

jednak poważnej. W roku 1956 wszystko się zmieniło. Miałem wtedy 10 lat. Właśnie narodził się nowy styl, co natychmiast zrozumiałem. W tamtych czasach wiele gatunków ścierało się ze sobą, ale to ostatecznie rock and roll wszystko wyrugował. Kiedy się dorasta, muzyka, której słuchasz, staje się częścią ciebie. Ja fascynowałem się Elvisem Presleyem. Ale i Gene Vincent z „Be Bop A Lula” był bliski perfekcji, a i Roy Orbison posiadał to „coś”, o czym się marzyło. To być może od niego przejąłem miłość do smutnych piosenek (w „Mulholland Drive” Rebekah Del Rio śpiewa po hiszpańsku słynne „Crying” Orbisona).

„Blue Bob” to manifest miejskiego bluesa. Industrialnego, demonicznego, chorego. Na zapętłonych, rytmicznych podkładach basowych Lynch i Neff tworzą swe neurotyczne jamy. Obsesyjnie rzeżące gitary (Lynch podobno sam nauczył się grać), rytmy miarowo wybijane przez automat perkusyjny, zniekształcone linie wokalne (autorem tekstów – i tych nowych, i tych sprzed lat 20 – jest reżyser). Najważniejsza pozostaje jednak atmosfera, która sprawia, że słuchana płyta przenosi nas w wymiar Lynchowskich zagadek i napięć, niekończącego się labiryntu powiązań i autocytatów. Partie wokalne wykonuje Neff.

– Nie, nie jestem wokalistą. To zbyt krępujące. I naprawdę nie sądzę, bym miał ładny głos – szczerze wyznaje Lynch.

Głos Neffa jest brudny, chropowaty. Wszystko tutaj wydaje się kompletnie zdeformowane (idealny soundtrack do kolejnego filmu). Tak jak sztandarowy utwór „Marilyn Monroe”, który swą programową monotonią i „ekscytującym” tekstem – „Marilyn Monroe, I love You, I love You so...” – hipnotyzuje od pierwszych akordów. Ale przecież nie zapominajmy, że ideą „Blue Bob” było odtworzenie za pomocą bluesa brzmienia współczesnych maszyn.

Ten materiał ma zwartą formę i konstrukcję. Jest ciężki, depresyjny, przesiąknięty wonią starych, opustoszałych hal fabrycznych. Factory rock? A może heavy blues? Niewykluczone zatem, że drugą płytę David Lynch nagra już w Łodzi...

JACEK HAWRYLUK

DAVID LYNCH AND JOHN NEFF „BLUE BOB” SOULITUDE RECORDS



POST POST

EMITER – #2: Static

Emitter to elektroda tranzystora (odpowiadająca elektrodzie lampy elektronowej) albo substancja emitująca promieniowanie. Emitter to również jednoosobowe przedsięwzięcie Marcina Dymitera (znanego z Ewy Braun i Mapy, obecnie Mordy), który na swej drugiej płycie – wraz z gośćmi, między innymi Krzysztofem Topolskim, Columbus Ensemble i Paulem Wirkusem – konstruuje rodzaj dźwiękowego dziennika, brudnopisu. 14 wyciszonych, delikatnych miniatur na pograniczu post rocka i elektronicznych ułotności. Płyta bez wyraźnego początku i końca, przy której upływający czas nie ma najmniejszego znaczenia. Dymiter buduje swoje utwory, opierając się na naiwnie prostych pomysłach – zapętłonych gitarach, samplach, powtarzanych melodiach czy tekstach. Intymna, osobista, ciepła płyta z dwoma prawdziwymi szlagierami – ironicznym „1500 wiadomości” i neurotycznym „Static 2”. Tylko kto je dziś wylansuje?

JACEK HAWRYLUK



GIULIANO CARMIGNOLA (SKRZYPCE BAROKOWE), VENICE BAROQUE ORCHESTRA, DYR. ANDREA MARCON SONY CLASSICAL

JAN SEBASTIAN BACH – śpiewa Angelika Kirchschrager

Najbardziej znane arie Bacha z kantat, oratoriów, pasji, mszy. Wszystko na jednej płycie wykonane zgodnie z kanonami przeszłości, historycznie poprawnie. Angelika Kirchschrager (mezzosopran) jest śpiewaczką, która swą ciemną barwą oraz sposobem interpretacji zaciekawia, prowokując do uważnego słuchania. W jej wykonaniu nic nie jest standardowe, nużące, jednakowe. I mimo że tradycyjnie rozklejam się przy arii „Schlummert ein, ihr matten Augen” z Kantaty BWV 82 i przy „Laudamus te” z Mszy h-moll, to jednak nie Kirchschrager jest dla mnie bohaterką nagrania, lecz instrumentalisci. Skrzypek Giuliano Carmignola i Wenecka Orkiestra Barokowa – wszyscy grający na dawnych instrumentach – wykonują Bacha... „po włosku”. Bez zadęcia i sztywności, za to z luzem i przepięknym, soczystym, południowym brzmieniem. Już czekam na ich „Koncerty brandenburskie”.

JACEK HAWRYLUK



POMATON EMI

T.LOVE – 20 lat T.Love (DVD)

Zaczynali jako Alternatywna Miłość Nastolatków, a tu proszę, w tym roku Muńkowi Staszcykowi stuknie czterdziestka. Jeśli zadajemy sobie pytanie, czy coś z dawnej alternatywnej kapeli ostało się po przebyciu długiej drogi do rockowej komercji, odpowiedzią będą właśnie te teledyski. To pastisze reklam, boys-bandów i wyraźny dystans do polityków towarzyszą na ekranie ułożonym tekstom obecnych piosenek. T.Love ma szczęście do wideoklipów – z przyjemnością ogląda się przebieranki do „Warszawy” (z kartonowymi wymiocinami!), „Ajrisza” (groteskowe futrzaki w zoo) i największą fabularną perełkę – „Stokrotkę” (z paparazzi, eksplozją starego fiata i tragicznymi finałami). Trzygodzinną płytę uzupełniają fragmenty koncertów i programów dokumentalnych. Szkoda, że oprócz „Zabijanki” z filmu „My Blood Your Blood” nie zachowały się żadne sprzed roku 1989. Jedyna pociecha, że nagrania z samizdatowych kaset audio z lat 80. („Chamy idą”, „Nasz Bubelon”) ukazały się wreszcie jako bonusy na kompaktowych wznowieniach najstarszych płyt „Miejscowi live” i „Wychowanie”.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

koncerty

7.01 DJ DŻEM Z TWORZYWA SZTUCZNEGO z udziałem Fisza, Emade, Bartka Winczewskiego i Dominika

Trębskiego – Warszawa, Piekarnia 8.02 IMPORT! – Audio Bullys Sound System (Londyn) – Warszawa, Piekarnia

14.02 EDYTA GEPPERT – Łódź, Teatr Wielki 14.02 LUKE SLATER (Mute, London), STEVE BICKNELL (Cosmic Records, London),

SEED, MAC, CHEVY, CARLA ROCA, EXTASE, DREDDY – Warszawa, Instytut Energetyki

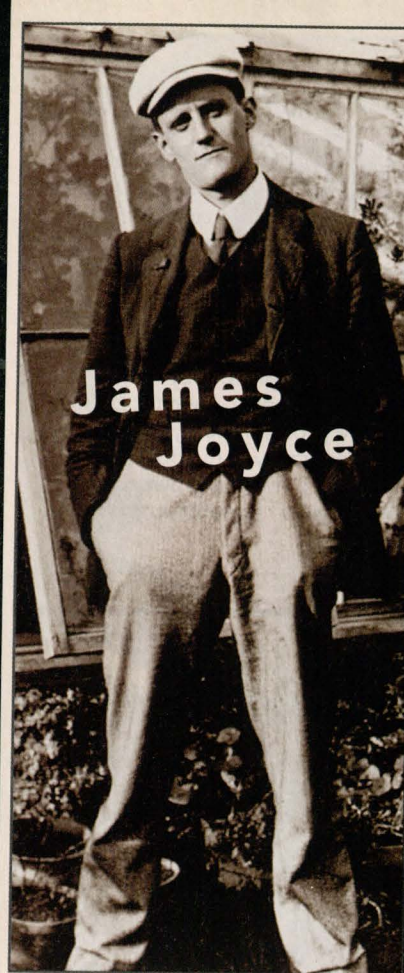
trasy koncertowe

MUZYKA DAWNA – PERSONA GRATA „Hiszpańska muzyka barokowa”, wyk. Orlanda Velez Isidro

(Portugalia), Eduardo López Banzo (Hiszpania), ARTE DEI SUONATORI – 7.02, Toruń, Dwór Artusa; 8.02, Poznań, Aula UAM; 9.02, Wrocław,

Oratorium Marianum; 10.02, Warszawa, Studio Koncertowe im. W. Lutosławskiego COOL KIDS OF DEATH – 7.01, Skierniewice, MCK; 15.01,

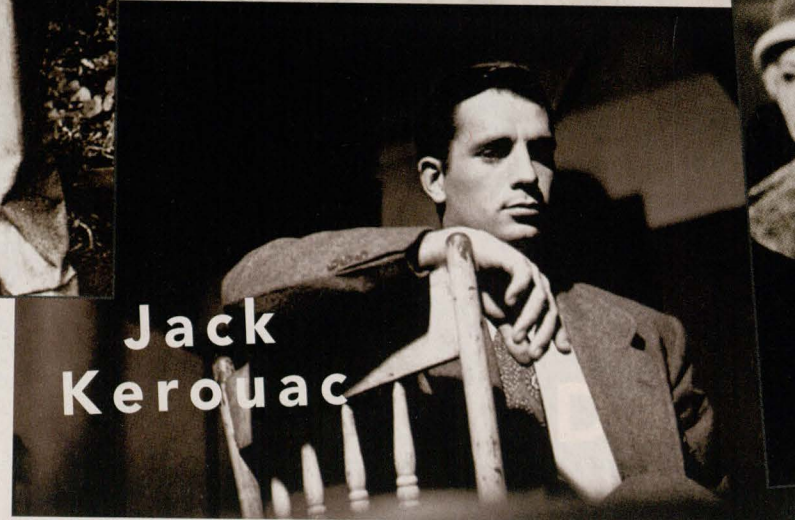
Suwałki, Snake TSA – gwiazda polskiego metalu lat 80. reaktywowana w oryginalnym składzie – 11.02, Warszawa, Proxima; 12.02, Lublin, MCK



James Joyce



Café de Flore



Jack Kerouac



Juliette Greco

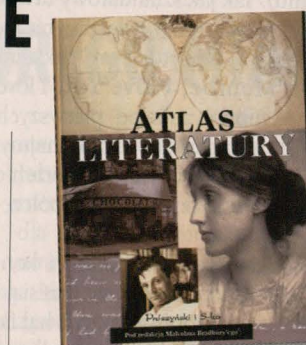
LITERACKIE PRZEWODNIKI PO ŚWIECIE

NIE
CHCIELIBYŚCIE
MIEĆ
WSZYSTKICH
KSIĄŻEK
W JEDNEJ?
TAKĄ SZANSĘ
DAJE WAM
REWELACYJNY
„ATLAS
LITERATURY”

Istnieją książki, które oddziałują na wiele zmysłów – chce się je czytać, dotykać i oglądać. Taki jest „Atlas literatury”, który skomponował znany pisarz angielski Malcolm Bradbury. Wymyślił sobie, że w literaturze pociągają nas przede wszystkim opisane miejsca. I odwrotnie – w rzeczywistych pejzażach szukamy miejsc literackich. Prawdziwe miejsca zmieniają się w naszych oczach dzięki temu, że zostały przekształcone w literaturę. Konwicki niemal na nowo stworzył w swoich książkach Pałac Kultury. – Mieszkam przy pogotowiu na Hożej, no wiesz, tym że „Złego” Tyrmanda – mówi dumnie mieszkaniec Warszawy. Dlaczego nie potraktować utworów literackich jako przewodników? – pomyślał Bradbury. Zebrał ekipę znawców – pisarzy, wykładowców

uniwersyteckich, dziennikarzy – i zaprosił ich do współpracy przy atlasie, który przedstawi związki literatury z miastami, wypami i kontynentami. Przez cztery lata autorzy podróżowali, zgłębiali mapy i przewodniki. Tak powstał atlas sięgający średniowiecza i obejmujący większość literatury światowej. Oczywiście nie jest to encyklopedia, a więc nie wszystko się tu znalazło. Każdy esej napisał inny autor; na przykład o Broadwayu pisze Arthur Miller. Bradbury ma rację – atlas proponuje zupełnie inne spojrzenie na literaturę.

– Aż szkoda, że nie jestem licealistą – powiedział znajomy po obejrzeniu „Atlasu...”. Szkoda, że poznawanie literatury światowej nie zaczyna się od takiej właśnie książki. „Atlas...” prowokuje do wędrówek wyobraźni. Po-



„ATLAS
LITERATURY”
POD REDAKCJĄ
MALCOLMA
BRADBURY’EGO
PROSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA
2002

kazuje miejsca modne w pewnych okresach, jak choćby Paryż początku wieku. „Pisarze spadają tu jak liście jesienią” – notował Ezra Pound. Hemingway pisze tu „Pożegnanie z bronią”, Joyce kończy „Ulissesa”. Około roku 1928 zaczęło się robić gęsto. „Każda kolejna dostawa Amerykanów (...) sprawiała, że ich jakoś była coraz gorsza” – pisał Francis Scott Fitzgerald w powieści „Czuła jest noc”. A Paryż tuż po wojnie? Paryż

egzystencjalistów? Ze zdjęcia patrzy na nas piękna Juliette Greco, która śpiewała piosenki z tekstami znanych pisarzy. W latach 50. z Nowego Jorku ściągają beatnicy z Allenem Ginsbergiem. Modny był w pewnych okresach Londyn, modne były poszczególne dzielnice Nowego Jorku – na początku wieku zrodziła się literacka legenda dzielnicy Greenwich Village, gdzie mieszkali rozmaici Europejczycy (obecnie dzielnica artystyczno-gejowska).

Największą zaletą „Atlasu...” jest jednak to, że poznajemy miejsca mniej znane – otwiera się przed nami życie literackie Berlina przed wojną i po niej, nieznana Walia czy Irlandia. Strzałki na mapach wskazują – tu Joyce pracował nad „Dublińczykami”, w Café de Flore Sartre pisywał felietony, Dickens urodził się pod numerem 387. przy Mile End Terrace.

Mapy mają ogromną siłę oddziaływania. Skąd to się bierze? Może i Ty, Czytelniku, w dzieciństwie rysowałeś mapy wyobrażonych państw? Może byłeś władcą we własnym królestwie – wiele dzieci zna tę przyjemność. I wielu pisarzy. Czerpią z realnych miejsc i przetwarzają je w literacką prowincję. A życie czerpie z literatury – i tak wymyślona przez Thomasa Hardy’ego prowincja Wessex naprawdę zaistniała na mapach.

„Atlas...” to zbiór wielu elementów. Trzeba więc wymyślić własny sposób czytania. Można wybrać na bohaterów tej historii miasta. To właśnie miasto zrodziło powieść. Pisarza i miasto łączyła często więź niemal małżeńska – intymna i pełna konfliktów. Spójrzmy na Londyn XVIII-wieczny. Pisarze opisywali go ze wstrętem i fascynacją. Londyn zaś rezerwował dla nich uliczkę Grub Street (tam zbierali się pismacy) nieopodal szpitala dla obłąkanych. Londyn w powieściach Dickensa straszył więzieniem dla dłużników, rzeczywistość cała rodzina Dickensa kiedyś się tam znalazła. Miasto było dla pisarza wyzwaniem. W „Atlasie...” odkryjemy rozmaite powieści miejskie: londyńskie, dublińskie, opisujące Belfast czy Berlin, a najlepszy esej dotyczy współczesnej powieści nowojorskiej. Składa się on z porad dla pisarza. Przede wszystkim powinien zbadać podbrzusze miasta i obnażyć wszystkie miejskie obcesje.

Nie tylko Nowy Jork domaga się powieści. Każde miasto jest jej warte. „Atlas...” nas w tym utwierdza. A więc, Czytelniku, jak radził postępować z Nowym Jorkiem Henry James: „Chwyć go i trzymaj mocno, i pozwól mu, żeby pociągnął cię za sobą”. Czy to Siedlce, czy Małkinia – czas zgłębić miasto i narysować swoją mapę.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Mahi Binebine
Ludożercy



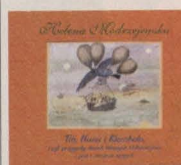
MAHI BINEBINE
„LUDOŻERCY”,
PRZEL. GRAŻYNA
MAJCHER,
WYDAWNICTWO
AKADEMICKIE „DIALOG”,
WARSZAWA 2002

MAROKAŃSKA ELEGIA

POWIEŚĆ O UCHODŹCACH JEST ŚWIADECTWEM NASZYCH CZASÓW

Każdego roku setki uchodźców z Afryki próbują przedostać się przez nielegalne kanały przerzutowe do Europy. Naganiacze i szmuglerzy dorabiają się fortun na tym ryzykownym procederze, bo zdesperowani ludzie płacą gotówką, często oszczędnościami gromadzonymi przez kilka pokoleń. Wielu potencjalnych imigrantów nigdy nie dociera na miejsce. Ciało rozbitków wylawiają z morza hiszpańskie i portugalskie służby przybrzeżne. Piszący po francusku Marokańczyk stworzył powieść elegijną poświęconą swoim braciom, którym nie udało się dotrzeć do celu. Oparta na faktach, pełna rozpaczki książka jest świadectwem naszych czasów. „Ludożercy” to powieść gorąca, szczególnie poruszająca dzisiaj, pokazuje bowiem genealogię wynaturzeń – fundamentalizmu i terroryzmu. Mahi Binebine ostrzega: „Mężczyzna Południa, jeżeli zostanie upokorzony, robi się niebezpieczny i nieprzewidywalny, zdolny do każdego szaleństwa”. Ale jest również wrażliwy, obdarzony wielką wyobraźnią i zdolny do poświęceń w imię swoich marzeń. Wiele się możemy od niego nauczyć.

MARYNA BERSZ



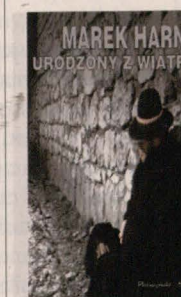
HELENA MODRZEJEWSKA
„TITI, NUNU I KLEBOŁO”,
CZYLI PRZYGODY DWÓCH
LILIOWYCH CHŁOPCZYKÓW
I PSA O SZEŚCIU NOGACH”,
POLSKO-AMERYKAŃSKA
FUNDACJA WSPIERANIA
KULTURY „ARCADIA”,
WARSZAWA 2002

BABCIA MODRZEJEWSKA PISZE

RĘKOPIS CUDEM PRZYWRÓCONY POLSKIEJ KULTURZE

Tak, tak, to ta sama Helena Modrzejewska, największa polska aktorka i jedna z największych w całym XIX wieku. Okazało się, że nie tylko umiała grać Szekspira i Ibsena. W tamtych czasach panienki, jak wiadomo, uczono kaligrafować, malować, haftować i grać na fortepianie. Modrzejewska, już jako babcia, przypomniała sobie o niektórych z tych talentów i w roku 1896 napisała baśń, osobiście ją ilustrując i nawet oprawiając. Książeczka, w jednym egzemplarzu, była noworocznym prezentem dla amerykańskich wnuków, żeby nie zapomnieli rodzinnego kraju. Urodziły się bowiem już w Stanach, gdzie babcia aktorka mieszkała od 20 lat i była sławna jak dziś Shirley MacLaine i Sharon Stone razem wzięte. Rękopis dopiero niedawno odnaleziono. Rzecz dzieje się na Marsie, ludzie są tam liliowi, a jak coś przeskrobia, robią się fioletowi. Tytułowi chłopcy właśnie coś przeskrobalili, zmienił im się kolor skóry i podejmują oczyszczającą wędrówkę do magicznego źródła. Oczywiście wszystko kończy się dobrze. Staroświecki moralizm na pewno wywoła uśmiech niedowierzania na buźkach dzisiejszych dzieci wyedukowanych na komiksach i japońsko-amerykańskich kreskówkach. Ale choć ta ślicznie skądinąd wydana bajka to ciekawostka tylko, jest ciekawostką z najwyższej półki; znalezisko to jest samo w sobie baśnią o rękopisie cudem przywróconym polskiej kulturze.

TADEUSZ NYCZEK



MAREK HARNY
„URODZONY Z WIATRU”,
PROSZYŃSKI I S-KA,
WARSZAWA 2002

PODHALAŃSKIE CZYTADŁO

NA ILE PYTAŃ ZNAJDZIE ODPOWIEDZI POGROBOWIEC PARTYZANTA?

Akcja tej powieści rozgrywa się na przełomie lat 60. i 70., ale sięga czasów dawniejszych. Oto Andrzej Kurniawa, syn oficera z legendarnego oddziału „Ognia”, próbuje poznać okoliczności śmierci ojca, które są tematem tabu dla PRL-owskich historyków, oficjalnie omawianym jedynie na podstawie ubeckich wersji. Poszukiwania prowadzą do odkrycia kolejnych tajemnic – zarówno przykrych (kolaboracja dziadka z hitlerowcami), jak i będących powodem do dumy. Nie zabrakło także pasjonujących wątków romansowych. Wszystko razem – utrzymane w doskonałym odwzorowaniu realiów – tworzy wciągające czytadło, z którego warsztatu powinna się uczyć większość autorów, a zwłaszcza autorek tak zwanej literatury środka. Niedopowiedzenia obecne w powieści osłabiają nieco początkowe wrażenie, że autor narzuca czytelnikowi absolutną akceptację działań „Ognia” i związany z tym radykalny antykomunizm, a także swoisty antysemityzm. To, że narrator nie zdradza w finale wszystkich sekretów, podkreśla jeszcze wyjątkowość wiedzy, jaką jesteśmy w stanie uzyskać.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

WYTNIJ, WYŚLIJ I WYGRAJ

Pomiędzy Czytelników, którzy do 16.02.2003 r. nadesłają kupon konkursowy, rozdajemy 10 egzemplarzy książki Bory Cosicia „Rola mojej rodziny w światowej rewolucji”.
Nasz adres:
Wieża 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem „Rewolucja”



W „100
NABOJACH”
CZARNY
KRYMINAŁ
ODRADZA SIĘ
JAKO
WSPÓŁCZESNA
AMERYKAŃSKA
EPOPEJA„100 NABOI.
CIEN DRUGIEJ
SZANSY #2”,
SCENARIUSZ
BRIAN AZZARELLO,
RYSUNKI
EDUARDO RISSO,
KOLORY
GRANT GOLEASH,
MANDRAGORA,
WROCŁAW 2002

100 naboï

LICENCJA NA ZEMSTĘ

W swojej ostatniej powieści „Palcie ryz każdego dnia” Marek Hłasko kazał swemu bohaterowi pracować przy odzieraniu okładek przeznaczonych na makulaturę komiksów. Nawet jemu, niegdysiejszemu entuzjastce amerykańskiej popkultury zza żelaznej kurtyny z klasycznymi filmami sensacyjnymi na czele, rysunkowi Supermani i Batmani wydawali się szczytem tandety.

Taką wizję amerykańskiego komiksu podtrzymywała, niestety, polityka wydawnicza pierwszych wydawnictw licencyjnych w III RP – lata 90.

zdominowały u nas utrzymane na niskim poziomie edytorskim (o intelektualnym też szkoda gadać) szablony zeszyty Marvella o superbohaterach. Nic dziwnego, że polskie środowisko fanów słusznie spoglądało raczej w stronę Francji i Belgii, gdzie komiks został wywindowany do rangi sztuki.

Cykl „100 naboï”, którego polskie pierwsze wydania pojawiły się na naszym rynku w zeszłym roku, jest wreszcie okazją do przewartościowania poglądów o komiksie amerykańskim. Ale nie da się tu pominąć faktu,

że zanim jego rysownik – mistrz cienia Argentyńczyk Eduardo Riso – zetknął się pięć lat temu z amerykańskim scenarzystą Brianem Azzarellem, zaczął międzynarodową karierę od publikacji we francuskich magazynach komiksowych. Teraz za „100 naboï” autorski tandem zgarnia branżowe nagrody Harveya i Eisnera, a fani kupują od autora oryginalnych pojedynczych plansz komiksu po 200–250 dolarów.

W „100 naboïach” sportretowano złą Amerykę wiełu środowisk przenikających się w zaskakujący sposób. Stereotypowa speluna w złej

dzielnicy, żywcem wyjęta z jakiejś ballady Toma Waitsa, staje się nagle miejscem wycieczki znudzonych, poszukujących mocnych wrażeń yuppies. Lodziarz okazuje się sprzedawcą kradzionych papierosów (czyż nie przypomina nam to oferty ruskich LM-ów?). Azzarello i Riso pokazują nam świat gangsta nie od strony złota, którym obwieszają się rapery, lecz małych machlojek, oszustów i młodych, samotnych matek zlorzeczających na heroinę, która zabiera im facetów.

Brian Azzarello jako ulubionego pisarza wymienia



© MANDRAGORA

straciła ukochanego i dziecko. Już w kolejce, którą jedzie do swojej dzielnicy, pojawia się tajemniczy starszy pan. Przedstawia się jako agent Graves i oferuje Dizzy walizkę z pistoletem i setką naboï, aby zrobiła z nich użytek, mszcząc się na prawdziwych sprawcach zbrodni, którzy nie zostali ukarani.

Naboje są nie do rozpoznania, pistolet budzący początkowo podejrzenia policji oddawany jest z respektem byłej kryminalistce. Agent Graves ułatwia swoim „podopiecznym” stanięcie ponad prawem, do broni dołącza dowody ich krzywdy: szuler dowiadyuje się, że jego najlepszy przyjaciel jest prawdziwym sprawcą wypadku, za który on sam siedział w więzieniu, kelnerka z kafe-terii dostaje zdjęcia świadczące o tym, że jej mąż gwałcił córeczkę od małości.

Agent Graves (oraz jego walizka z pistoletem i stoma naboïami – swoista licencja na bezkarną zemstę) jawi się początkowo jako zesłany z niebios Anioł Śmierci oferujący skrzywdzonym zemstę w imię starotestamentowej zasady: „Oko za oko, ząb za ząb”. Rozpoczynając przygodę ze „100 naboïami”, mamy wrażenie, że czytamy zbiór przypowieści o moralnych dylematach jednostek. Ale w miarę rozwoju tej epepei odkrywamy, że za Gravesem stoi nieznana nam siła. Jaka? Od karłowatego dziennikarza Brancha dowiadujemy się, że na pewno nie chodzi o rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Czyim, do diabła, agentem jest Graves?!

Zapowiada się zatem seria, którą będziemy śledzić z zapartym tchem, i nie zdziwimy się, jeśli niebawem „100 naboï” zobaczymy w kinie bądź w telewizji. Złazszcza że Azzarello zapowiada w wywiadach co najmniej sto odcinków, a wyszło ich w oryginalnej wersji dopiero trzydzieści kilka.

SCENARIUSZ
I RYSUNKI
FREDERIK PEETERS,
POST, KRAKÓW 2003

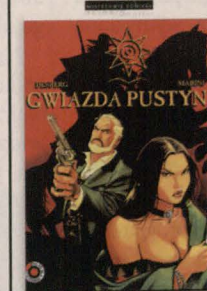
NIEBIESKIE PIGUŁKI

Ten niemal 200-stronicowy, opasły, czarno-biały album to autobiograficzne dzieło 28-letniego Szwajcara. Sposób, w jaki opowiada on swoją historię, przypomina wydaną niecałe dwa lata temu komiksową powieść znanego czytelnikom „P” Wilhelma Sasnała „Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001”. I tu, i tam bohater-narrator jest plastykiem (oczywiście różnią ich sposoby rysowania). Sasnał drobniawo rozrysował walkę o utrzymanie ciąży swej żony Ani oczekującej pierwszego dziecka, Peeters opowiada natomiast o możliwości normalnego życia z dziewczyną będącą nosicielką wirusa HIV, którym zarażony jest także jej synek (zażywający tytułowe niebieskie pigułki). Bliźniaczy to zatem przypadek rzadko zdarzającej się w komiksach zwykłej historii o miłości i codziennym poświęceniu. Przesłanie wydaje się proste: lepiej żyjmy, niż nie.

SCENARIUSZ
I RYSUNKI
RYSZARD
DĄBROWSKI,
ZIELONY FRONT,
BIAŁOWIEŻA 2002

LIKWIDATOR. KRWAWY RAJD

W ciągu siedmiu lat od swoich narodzin radykalny anarchista Likwidator wyrósł na czołową postać rodzimego komiksu undergroundowego. Pojawia się w rysunkowych magazynach od „AQQ” po „Produkt”. Jego przygody (tu ciągle czarno-białe, ale gdzieśindziej zdarzają się i w kolorze) doczekały się wydań w lakierowanych okładkach. „Krwawy rajd” (wydany z podtytułem „Tani komiks drogi”) to drugi taki „profesjonalny” album z Likwidatorem w roli głównej. Prześladowany przez media i rząd jako rzekomy sprawca wszelkich nieszczęść w Polsce antybohater dzielnie odpiera wszelkie ataki, zabijając napotykanych przez siebie złych ludzi. Absurdalną wymowę komiksu wzmacnia pojawienie się postaci hipisa pacyfisty, który szybko staje się towarzyszem broni Likwidatora. Oj, nie dla wszystkich jest to komiks, ale nie można mu odmówić wybitnej wyrazistości i spójności artystycznej.

SCENARIUSZ
STEPHEN DESBERG,
RYSUNKI
ENRICO MARINI,
EGMONT POLSKA,
WARSZAWA 2002

GWIAZDA PUSTYNI

Po jednorękim rewolwerowcu z „Westernu” Rosińskiego i Van Hamme’a (tak, pary twórców słynnego „Thorgala”) mamy okazję obcować na naszym rynku z kolejnymi bohaterami Dzikiego Zachodu. Podobnie jak w przedstawionych obok „100 naboïach” scenariusz „Gwiazdy Pustyni” jest historią zemsty. Wysoki urzędnik administracji federalnej wyrusza na Zachód szukać morderców swej córki. Ten starszy już mężczyzna, wymierzywszy sprawiedliwość, rozpocznie nowe życie, odrzucając świat cywilizacji, choć wcześniej podpisywał dekrety podporządkowujące prerie urzędowi. W komiksie atrakcyjnie przedstawiono niemal wszystkie westernowe składniki – z obowiązkowym saloonem i Indianami. W tym luksusowo wydanym albumie także zastosowana technika plastyczna przywodzi na myśl klasyczne ilustracje z dawnych książek o kowbojach – kreską rysowane są tylko bliższe plany, tło namalowano farbą.

RYSOWAŁ JAK
PICASSO,
GRYWAŁ
MOZARTA,
UCZYŁ SIĘ
CHIŃSKIEGO.
W WAR-
SZAWSKIEJ
KORDEGARDZIE
WYSTAWA
JEDNEGO
Z NAJORYGINAL-
NIEJSZYCH
MALARZY
NASZYCH
CZASÓW



Jerzy Stajuda, akt – papier, kredka

EKSCENTRYK STAJUDA

Był rok 1990, miałem jeszcze w Krakowie galerię sztuki. Koniecznie chciałem zrobić wystawę Jerzemu Stajudzie. W Warszawie krążyły o nim legendy, a w Krakowie nic. Pojechaliśmy do niego z żoną, poznaliśmy się, było bardzo miło. Zaraz postawił wino, bo choć pijał wszystko, uważał, że Francuzi wiedzą, co robią, stawiając na sfermentowane winorośle. Jakiś czas potem wysłałem żonę znów do Warszawy, żeby mi coś od Stajudy przyniosła, bodaj jakieś slajdy do katalogu. Otworzył jej drzwi całkiem goły. Fakt, było lato. Ale mimo wszystko...

Nie chodziło o erotykę, choć Stajuda był i na tym punkcie dosyć czuły. Jego rysunki erotyczne są nieporównane, spokojnie wytrzymują konkurencję kreski Matisse'a, Dufy'ego, bodaj i Picassa. Przesadzam? Chyba niewiele. Sztuka jest rzeczą umowną; gdyby Stajuda mieszkał we Francji, Niemczech, Japonii czy Stanach, dając głowę, że bez trudu zrobiono by z niego jednego z najgłośniejszych artystów drugiej połowy XX wieku. Zresztą poznano się na

nim w większym świecie. Z Polaków w paru niezgorszych europejskich encyklopediach sztuki jego nazwisko widnieje obok Abakanowicz, Opalki i Kantora.

Budka telefoniczna i laserunki

Z wykształcenia nie był malarzem. Przyszedł do malarstwa z architektury, którą ukończył w roku 1959, projektując dworzec lotniczy. Największym jego zawodowym osiągnięciem była budka telefoniczna wymyślona dla warszawskiego Dworca Śródmieście. Po architekturze, którą szybko i bez żalu porzucił, został ślad w postaci specjalnego przywiązania do rysunku. No i chyba to, że obrazy i akwarele wyglądają na precyzyjnie zaprojektowane, ich wewnętrzna spontaniczność poddana jest rygorom ścisłej formy. Każdy obraz malował długo, czasem miesiącami, nakładając pracowicie jedną warstwę farby na drugą; w fachowym języku nazywa się to laserunkiem.

Muzykujący krytyk

Wcześniej był znany jako krytyk sztuki. W kilku niezłych

pismach („Ty i ja”, „Współczesność”) kierował działami plastyki. W ostatnich latach życia – a umarł za wcześnie, na raka, w roku 1990, mając 56 lat – prowadził zajęcia z rysunku na wydziale rzeźby warszawskiej ASP.

Wyżej od malarstwa cenił muzykę. Amator – grywał na fortepianie klasyków wcale nieźle. Fascynował się Dalekim Wschodem i sporo czasu poświęcił nauczaniu się chińskiego alfabetu.

Na pozór tworzył sztukę abstrakcyjną. Gdy jednak bliżej wejrzeć w te płótna i papiery, widać, że delikatne plamy i kreski, przemazania i dziwne światła to wielce skomplikowany świat przetworzonych malarsko przestrzeni, jakichś tajemniczych pejzaży. Czarno-białe kreski rysunków układają się czasem w zarys postaci jakby wyrastającej z mgławicy kompozycji niby nic nieznaczącej.

Wolał papier pakunkowy

Był złożony z samych paradoksów. Delikatne i przejrzyste materie jego obrazów, gdzie

znać rękę mistrza i długi wysiłek poświęcony malowaniu, zdumiewająco kontrastowały z bylejąkością drewnianych blejtramów, na których płótna były rozciągnięte. To samo ze wspomnianą jakością papierów rysunkowych. Wolał papier pakunkowy albo ten, na którym drukowało się w PRL-u gazety. Dlaczego tak postępował? Trudno powiedzieć. Przecież chyba zależało mu na przetrwaniu jego dzieł. Ale może nie? Był typowym przedstawicielem XX wieku z jego wątpliwościami dotyczącymi miejsca sztuki w społeczeństwie.

Kochał tradycję, będąc awangardzistą. To nie ostatnia sprzeczność tego niezwykłego artysty, przed którego dziełem, delikatnym i nienachalnym, zdejmując kapelusze ci, którzy znają wartość prawdziwej sztuki.

TADEUSZ NYCZEK

JERZY STAJUDA,
„NIEZNANE RYSUNKI. ZNANE OBRAZY”,
GALERIA KORDEGARDA W WARSZAWIE,
OD 28 STYCZNIA DO 2 MARCA 2003 ROKU

MŁODOPOLSKA KULTURA

Na przełomie wieków niemal każdy artysta obok swojej „normalnej” działalności miał się karykaturowaniu. Czynił to na przykład znany w kręgach krakowskiej i lwowskiej cyganerii malarz i ilustrator Kazimierz Sichulski. Przedstawiając satyryczny portret bosonogiego Lucjana Rydla w tużurku ozdobionym ludowym pasem, dworował sobie nie tylko z samego poety, lecz także z powszechnej wówczas chłopomanii.

Młodopolskie karykatury były więc nie tylko humorystyczne, lecz także, jak przystało na epokę, symboliczne. Ich autorzy nie ograniczali się do techniki rysunku. Tworzyli również karykatury – oleje, pastele czy grafiki. Drukowali je w czasopismach lub wystawiali na ścianach kawiarni, szczególnie słynnej Jamy Michalikowej. Karykaturzyści nie szczędzili nikogo – ani swoich kolegów artystów, ani literatów czy aktorów. Niektóre „ofiary” obrażały się, większość jednak traktowała karykaturę jako rodzaj towarzyskiego wyróżnienia. Satyryczne portrety najbardziej kochała oczywiście publiczność, która z entuzjazmem witała nowe i żądała kolejnych.

Okres modernizmu to również czas rozkwitu karykatury politycznej i obyczajowej. W tej dziedzinie autorem jednych z ciekawszych prac był Witold Wojtkiewicz, który obok komentarzy do warszawskich wydarzeń rewolucji z roku 1905 ilustrował nastroje społeczne, tworząc na przykład przedziwny, groteskowy rysunek „Pesymiści”. Dowcipne, będące jednocześnie świetnym dokumentem epoki karykatury Wojtkiewicza i Sichulskiego, a także Teodora Axentowicza, Konstantego Laszczki, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Weissa i wielu innych modernistów można oglądać w warszawskim Muzeum Karykatury.

AGNIESZKA RAYZACHER

„SZTUKA KARYKATURY OKRESU MŁODEJ POLSKI. 1890-1918”
ZE ZBIORÓW POLSKICH ORAZ LWOWSKIEJ
GALERII SZTUKI, MUZEUM KARYKATURY
W WARSZAWIE, OD 3 LUTEGO
DO 31 MARCA 2003 ROKU



KAZIMIERZ SICHULSKI, portret Lucjana Rydla



KAZIMIERZ SICHULSKI, parodia „Błędnego koła” Malczewskiego

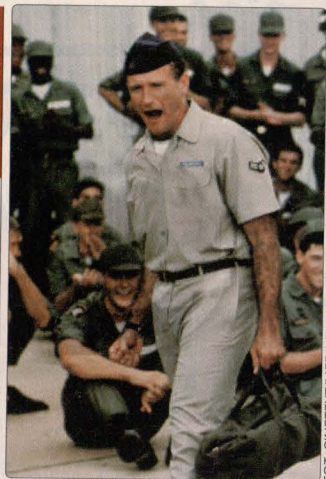


LEON WYCZÓŁKOWSKI, portret F. Manghi-Jasieńskiego



STANISŁAW KUCZBORSKI, parodia obrazu W. Weissa (portret siostry artysty z mężem)





FOT. CINEMATEX/MEDIUM

GOOD MORNING, VIETNAM

Wojenny „What a Wonderful World” („Jaki cudowny świat”) śpiewa Louis Armstrong, a na ekranie widzimy bomby spadające na Wietnam. Ta pełna ironii słynna scena mówi wszystko o filmie Levinsona, który zderza humor z grozą, a nonkonformistę z armią. Ów nonkonformista to didżej prowadzący wojskową radiostację w Sajgonie. Na jej antenie wyśmiewa prezydenta i puszcza rock and rolla. Przełożeni są wściekli. Niezyscyplinowanego didżeja zagrał Robin Williams i zdaniem wielu jest to najlepsza rola w jego karierze.

REŻ. BARRY LEVINSON
TVP3, 23.00

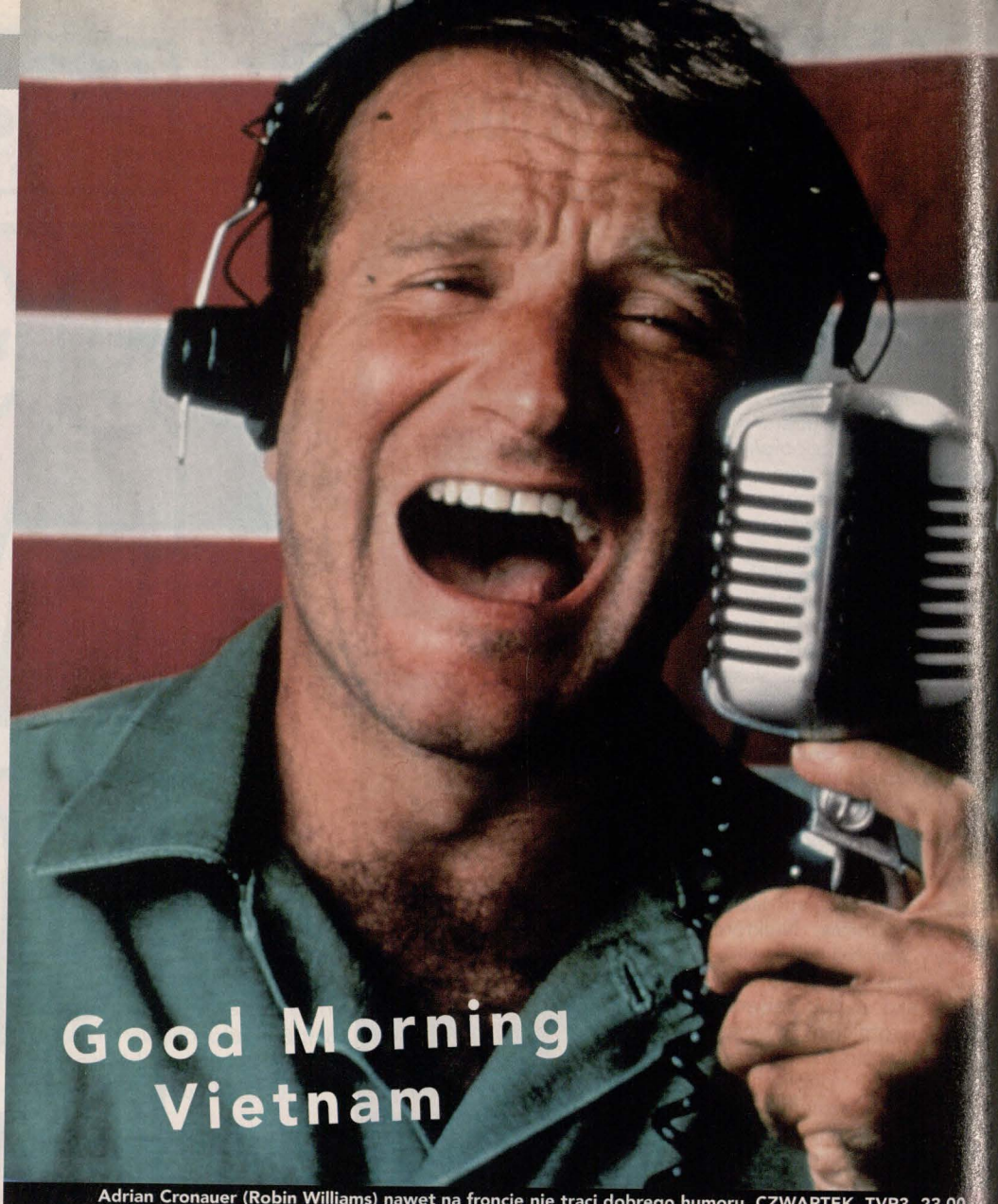


PIĄTEK

SZEŚĆ STÓP POD ZIEMIĄ

Druga część serialu, który wbrew pozorom nikogo nie wprawi w grobowy nastrój. Film opowiadający o rodzinie prowadzącej dom pogrzebowy jest bowiem komedią. Zebrał już niezliczoną ilość nagród Emmy i Złotych Globów, co łatwo zrozumieć, jeśli się wie, że jego scenarzysta pisze człowiek, który wymyślił „American Beauty”.

REŻ. ALAN BALL
ODC. 1, HBO, 22.35



Good Morning Vietnam

Adrian Cronauer (Robin Williams) nawet na froncie nie traci dobrego humoru. CZWARTEK, TVP3, 23.00

**CARRIE**

Horror, którego wrażliwi widzowie nie powinni oglądać w pojedynkę. Jego bohaterką jest dziewczyna zdominowana przez matkę dewotkę i odrzucona przez rówieśników. Doprowadzona do ostateczności szuka krewawą zemstę... „Carrie”, dziś klasyka gatunku, to pierwsza ekranizacja książki Stephena Kinga. Pisarz był bardzo niezadowolony z efektu i od tamtej pory nie pochwalił żadnego filmu zrobionego na podstawie swojej prozy.

REŻ. BRIAN DE PALMA
POLSAT, 23.55

**PORYWACZE CIAŁ**

Horror SF, remake słynnej „Inwazji pozeraczy ciała” z roku 1956. Ferrara zrobił film w swoim stylu – brutalny, malowniczy, balansujący na granicy kiczu i przesady. A przede wszystkim mrozący krew w żyłach. Tytułowi porywacze to Obcy, którzy zabijają ludzi i tworzą ich idealne kopie. Bohaterka filmu, nastolatka, nie jest w stanie ocenić, kto jest przyjacielem czy członkiem rodziny, a kto kopią.

REŻ. ABEL FERRARA
TVN, 22.35

**PRINCE NA ESTRADZIE**

Muzyczny. Nostalgiczny powrót w sam środek lat 80., gdy Michael Jackson i Prince rywalizowali o tytuł króla popu. W modzie był kolor różowy, cekiny, ostre makijaże i wielkie sceniczne show – Prince wiedział, jak uczynić z występu prawdziwy spektakl. Film zabiera nas za kulisy jego dwóch koncertów – w Minnesocie i Amsterdamie. Kiedy patrzy się na niebywałą charyzmę i energię Prince’a, trudno uwierzyć, że kilka lat temu Książę sam się zdegradował i słuch o nim zaginął.

REŻ. PRINCE
2TVP, 1.30



FOT. BE&W

ZDAŹYĆ PRZED PÓLNOCĄ

Komedia. Robert De Niro w roli egzekutora długów, który wiezie z Nowego Jorku do Los Angeles księgowego mafii. Ścigają się z FBI, mafią i z czarnym. Jeśli księgowy nie trafi w terminie do aresztu, egzekutor straci swoją prowizję. Udamy miszmasz kina drogi, komedii gangsterskiej i sensacji.

REŻ. MARTIN BREST
1TVP, 20.05

**MISERY**

Thriller. Niebezpieczne związki literatury i życia, czyli ranny w wypadku pisarz przypadkowo trafia w ręce wiernej czytelniczki, którą zdenerwowało zakończenie jego ostatniej powieści. I to tak bardzo, że kobieta nie zamierza go wypuścić z domu na odludziu. Rozpoczyna się fascynujący pojedynek narastającego obłądka z narastającą determinacją. Film powstał na podstawie prozy Stephena Kinga, grająca rolę niezrównoważonej pozeraczki romansów Kathy Bates otrzymała za nią Oscara.

REŻ. ROB REINER
TVN, 21.45



WTOREK

DANNY ROSE Z BROADWAYU

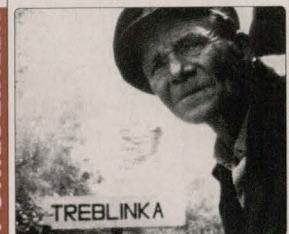
Komedia w starym, dobrym stylu – jak mawia o niej sam autor. Realizując film, Allen sięgnął do własnych wspomnień z czasów, gdy jak jego bohaterowie był komikiem. I tak jak oni po występach przesiadywał z kumpami w knajpie, gdzie gadali, gadali, gadali.

REŻ. WOODY ALLEN
ALE KINO!, 20.00

**DEBIUT**

Pierwszy odcinek nowego show Polsatu. Jego uczestnikami są ludzie, którym marzy się kariera aktorska. Oceniani przez jury i widzów walczą o rolę w serialu „Samo życie”.

POLSAT, 21.05



ŚRODA

SHOAH

Pierwsza w telewizji publicznej emisja słynnego, szalenie kontrowersyjnego dokumentu mówiącego o zagładzie Żydów. Lanzmann rozmawia z ofiarą Holocaustu, jego świadkami; dotarł również do katów. Jan Karski nazwał „Shoah” „największym dziełem filmowym mówiącym o tragedii Żydów, jakie powstało po wojnie”.

REŻ. CLAUDE LANZMANN
CZ. 1, TVP3, 23.00

OSĄCZONA

Thriller. Fatalne zauroczenie policjanta piękną kobietą, którą ma ochraniać, kończy się tragicznie dla jego rodziny. Ale gdy się patrzy na Toma Berengera i Mimi Rogers, staje się jasne, że żadna siła nie mogła ich powstrzymać...

REŻ. RIDLEY SCOTT
1TVP, 22.15

**PORTRET PODWÓJNY**

Obyczajowy. „Namalowany” po trosze kamerą cyfrową, po trosze kamerą 35 milimetrów portret pokolenia 30-latków. Ale młodzi autorzy nie stworzyli bynajmniej słodkiej laurki – pokazują siebie jako ludzi zagubionych, emocjonalnie ułomnych, nieprzygotowanych na czołowe zderzenie z dorosłym życiem. Bardzo dojrzały film o niedojrzałości, jeden z najlepszych polskich debiutów ostatnich lat.

REŻ. MARIUSZ FRONT
CANAL+, 21.00

**PRAWO BRONKSU**

Dramat. Debiut reżyserski Roberta De Niro, historia chłopca, który dorasta w cieniu dwóch autorytetów: lokalnego gangstera i biednego, ale uczciwego ojca (kierowcę autobusu, kolejnego „przeciętniaka” w swojej karierze, zagrał sam De Niro). Robiąc film, aktor przekroczył budżet o 12 milionów dolarów, a okres zdjęciowy o 30 dni. Nakręcił dwa razy więcej materiału, niż zwykle potrzeba na fabułę, w czasie montażu konsultował się z Martinem Scorsesem. Odetchnął dopiero wtedy, gdy publiczność festiwalu w Wenecji nagrodziła „Prawo Bronksu” trwającymi pięć minut owacjami na stojąco.

REŻ. ROBERT DE NIRO
POLSAT, 21.00

**WYKIWANI**

Satyra na ludzi mediów, którzy na ołtarzu oglądalności są gotowi złożyć swoje zasady i przekonania. Tak jak niejaki Delacroix, twórca odwołującego się do rasistowskich stereotypów serialu, dzięki któremu jego stacja ma odzyskać popularność. Dajmy, że bohater jest czarny. A na deser można będzie zobaczyć dokument autorstwa Lee – „Królowie komedii” – opowiadający o czarnych showmanach.

REŻ. SPIKE LEE
CANAL+, 21.00

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21

E-MAIL:
redakcja.przekroj@edipresse.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsttub

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk, Bogna Świątkowska

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:
Anna Romotowska

SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorowska,
Maria Świątek (zastępca)

KULTURA:
Manana Chyb (szef), Marcel Andino Velez,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,
Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:
Wawrzyniec Smoczyński (szef),
Małgorzata Fiejdasz, Filip Łobodziński,
Jakub Mielnik, Magda Papużńska, Max Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

NAUKA:
Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:
Paweł Sito (szef), Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich,
Małgorzata Łaska, Dominika Raczkowska,
Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTODYDZIA:
Anna Majewska (szef), Marcin Kędryna,
Ewa Morgunow, Marek Szczepański,
Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Marcin Fedisz (kierownik), Adriana Olczak

BIURO REKLAMY:
Andrzej Matuszczyk – dyrektor,
Artur Dudek, Bartek Kluczyński,
Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 95, 584 22 96
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA – LUMIART 90 G,
ŚRODEK – STELLA PRESS 60 G;
PRODUKT – STORA ENSO

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska

TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRZEC POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEC RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



Dziennik z krainy PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

Upadek psychofizyczny poezji polskiej



FOT. BOGDAN KRZEL

Podobno wojska amerykańskie stoją w imponującym wzwodzie na brzegu i rozmnażają się w tempie nieadekwatnym do rozgrzanych kibiców wymachujących wyrwanymi z betonu krzesłkami. Ale nie należy pochopnie rezygnować z abonamentu, jest to kwestia miesiąca, by wybuchów i ofiar starczyło na satysfakcjonującą ilość artykułów prasowych, seriali, skeczów, dowcipów i komiksów. Mnie ten okres karencji nie przeszkadza, ponieważ w moim życiu osobistym jest właśnie tak, jak obiecuje TV: w każdym odcinku pojawia się stosowny akwizytor, homoseksualista, Murzyn, narkoman, niepełnosprawny i problematyka utworu jest ciągle podsycona stosownymi zdarzeniami obyczajowymi i międzynarodowymi.

W ostatnim odcinku pokazano problem Unii Europejskiej poprzez dość prostą sytuację obyczajową. Pojechałam do Krakowa w celu odnalezienia francuskiego fotografa o homoseksualistycznym wyglądzie, aby zabrać go z tego upadłego, alkoholicznego, skłonnego do prostytucji miasta i reaktywować w dość trupim, ale o atrakcyjnym nadmorskim charakterze Gdańsku. Były to wydarzenia o charakterze międzynarodowym, ponieważ każdy, przelotny choćby, kontakt cielesny z wyżej podanym francuskim fotografem oraz dwuznaczny fakt mojego nocowania u niego prowokował lawinę oskarżeń o eurocwelstwo w kierunku moim, jak również Bogu ducha winnej Beaty S. Wysłałam odnośnie tego tematu esemesa do mojego wydawcy Pawła Dunin-Wąsowicza o treści „jesteśmy teraz tu z beatą eurocwele”, a on zareagował równie antyeuropejsko co wszyscy, odpisując: „oba?! eurocwele?!”. Tak więc z taką mentalnością wśród polskich narcystycznych klas pseudointelektualnych czy będziemy mogli korzystać na równych prawach z ogólnoeuropejskich supermarketów i linii telefonicznych, to zależy od jeszcze wielu innych zmiennych, ale być może, że odpowiedź na to pytanie jest ujemna.

Nawet pozornie apolityczny Marcin Świetlicki próbował mnie zniechęcić do potencjalnej wymiany materiału genetycznego

z przedstawicielem wrogich narodów zachodnich, podając w wątpliwość jego walory heteroseksualne. Tak więc oprócz problemu rozszerzenia poruszono jeszcze homoseksualizm, jak również problem hazardu i pokera, na którym spędziłam duże ilości czasu w sposób aktywny, przynosząc szczęście i powodując profity literatury polskiej reprezentowanej przeze mnie i Świetlickiego na niekorzyść dwóch przedstawicieli wybraconej duchowo finansjery. Gdyż kiedy jeden z nich zwrócił się do mnie w słowach „myślałem, że jesteś brzydsza”, a potem „weź, dziunia, masz tu i skocz gdzieś zmienić stówę”, posłam i kupiłam sobie imponujący sweter w cenie radykalnie odpowiadającej zawartości banknotu i duże ilości lizaków, przez co problem stosunków literatury polskiej z polskim kapitałem został zaogniony.

W ostatnim odcinku poruszono także palący problem pokoleniowy stosunków wewnętrznych w literaturze polskiej pomiędzy ww. Świetlickim, lat 42, spokojnym, średniego wzrostu, palącym, o charakterze raczej utrzymanym w tonacji ciemnej, a co prawda letnią, ale ostentacyjnie młodocianą Dorotą Masłowską, eksstudentką psychologii, drobnej budowy, szaloną, skłoną do korespondencji nastolatką słuchającą każdego rodzaju muzyki.

Ten aspekt programu przeznaczony był wyłącznie powyżej 18 lat, ponieważ zawierał brutalne sceny przemocy fizycznej względem starszego o duże ilości lat, chorującego na trzustkę mężczyzny, po którym skakałam w butach, wykorzystując w sposób bezwzględny jego upojenie alkoholowe. Doprowadziłam go do rozległego upadku psychofizycznego, zmuszając również do jedzenia wyżej wymienianych lizaków i przyznawania się do mojej pozorowanej w profesjonalny sposób ciąży przed przechodniami („proszę pani, w ciąży pani jest i papierosy?!”, „on mi to zrobił, właśnie on, wzięłam go ze schroniska, mówili, że to suka, a to był pies!”).

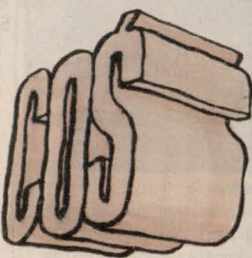
A ile jeszcze może się wydarzyć. Podejrzewam, że co najmniej przyjedzie Papież. ■

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Na razie

Na jakim **razie**? Dlaczego tylko na jednym? I w ogóle co na nim, **na tym razie**? Kiedy mówię: „**Na razie**”, myślę o przyszłości. Myślę, że za jakiś czas, może nawet niedługo, będzie inaczej, niż jest teraz. Lub inaczej, niż zaraz będzie. Ten stolik postawimy **na razie** tam. Kiedyś się to zmieni. I potem on tam stoi **na razie**. Czasem długo. **Na razie** masz tyle. Potem będzie więcej. To tylko **na razie** tak. **Na razie** sobie jakoś radzę. Ale co będzie potem? **Na razie** nie idzie mi najlepiej. **Ale** to się zmieni. Gdy jest dobrze, „**na razie**” niesie obawy, gdy dobrze nie jest, niesie otuchę. Bywa ironiczne (ale jakież słowo nie bywa ironiczne?). „No, **na razie** niczym szczególnym się nie wykazał” – mówię rekomendującemu mi kogoś jakoby wysoce utalentowanego. „**Na razie** nic mi się nie stało” – mówię ostrożnym ostrzegawcom (ostrzeżycielom?). Podejrzewam, że się nie stanie i że się nie wykaże, ale grzecznie ograniczam w czasie swoje odmienne zdanie. Często wtedy dodaję „**jak**”. „**Jak na razie** jest inaczej – mówię – może czas Ci przyzna rację, **ale na razie**...”. Czasem, coraz częściej, myślę, że przecież wszystko jest **na razie**. **Na tym właśnie razie**, z którym mamy aktualnie do czynienia. Razy się zmieniają, będzie inaczej. Wszystko płynie. A „**na razie**” zaznacza to, co ma przepłynąć trochę szybciej. Niedługo się znów spotkamy. **Ale** za chwilę się rozstaniemy. Mówię: „**Na razie!**” wesoło i optymistycznie. To żadne: „Żegnaj!”, to tylko „**Na razie**”. Ale niektórym taka skostniała formuła nie odpowiada. Mówią: „Nara” albo: „Narazki”. „Nara” przypomina mi nary, czyli pryczę, a „narazki” – zarazki. Wolę pogodne i spokojne „**na razie**”. To **na razie**.

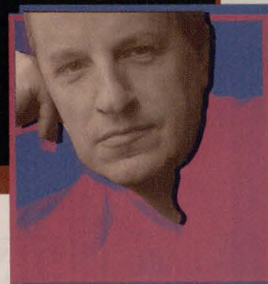


JAROSŁAW JURGA

Dziennik z placu INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL

Domiar złego



Jest źle. Jest bardzo źle. Złe nowiny. Złe wróżby. Złe przeczucia. Zła godzina. Zły dzień. Zły czas. Zła pogoda. Zły sen. Złe nie śpi. „Domiar złego”? Kto napisał książkę pod takim tytułem? Nie pamiętam. Zła pamięć. Zła forma. Zła passa. Złe zamiary. Zła wiara. Złe emocje.

Frustracja, agresja, depresja.

W „Res Publice Nowej” redakcyjna dyskusja „Frustracja polska”. Zła krew może zalać człowieka, jak to czyta. Pięciu intelektualistów (czterech intelektualistów i Tomasz Jastrun; czte-

rech intelektualistów i Paweł Śpiewak; czterech intelektualistów i... zły humor, złe skłonności, złe intencje) dochodzi do wniosku, iż „dochodzimy emocjonalnie do takiej sytuacji, że już nie wytrzymujemy”. „Każda różnica zdań przybiera paranoidalną formę”. „Polskę ogarnęła epidemia przygnębienia i goryczy”. „Frustracja stała się tak silna, bo zabrakło mechanizmu jakiegokolwiek pocieszenia”. A na domiar złego... Na domiar złego sfrustrowane społeczeństwo do niczego nie da się przekonać sfrustrowanym intelektualistom: „Siła publicystyki, która proponuje argumenty, próbuje udowodnić czy nawet je dostarczać tam, gdzie ma do czynienia z emocjami, nie

ma żadnych szans. Odwrotnie, im to będzie mądrzejsze, bardziej racjonalne, im gruntowniej udowodnione, tym szanse są mniejsze”. Cóż więc robić? „Trzeba nadal próbować, przekonywać, a jeśli się okaże, że nie został już nikt, kto tego słucha, emigrować do innego kraju”.

Jest źle. Jest bardzo źle. Jest tak źle, jak dawno nie było. Tomasz Jastrun, poeta, prozaik, publicysta: „Optymizm jeszcze widać u Reja i Kochanowskiego”. Ale „po potopie szwedzkim można powiedzieć, że po tej klęsce myśmy się nie odbudowali do dzisiaj”. „Od lat piszę depresyjne felietony, ich ton czasami raził czytelników, teraz nagle widzę, że przestaje razić. Jakby ludzie u nas doszli do mojego czarnego widzenia”. Co Jastruna, oczywiście, jeszcze bardziej pogrąża w depresji („Smutny jest mój triumf”). Zły to ptak..., zły prorok, zła tanecznicza. Zły kierunek. Zła droga. Zły wybór. Zły pieniądz. Zła marka. Zły towar. A na domiar złego... Ireneusz Krzemiński, profesor, prorektor, prognosta: „Ja bez przerwy myślę o swoim losie jako nieudanym, nie wiem jak Panowie. I dwie trzecie moich znajomych tak myśli”. Zły wpływ. Złe towarzystwo. Złe warunki. Zły rząd. Zła ustawa. Zła polszczyzna. Chyba zrobię sobie coś złego...

Odkładam „Res Publicę”, ze sterty książek, która leży na biurku, biorę powieść Vladimira Nabokova „Zaproszenie na egzekucję”, czytam motto („Jak szalenie uważa się za Boga, tak my uważamy się za śmiertelnych”), czytam przedmowę („Mój ulubiony autor powiedział kiedyś o powieści całkowicie zapomnianej (...) sprawia, że zaczynają marzyć nawet ci, co nie marzą nigdy”), czytam pierwsze zdanie („Zgodnie z prawem wyrok śmierci obwieszczono Cyncynatowi C. szeptem”) i tak mnie to zachwyci, tak jestem ciekaw dalszego ciągu, że zły nastrój w okamgnieniu przechodzi mi, jak ręką odjął.

Nawet przypominam sobie, kto napisał książkę „Domiar złego”, chociaż to akurat nie ma już żadnego znaczenia. ■

MACIEJOWSKI

ĆWIERĆ STRONY GRATIS

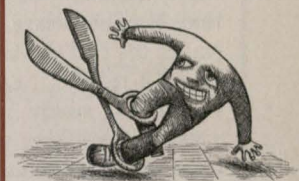


©MARCIN MACIEJOWSKI

RODZINA OBŁYCH

ŻARTY

Państwa Obłych odwiedza stary znajomy. Obli konstatują, że wcale się nie zmienili – ciągle żartuje i śmieje się ze swoich żartów. Pan Obły również stara się śmiać, tak dla towarzystwa. Panią Obłą stać jedynie na sztuczny uśmiech. Syn Obły nie rozumie żartów gościa i postanawia zabawić się sam. Idzie do przedpokoju i obcina nożyczkami kołnierz w płaszczu znajomego. – Co to? – dziwi się znajomy i z powagą na twarzy wpatruje się w otrzymany od chłopaka kawałek materiału. Powoli zaczyna rozpoznawać w nim kształt kołnierza. Obli patrzą na znajomego z niepokojem. Wydaje się, że śmiech go zaraz rozsadzi.



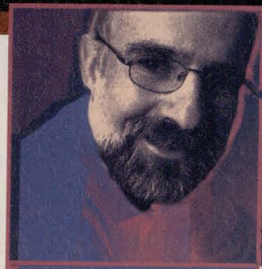
WYROZUMIAŁY
NAUCZYCIEL

Na szkolnym podwórzu chłopcy bawią się śnieżkami. Rzucają nimi w siebie, w krzewy i w chodnik. Syn Obły przypadkowo trafia w ramię nauczyciela matematyki, który właśnie wychodzi ze szkoły. Wszyscy zamierają przestraszeni. Ale nauczyciel uśmiecha się tylko wyrozumiale. – Nic się nie stało – mówi do syna państwa Obłych i wsiada do samochodu. Jeździ po mieście tak długo, aż kończy mu się benzyna. – Nic się nie stało – uśmiecha się do siebie melancholijnie i idzie dalej na piechotę.

PATRYK PAJĄK



BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Wine fiction

Tym, co różni winnice w Kalifornii od europejskich, są czapeczki

I ręczniki. I serwetki. I swetry. I bluzy polary z kapturami. Filizanki. Szaliki. Solniczki. I szlafroki. Mydełka też. Rękawiczki. Zaraz skończę. Kieliszki. Termometry. Piżamy. Chusteczki. Parasole. Niekiedy też wina. Te ostatnie już nie tak bardzo jak niegdyś.

Napa Valley, serce winiarskiej Kalifornii, jest ponoć największą atrakcją amerykańskiej turystyki; odwiedza ją rocznie więcej turystów niż Disneyland. Bawią się dobrze, ale muszą też coś stąd wywieźć. Czapeczki. I ręczniki. I czapeczki. I serwetki. I swetry. Wszystko z wyhaftowanym czy wygrawerowanym logo winiarni. Wszystko eleganckie, dobrej jakości, raczej drogie. Ale jak się wypije, to chętnie się kupi. Większość win można brać na kieliszki.

Bary są rozległe, barmani i barmanki uroczy. W restauracji na miejscu dadzą też zjeść, kuchnia wysokiej klasy. Toalety eleganckie. Taka jest Ameryka i taka jest winiarska Kalifornia.

Europejczyk, który zwiedzając winnice we Francji czy Włoszech, wsuwa kanapki na parking, chodzi za potrzebą do lasu i do wielu posiadłości musi się dobijać, gdyż nie chcą nikogo przyjmować, traktuje powyższe fakty jako wine fiction. Prowadzić to może do dialogów typu:

- Wiesz, Pierre, gdzie się w Kalifornii kupuje czapeczki? Na winnicy.
- Poważnie mówisz, Vincent?

- Wiesz, gdzie jada się *de volaille*'a? Na winnicy.
- A potrawkę z żabich udek?
- Oni nie jedzą żabich udek.
- A jak mówią na wino z *cabernet sauvignon*?

- Na wino z *cabernet sauvignon* mówią „cab”. A na *chardonnay* mówią „chard”.
- No to jak mówią na *pinot noir*?
- Na *pinot noir* mówią „pinot noir”.

To, że wiele winnic stało się placówkami turystycznymi, jest naturalną w Ameryce, bo pragmatyczną, konsekwencją boomu na wino, który wydaje się bezpo-

średnim efektem tamtej niezwyklej nocy. Tamtej niezwyklej nocy w połowie lat 80. jeden z najważniejszych kanałów telewizyjnych nadał program poświęcony tak zwanemu *french paradox*, o którym sam przypominam raz na jakiś czas. Tamtej nocy Amerykanie dowiedzieli się, że Francuzi żyją dłużej, choć jedzą tyle ciężkich tłuszczów. Żyją dłużej, bo piją wino. Nazajutrz tysiące Amerykanów rzuciło się na zakupy do sklepów winiarskich z postanowieniem, by żyć równie długo, a może i dłużej niż Francuzi. Wino zwyciężyło. To, co w Europie zajęło dobrych kilka lat, w Ameryce dokonało się w ciągu kilku miesięcy, by wkrótce – jak kochać, to kochać – objąć również czapeczki. I ręczniki. I serwetki. I swetry też.

Portugalskie
Quinta de Mosteiro
1998 x regionu
Douro, 75 złotych.
Mieloxarskiego 7
w Warszawie i inne
sklepy

Przez wiele lat dla mojego europejskiego smaku kalifornijskie wina również należały do wine fiction. Do wielu z nich nie mogłem się przekonać. Ale dzisiaj w charakterze staję się coraz bardziej europejskie, to znaczy lepsze, a w każdym razie są coraz bardziej zindywidualizowane. Czas je polubić. Lecz o tym Vincent opowie Pierre'owi w innym odcinku.

KRZYŻÓWKA nr 6



POZIOMO:

1. tamtoselerek
7. co ci się kojarzy na widok Rywina
9. achung w dzienniczku
10. achung w bimbrowni
11. głupi jak pół pary
14. Ela górą
15. słoneczna lub społeczna
16. jego nim
17. natrętka biurowa
20. Sakiewko
21. stosować naocznie

22. druga Warszawa
23. IRA w beretach
25. miłosna tematyka
29. między sierpem a młocką
30. ład kosmiczny
31. placebo

PIONOWO:

1. droga przez dziurę
2. walnięte kółko
3. zadyma biurowa
4. wąż bez głowy

5. ostatnia i twoje
6. donosiciel
7. odpadła przez kablę
8. premierostwo na placówce
12. jednogłośnie w partii
13. imienny chalcedon
16. firma na trawie
17. żądz mocy nie może zmóc
18. klasówka komputerowa
19. pod nią bezpiecznie
24. śmieć się, pajacu
26. z tym
28. w ustach

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 3

Pozio:

1. metr 5. obstawa 9. adres 10. mus
11. pean 12. doba 13. ale
16. annaly 18. ekonom 20. ster
21. kasa 22. alfabet 25. nos 26. zoo
27. kra 28. odrosty 30. rym 31. koks
33. ażur 35. etat 36. golenie
37. korek 38. szmata

Pionowo:

1. mapa 2. eden 3. transformator
4. Renata 5. Omo 6. bubeł 7. ssak
8. ananas 12. dyrektor 14. los
15. emancypacja 17. leś 19. oko
22. Azory 23. lody 24. tryk
29. skutek 32. sedes 34. żale
35. ego

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 1 nagrody wylosowali: Jacek Drzewiecki, Warszawa; Ewa Garska, Nowy Tomyśl; Grażyna Miller, Olsztyn; Jolanta Szade, Wrocław; Wanda Wszola, Dzierżoniów. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 16 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesła poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki *Dubravka Ugrešić „Stefcia Ćwiek w szponach życia”* (Czarne).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 6 lub Krzyżówka 6.

PIÓRO

POLSKI

O szkockiej marmoladzie

Jednym ze smaków z dzieciństwa, do którego chętnie powracam, jest połączenie gorzkiej marmolady pomarańczowej z grzanką z pszennego chleba posmarowaną lekko solonym masłem. Lecz kiedy mam ochotę wybrać się w sentymentalną podróż w takim właśnie towarzystwie, napotykam przeszkodę – nie ma marmolady. To znaczy jest, ale tylko w drogich sklepach z herbatą, w których niewielki słoik tego przysmaku kosztuje 26 złotych. To skandal na miarę tych, jakie serwują nam politycy. Postanowiłem więc zrobić własną marmoladę, bo 26 złotych to absurd i obelga.

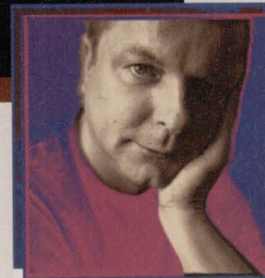
Marmolada z gorzkich pomarańczy sewilskich jest specjałem szkockim. Jak głosi legenda, po raz pierwszy zrobiła ją żona hurtownika cukru, której trafiła się gratka w postaci ładunku takich właśnie pomarańczy ze statku przygnanego przez sztorm do portu w Dundee. Pod koniec XVIII wieku państwo Keiller mieli już prosperującą manufakturę specyficznej, grubo krojonej marmolady – i do dziś Szkoci są nieprześcignionymi mistrzami w jej przyrządzaniu.

Kłopot w tym, że pomarańczy sewilskich w Warszawie nie uświadczysz. A jeśli tak – to za cenę, przy której 26 złotych za słoik marmolady wydaje się bagatelą. Trzeba zatem coś zaimprovizować, dodać kwas i goryczkę do słodkich pomarańczy izraelskich lub marokańskich. Kwaśne jabłko, trochę świeżego imbiru, kieliszek gorzkiej nalewki – co wyobrażnia podpowie. Marmolada powinna być rażąca, coś w niej musi się dziać, żeby słodycz nie obezwładniła podniebienia, żeby ton sentymentalny ożywiła z lekka melodramatyczna pikanteria.

Procedura zasadnicza jest taka: pomarańcze trzeba wyszorować pod gorącą wodą, włożyć do garnka, zalać zimną wodą i zagotować. Kiedy woda zawrze, zmniejszyć gaz i gotować

Uwaga! Przetwory można robić także w środku zimy

powoli przez godzinę, po czym odcedzić pomarańcze i poczekać, aż ostygną. Poćwiartować i wycisnąć je na sito ułożone na garnku – sok, pestki i miąższ, wszystko razem. Miąższ i pestki zawijamy teraz w kawałek muslinu lub gazy, który trzeba związać tak, żeby nic nie uciekło. Zawie-



TADEUSZ PIÓRO

niatko wkładamy do garnka, w którym zgromadził się sok. Dodajemy również pokrojone w paseczki skórki pomarańczy. Jedni wolą cienkie, inni grube. Dla mnie idealną szerokością paseczka jest niecałe pół centymetra, długością zaś – dwa i pół centymetra. Teraz dodajemy cukier i wodę. Na kilogram pomarańczy – kilogram cukru i litr wody. Dodajemy także po-

siekane kwaśne jabłko i cieniutko pokrojone paseczki imbiru.

Na dużym ogniu doprowadzamy wodę do wrzenia, mieszając przy tym dość często, żeby rozpuścił się cukier. Zmniejszamy płomień gazu, dodajemy gorzką nalewkę i gotujemy, aż skórka pomarańczowa będzie mięciutka, około dwóch godzin. Zdejmujemy z ognia, wylawiamy saszetkę z miąższem i pestkami i delikatnie wyciskamy z niej płyn tak, aby zmieszal się z tym, co jeszcze przed chwilą bulgotało w garnku. Najpraktyczniej zrobić to za pomocą dwóch łyżek cedzakowych. Pozostało już tylko przełożyć marmoladę do wysterylizowanych słoików, które odstawiamy do lodówki lub ciemnej spiżarni.

Niestety, na długo. Dwa miesiące. Lecz są to miesiące pełne radosnej antycypacji.

JOLKA nr 6

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

L5 - K11 - D8 / J6 - B3 - F12 / E5 - G11 - F9 / K4 - L9 - F6 - J1 - A13 / B1 - H3 - I10 - B10 - A7 - D13 - L7 - C4 - C12 - E11? / I7 - L8 - L13 / L11 - I13 - H2 - E7 - J3 - A4 / D9 / E1 - H6 - L1 - H11 - B6 - K7 - L10?



ROZWIĄZANIE JOLKI NR 3: INO PORTECZEK NIE ZGUB I LUSTRA NIE POKAŻ, KIEJ SIĘ TAK BYSTRO RWIESZ (z „Chłopów” Reymonta).

Rzędami: sprzysiężenie, sarkofag, rattan, takt, Rostow, Orwell, Gobi, Nils, Miami, zgoda, karb, trio, turnus, escort, trap, kocher, Stirlitz, majsterkowicz.

Kolumnami: astronautyka, Parasol, Szanghaj, zoolog, wodowstręt, swat, galimatias, ptak, żartowanie, ostrów, nitownik, akowiec, analfabetyzm.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 1 nagrody wylosowali: Erazm Chejlo, Warszawa; Iwona Helka, Wrocław; Zofia Pawlata, Płock; Danuta Sadoczyńska, Słupsk; Grzegorz Sorokowski, Bielsko-Biala. Gratulujemy!



W marcowej PANI



Kobieta Novika. Megagwiazda rocka i wschodząca gwiazda muzyki klubowej. Rozmawiają o tym, co w życiu ważne.



Inteligentne, wykształcone, z dyplomami na piątkę. Urodziły dziecko i zostały w domu. Czy są szczęśliwe?



Projektanci mówią Ci: bądź szczęśliwa. Postaw na kolor, kobiece fasony. To jest sexy!

PANI PREZENT! film Fortepian na VCD

CENA specjalna z prezentem 9,50 zł (z tytułu 7% VAT) NR 3 (150) MARZEC 2003 Numer indeksu 368652 ISSN 1230-8293

NA OKŁADCE
MONIKA RICHARDSON
Chcę mieć wszystko
dziecko męża karierę

Kto go zna lepiej
Ty czy jego matka?

Erotyczna
instrukcja obsługi dla dwojga

Żona z dzieckiem w domu
Jak się czujesz w tej roli?

Zaskakujące makijaże
Zmienisz się nie do poznania

Jem i nie tyję
rady Magdy Stuzińskiej

Po co młodej dziewczynie chirurg plastyk?

Trzy kobiety które wstrząsnęły Ameryką

Podwójne życie striptizerek

150 pomysłów
na nowy sezon w szafie

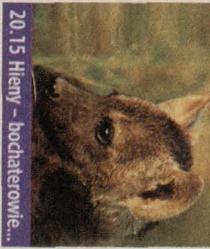
Moda na wiosnę optymistyczna i kobieca, soczyste kolory, wzorzyste tkaniny

Spójrz na świat przez różowe okulary
Akcja PANI i IDEI OPTIMY Walczymy ze stresem

PANI tego pragną kobiety

BEZ SŁOWNIKA
WSRÓD ZWIERZĄT

Popularny magazyn telewizyjny „Jele Jydzien” z 6 stycznia w kanale Planete proponuje następujący film:



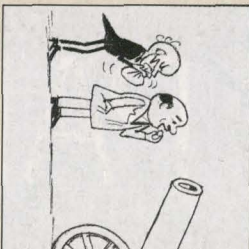
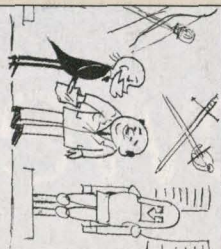
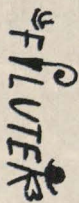
20.15 Henry – bohaterowie...

(Nadsiad Władz Świech z Kied)

Z GŁOWY...

A jeśli koniec świata będzie happy endem?

...KAZISTOJA BILICY



RYS. ZBIGNIEW LENGREN

LEW. 1989

LISTY z FIOLEMI



„Poprzednika
PREKROJ”
złoty
XI gatunek

Szanowny Panie Redaktorze!
Zaznaczam, że zarządzam, co następuje:

I Nie wolno wystawiać idyotycznych i nudnych sztuk teatralnych.

II Nie wolno opowiadać starych kawałów.

III Nie wolno gramolić się, kałapać, bałdurzyć, piędrzyć i gonić w pięcie.

IV Jednocześnie przypominam, że: Nie wolno zadzierać nosa i kłapać po ramieniu.

V Nie wolno zawieszzać się, bać i ramać.

VI Nie wolno opowiadać tasiemców życia osobistego, ponieważ to nikogo nie obchodzi.

VII Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia. Pismom społecznym i prowincjonalnym nakazuję przedruk niniejszego w całości, bez skrótów i głupich komentarzy.

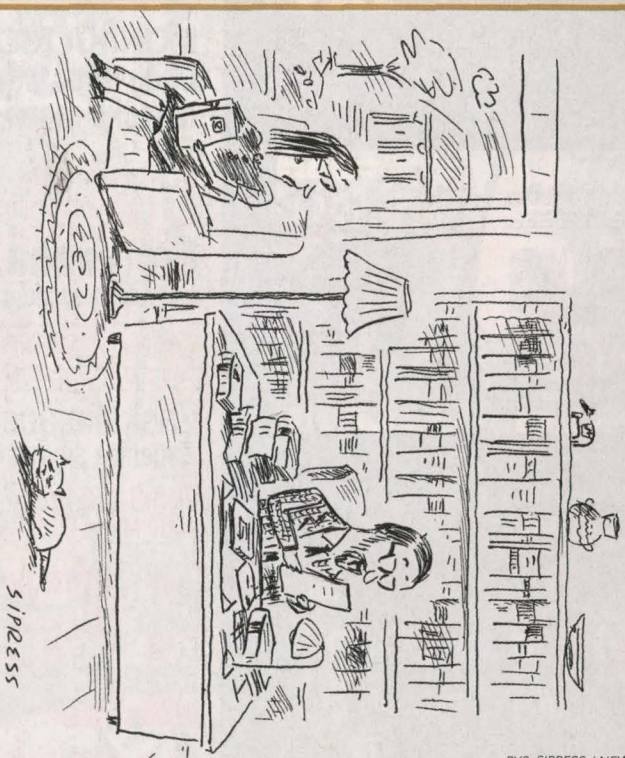
(Pieczęć)
Na oryginalne podpisałem własnoręcznie: Karakulambro, czołnek KDK

TACY BYLIŚMY: 1948

KAWAŁKI

Męczyzna budzi się w południe straszliwie skacony.
Na stolek znajduje list od żony: „Kochanie, kupiam ci piwo i poszłam do pracy. Jeżeli będziesz jeszcze czegoś potrzebował – dzwoń, może wezmę dziś wolne”.

– Patrz, kochanie, dostałem zaproszenie na sympozjum profesorów literatury amerykańskiej XX wieku sygnających ze swoimi studentkami.



RYS. SIPRESS / NEW YORKER

NADSIANEM

SIĘKOM
I GODNOŚCIOM

„Rzeczpospolita” nr 226 donosi na Johna

Rodericka Scota: „Rosjanie twierdzą, że był terrorystą”.

(Pieczęć)
Złoty Jan Kurcz z Kiedzi

MYŚLI

Najpierw artysta uczy się tego, co w sztuce można.

Dopiero potem – czego nie można.

(Julia Hartwig)



RYS. JURGA

O CZŁOWIEKU (XXI WIEKU)

W notescie ma listę 15 numerów telefonów swojej najbliższej trzysobowej rodziny.

Zapłacenie za coś żywą gotówką zamiast kartą kredytową czy debetową to przedsięwzięcie, które wymaga wcześniejszego zaplanowania.

Przeczną braku kontaktu z rodziną jest to, że jej członkowie nie posiadają adresu e-mailowego.

Przemysław Borkowski
O WYŻSZOŚCI OWSA
NAD SIANEM

Raz pewien chłop z okolic Kurmika (chłop to jest dawna nazwa rolnika) postanowił sprawdzić, jakie będą skutki, gdy kobyle do owsa dodać trochę wódki.

Pomyśl swój morynował (całkiem zresztą znośnie), że jak on się napije, to mu krzepa rośnie. Niemożliwe jest zatem – myślał, drapiąc się w szyję – by co dobre dla ludzi, szkodziło kobyle.

Jak pomyślał, tak zrobił. Efekt przyszedł był zaraz. Najpierw rzenie, tupanie, potem zaś z nozdrzy para. I nim chłop się obejrzał, a obejrzał się w mąg, już kobyla zorlała całe osiem skib.

Olabogal – pomyślał był nasz dzielny włóścianin – Będę teraz bogaty tak jak Wielkopollani! Kupię żonę korale, nową sprawię se strzechę, a w gospodzie znów będę brać produkty na kreche!

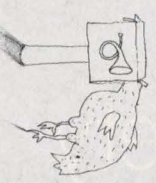
Lecz niedługo się skończył ten chwalebny zapal, bo od zbyt szybkiej pracy zad się kobyle załaził.

Nastąpiła ogólna dewastacja części, nie pomogło użycie bata ani pięści.

Teraz leży kobyla z wycięgiem kopytem, wkoło się unosi subtelny zapach frytek. Chłop po głowie się drapie. Cóż, tak właśnie bywa, gdy się bez pomyślnika stosuje biopaliwa.

KURZY BLOC (3/4)

...przy oborniku długo grzebałam i sobie pazurka nadlamalam, indor sąsiadów zaleca się do Honoratki z naszego kurmika, a my musimy w ogóle uważać w nocy – bo lis po okolicy grasuje. Lubi mnie listonosza, co przychodzi, i zawsze jakeś okruszki z kieszeni mi wyrzuca, a nowy kogut to już się zaczął zalecać do nas – i pięć dumnie wypina, i grzebieciem nad głową macha...



RYS. WILK

Macur